



Cathy Glass

autorka bestsellerów  
– ponad 1,3 mln książek  
sprzedanych  
na świecie

Cathy  
Glass

# Okaleczona

 hachette  
POLSKA

*pisane przez życie*

Cathy  
Glass

# Okaleczona

*„O drugiej w nocy nagle się obudziliśmy – najwyraźniej wyczuliśmy obecność Dawn [...]. Stała tylko i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po chwili znów zaczęła wymierzać ciosy w nadgarstek, jak ubiegłej nocy. Tym razem robiła to mocniej i z większym zacięciem, jakby się za coś karała”.*

**Poruszająca opowieść bestsellerowej autorki Cathy Glass o trzynastoletniej Dawn, która raniąc się, chciała odreagować traumatyczne przeżycia.**

Dawn nie miała łatwego życia. Po rozwodzie rodzice nie znaleźli dla niej czasu, zajęci szukaniem nowych partnerów. Dalecy krewni, którzy przejęli opiekę nad dziewczynką, wyrządzili jej wielką krzywdę. Opieka społeczna chciała jak najszybciej się jej pozbyć. Dla wszystkich była „wstrętnym bachorem”. Cierpienia, jakich doznała, spowodowały, że stała się agresywna. Zamknęła się w sobie i zaczęła okaleczać.

Cena: 14,90 zł

ISBN 978-83-7739-923-1



9 788377 399231



**hachette**

POLSKA

[www.hachette.com.pl](http://www.hachette.com.pl)

patron medialny





*pisane  
przez życie*

W serii *Pisane przez życie* ukazały się:

- ✎ Skrzywdzona
- ✎ Cierń miasta lwa
- ✎ Dziecko ulicy
- ✎ Sen o Ameryce
- ✎ Zakazana żona
- ✎ Sekrety top modelki
- ✎ Dziesięcioletnia rozwódka
- ✎ Zakładniczka
- ✎ Spisany na straty
- ✎ Mamusiu, dlaczego?
- ✎ Skazana na piekło
- ✎ Zniszczone dzieciństwo
- ✎ Tatusiu, proszę, nie
- ✎ Zhańbiona
- ✎ Oszpecona
- ✎ Uprowadzone
- ✎ Kochałam psychopatę
- ✎ Najsmutniejsze dziecko
- ✎ Pokochaj mnie, mamo
- ✎ Ukarana
- ✎ Zakazana miłość
- ✎ Ucieczka z raj
- ✎ Jak ona mogła?
- ✎ Zew pustyni
- ✎ Sycylijskie wesele
- ✎ Skradzione życie
- ✎ Afrykański sen
- ✎ Czekaając na anioły
- ✎ Cena mojego życia
- ✎ Pozwól mi odejść
- ✎ Opowieści dubajskie

Cathy  
Glass

Okalexoma



hachette  
POLSKA

## Spis treści

Prolog	9
Początki	11
Upojeni sukcesem	19
Nowa podopieczna	25
Nocna wizyta	37
Wątpliwości	45
Nie ma nic zadane	51
Pierwsza wpadka	59
Kobiecość	71
Cięcie	87
Co się z nią dzieje?	103
Wołanie o pomoc	115
Zaginięcie	131
Policja w naszym domu	147
Łatwiej się pociąć	154
Rodzina	166
Kolejna próba	180
Dlaczego?	191
Niechciana	202
Tajna broń Dawn	215

Przykra niespodzianka	228
Autobus się popsuł	240
Ostatnia deska ratunku	252
Święta przed świętami	263
A teraz dlaczego?	273
Ciężar ponad siły	283
Pożegnalny uśmiech	295
Miałam rację	307
Epilog	314

## Podziękowania

Składam podziękowania Carole Tonkinson i całemu zespołowi HarperCollins oraz mojemu agentowi Andrew Lownie'emu, a także Anne Askwith za redakcję.

## Prolog

**K**iedy rozmawiam z dziennikarzami, często pada pytanie, dlaczego zajęłam się opieką zastępczą. Właśnie o tym chciałam w tej historii opowiedzieć. Są to także prawdziwe dzieje Dawn. Byk drugim dzieckiem, które do nas trafiło, i niewiele brakowało, a byłaby ostatnim. W tamtych czasach nie mówiło się jeszcze o prawach dziecka, nie było kursów dla rodziców zastępczych ani żadnej kontroli. Opiekunom nie przekazywano szczegółowych informacji, traktowanych jako poufne, a pracownicy socjalni nie angażowali się zbyt wiele ani nie udzielali wystarczającego wsparcia. Postępowano wedle zasady: „Podrzucić dziecko i trzymaj się jak najdalej”. Od tamtej pory zaszły duże zmiany w działaniu opieki społecznej oraz rodzin zastępczych i obecnie, przynajmniej teoretycznie, taka historia nie powinna się zdarzyć. Obawiam się jednak, że teraz też mogą się znaleźć rodzice zastępczy, którzy temu twierdzeniu zaprzeczą.

Niektóre imiona, nazwiska, miejsca i daty zostały zmienione ze względu na dobro bohaterki niniejszej opowieści.



## Początki

**Z**a i mój mąż John chcieliśmy jak najszybciej powiększyć rodzinę, ale okazało się to nie takie proste. Robiliśmy wszystko, co trzeba (i to często), jednak długo wyczekiwane dziecko się nie pojawiało. Pewnego sobotniego wieczoru znalazłam w miejscowej gazecie ogłoszenie następującej treści: „Może Ty dasz dziecku dom? Mała Mary bardzo Cię potrzebuje”. Obok wydrukowano czarno-białe zdjęcie rozkosznej sześciomiesięcznej dziewczyneczki, wyciągającej błagalnie rączki, a pod spodem telefon opieki społecznej.

John siedział na podłodze w salonie i naprawiał wiertarkę. Na rozłożonej gazecie leżało mnóstwo drobnych, metalowych części. Nasz pierwszy dom wykańczaliśmy własnymi siłami. Zamieszkaliśmy tu zaraz po ślubie, od którego minęły dwa lata, i najgorsze mieliśmy już za sobą. Pokoje były wprawdzie skromnie urządzone, ale całkiem przyjemne i wygodne. Spojrzałam raz jeszcze na ogłoszenie i na mniejsze litery pod nagłówkiem: „Dziewczynka szuka rodziny zastępczej, która się nią zajmie, dopóki jej mama nie wyzdrowieje”.

- John? - zaczęłam niepewnie.

- Mmm? - Podniósł głowę. W jednym ręku trzymał wiertarkę, w drugim śrubokręt.

- Co o tym sądzisz? - Wstałam z kanapy i starając się nie nadepnąć na nic po drodze, podeszłam bliżej i pokazałam mu gazetę.

Przeczytał ogłoszenie i spoważniał.

- Myślisz, że będziesz umiała ją potem oddać?

Zamyśliłam się.

- Uważam, że rodzice zastępczy muszą być przygotowani na to, że kiedyś oddadzą dziecko matce. Jak myślisz? Warto zadzwonić i dowiedzieć się więcej?

- A co z twoją pracą? - spytał.

- I tak zamierzałam zrezygnować, kiedy będziemy mieć dziecko.

- To jednak nie to samo co własne dzieci. Nie sądzisz? - Powiedział to bardzo poważnie. Pod tym względem John był niezawodny: zawsze podchodził do wszystkiego bardzo rozsądnie i dostrzegał pułapki, podczas gdy ja od razu rzucałam się głową naprzód.

- Przecież będziemy je traktować jak własne.

Spojrzał na wiertarkę.

- Sam nie wiem. Daj mi to przemyśleć. – Szczerze mówiąc, ja też nie byłam przekonana.

Czy umiałabym się zająć cudzym dzieckiem? Karmić, przewijać, kochać, wiedząc, że w którymś momencie i tak wróci do matki? Emocjonalnie byłoby to duże obciążenie, nie wspominając o tym, że całe nasze dotychczasowe życie wywróciłoby się do

góry nogami. W dodatku potrzebowaliśmy mojej pensji. Liczył się każdy pens, nie tylko dlatego, że urządzaliśmy dom - trzeba było też coś odłożyć na czas po urodzeniu dziecka, kiedy przecież będę musiała zrezygnować z pracy. Złożyłam gazetę i rzucałam na stojak.

- Kawy? - zaproponowałam.

- Tak, poproszę. I pączka, jeśli jeszcze został.

Później, kiedy już leżeliśmy w łóżku, John wrócił do sprawy. Wszystko starannie przemyślał.

- Wiesz, moja ciocia opiekowała się takimi dziećmi - zaczął.

- Miała u siebie dwóch chłopców. Nie znam szczegółów. Mieszkała w Szkocji i rzadko ich widywaliśmy, ale chyba było im u niej dobrze.

- Naprawdę? - spytałam z ciekawością. Oparta wygodnie o poduszki czekałam na ciąg dalszy.

- Uważam, że powinnaś zadzwonić i poprosić o więcej informacji. Pewnie sporo osób tak robi, tyle że na tym się kończy i już się później nie odzywają.

- Zajmę się tym w poniedziałek, w przerwie na lunch. - Pracowałam w urzędzie i moi przełożeni nie mieli nic przeciwko temu, by pracownicy korzystali czasem z telefonu służbowego, byle nie dzwonili za granicę.

- A teraz może znów spróbujemy powiększyć naszą rodzinę.

- John uśmiechnął się figlarnie. - Jak to się mówi... praktyka czyni mistrza.

Z uśmiechem wtuliłam się w ciepłe, silne ramiona i od razu poczułam lekki pocałunek na ustach.

W poniedziałek zadzwoniłam do opieki społecznej; włączyła się automatyczna sekretarka. Podałam swoje nazwisko, numer telefonu i zostawiłam wiadomość, że chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o małej Mary z ogłoszenia. Wówczas nie było oddzielnej linii do tego typu spraw. Teraz, gdy dzwoni się w sprawie opieki zastępczej, można od razu porozmawiać z właściwym pracownikiem, tak przynajmniej jest w teorii. Trzeba przyznać, że niektóre placówki całkiem sprawnie wyszukują rodziny zastępcze.

Przez miesiąc nikt się do mnie nie odezwał i niemal zdążyłam zapomnieć o całej sprawie. Telefon zadzwonił niespodziewanie, dokładnie o siedemnastej trzydzieści, zaraz po moim powrocie z pracy. Nie padło słowo przeprosin, nie było żadnego tłumaczenia z powodu opóźnienia. Pani przedstawiła się i najpierw spytała, czy już zajmowaliśmy się opieką zastępczą. Moja przecząca odpowiedź była zdecydowanie nie po jej myśli. „Aha” - powiedziała, najwyraźniej zastanawiając się, co dalej ze mną począć. Na wszystkie pytania usłyszałam tę samą odpowiedź: „Przykro mi, nie potrafię powiedzieć”. Kiedy pięć minut później się pożegnaliśmy, byłam niewiele mądrzejsza. Podałam swój adres - podobno wydano broszurę na temat rodzin zastępczych i pani obiecała, że mi ją przyśle.

Minął tydzień, nim przyszła obiecana broszura - kserokopia ulotki formatu A4 ze zdjęciami uśmiechniętych dzieci i ogólnikowymi stwierdzeniami typu: „Zaniedbane przez biologicznych rodziców, potrzebują domu i ciepła rodzinnego”. I znów żadnych konkretnych danych. Na odwrocie ulotki podana była data (wypadająca za dziesięć dni) oraz miejsce spotkania informacyjnego - żadnych dodatkowych wskazówek, lecz domyśliłam się, że będzie

ono poświęcone rodzinom zastępczym. W czasie rozmowy telefonicznej zadałam konkretne pytania, ale w ulotce nie było nic ponad to, że dzieci w każdym wieku potrzebują domu i rodziny.

Odłożyłam ulotkę z innymi papierami na kuchenną półkę i zupełnie o niej zapomniałam. Oboje wtedy pracowaliśmy, a po pracy wykańczaliśmy dom. Dopiero w przeddzień spotkania informacyjnego John przy kolacji wrócił do tematu.

- Pójdiesz na to spotkanie? - zapytał przy stole. - O rodzinach zastępczych - dodał, widząc, że nie wiem, o co mu chodzi. - Jutro.

- Prawdę mówiąc, nie miałam zamiaru. Wieczorem mieliśmy kończyć kafelki w łazience.

- Ja zajmę się kafelkami, a ty idź - odparł. - Albo pójdziemy razem, a kafelki dokończymy w niedzielę. Najwyżej odpuszczę sobie golfa.

Upłynęło sporo czasu od chwili, kiedy przeczytaliśmy tamto ogłoszenie, i mój początkowy zapał nieco już osłabł, zwłaszcza po tym, jak entuzjazmu nie przejawiała w ogóle pani z opieki społecznej.

- Naprawdę chcesz iść? - spytałam.

Kiwnął głową.

- Owszem. Chętnie się czegoś dowiem, a to jedyny sposób.

- Zgoda - odparłam. - Idziemy.

Przyszło jedenaście osób - pięć par i wdowa. Spotkanie prowadziło dwoje pracowników opieki społecznej. Przez pół godziny uzasadniali rację bytu swojej instytucji i przekonywali, że rodziny zastępcze są o wiele lepszym rozwiązaniem niż domy

dziecka. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy rodzice zastępczy przechodzą najpierw rozmowę kwalifikacyjną. Potem przez dwadzieścia minut słuchaliśmy interesującego wystąpienia matki zastępczej, która bardzo rzeczowo opowiadała o własnych doświadczeniach. Podczas przerwy na kawę mogliśmy porozmawiać z innymi parami, z których żadna - podobnie jak my - dotąd się tym nie zajmowała, i wszyscy przyszli po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Po kawie ta sama kobieta odpowiadała na nasze pytania - szczerze i otwarcie, podawała przy tym wiele szczegółów z codziennego życia w swojej rodzinie. I to pomogło nam podjąć decyzję. Kiedy wychodziłam stamtąd godzinę później, byłam pełna zapału. John tak samo. Ostatecznie przekonał nas argument, że w ten sposób naprawdę można pomóc dzieciom doświadczonym przez los.

- Ten drugi pokój na górze mógłby być dla tego dziecka - zaproponowałam. - A trzeci będzie dla naszego własnego.

John się zgodził.

Na spotkaniu poproszono nas, byśmy wszystko jeszcze raz dobrze przemyśleli. Ten, kto nadal będzie zainteresowany, miał zadzwonić do opieki społecznej.

Kiedy myślę o weryfikacji, jaką obecnie przechodzą opiekunowie zastępczy, tamte procedury wydają mi się śmieszne. Nie eliminowały one wielu zagrożeń, jakie mogą czyhać na nieletnich podopiecznych.

W następnym tygodniu zadzwoniłam do opieki społecznej. Przysłano mi formularz, który mieliśmy wypełnić wspólnie. Należało podać dane osobowe, adres, telefon, miejsce i datę urodzenia oraz

przebieg pracy zawodowej, a także w kilku zdaniach uzasadnić, dlaczego chce się podjąć opieki zastępczej. To nam zajęło najwięcej czasu. W końcu napisaliśmy, że naszym zdaniem potrafimy stworzyć dziecku kochający dom, ale jednocześnie jesteśmy w pełni świadomi, że prędzej czy później wróci ono do własnej rodziny - ze spotkania informacyjnego wywnioskowaliśmy, że to ważne. Po miesiącu zadzwoniła do nas pracownica opieki społecznej i umówiła się z nami na rozmowę. Na imię miała Susan. Przyjechała do nas. Usiedliśmy w salonie przy kawie, a ona od razu poprosiła nas o obszerniejsze uzasadnienie, dlaczego uważamy, że nadajemy się na rodziców zastępczych. Powiedzieliśmy szczerze, że chcemy też mieć własne dzieci i czujemy do tego powołanie. Wiemy, jak je wychować, bo z domów rodzinnych wynieśliśmy dobre wzorce. I że jak już doczekamy się własnego dziecka, nadal będziemy się opiekować tymi, które tego potrzebują.

Susan była zadowolona z naszych odpowiedzi, cały czas się uśmiechała i potakiwała. Pytała o nasze relacje z rodzicami i o to, czy przyście na świat dziecka wpłynie w jakiś sposób na sprawowanie przez nas opieki zastępczej. Odpowiadaliśmy uczciwie. Chciała też wiedzieć, co myślimy o wpływie, jaki na nasze życie rodzinne może mieć przygarnięte dziecko. Ta pierwsza wizyta trwała około dwóch godzin. Susan przyszła jeszcze raz, na godzinę, po napisaniu raportu, ale nie dała go nam do przeczytania, jak to jest przyjęte teraz. Dowiedzieliśmy się tylko mniej więcej, co zawiera i że poparła naszą kandydaturę, która na pewno zostanie przyjęta - nie dodała przez kogo.

Minął jeszcze jeden miesiąc i Susan zadzwoniła po raz kolejny. Z wyraźną przyjemnością zawiadomiła nas, że zostaliśmy

zaakceptowani. Pozostało jeszcze przejść krótkie szkolenie. Zdecydowano, że będziemy się zajmować dziećmi nic młodszymi niż pięcioletnie. Ponieważ brakowało nam doświadczenia w opiece nad zupełnymi maluchami, ktoś pewnie uznał, że łatwiej sobie poradzimy z dziećmi nieco starszymi. I tak byliśmy szczęśliwi, że nas zakwalifikowano.

Dopiero wtedy powiedzieliśmy o tym rodzicom. Reakcje były różne. Matka Johna skomentowała naszą decyzję: „A ja myślałam, że koniecznie chcecie mieć własne dziecko”. Na co John odparł: „Chcemy. Ale to też będzie jak własne”. Moja matka stwierdziła: „Bardzo ładnie z twojej strony, kochanie, ale ty przecież nic nie wiesz o dzieciach”. Odparłam: „Czy ktoś coś wie, zanim sam je ma? Pewnie się szybko nauczę”. Okazało się, że były to prorocze słowa.

Podczas dwugodzinnego szkolenia, na którym obecne były również inne pary, omówiliśmy sytuacje, jakie mogą się nam przydarzyć. Uznano, że jesteśmy gotowi na przyjęcie pierwszego podopiecznego, i dwa dni później zadzwoniła Susan z wiadomością, że wieczorem przywiozą nam Jacka.

- Ma piętnaście lat - dodała. - Chodzi do szkoły, więc będzie pani mogła spokojnie pracować przez okres wypowiedzenia. To miesiąc, prawda?

- Hm, tak - odparłam z wahaniem. - A więc to nastolatek?

- Tak. Większość naszych podopiecznych to nastolatki. Mamy za mało opiekunów, w dodatku zlikwidowano jeden z naszych oddziałów. Proszę się nie martwić - dodała. - Jack raczej nie sprawi kłopotu.

Był to pierwszy sygnał, że podopieczni mogą - nie z własnej winy - sprawiać kłopoty, i to duże.



## Upojeni sukcesem



Jack był u nas od trzech miesięcy, kiedy zaczęłam mieć mdłości. Nie takie, jak po zjedzeniu czegoś nieświeżego, tylko nieokreślone, za to uporczywe, dające się najbardziej we znaki rano. Z nieśmiałą nadzieją, nic na razie nie mówiąc Johnowi, kupiłam test ciążowy. Powiadomiłam go dopiero, gdy miałam wynik.

- Niesamowite! Super! Hurra! - zawołał jak nastolatek, choć na ogół, jako człowiek wykształcony, posługiwał się bogatszym słownictwem. - Trzeba to uczcić! Natychmiast! Wołaj Jacka, idziemy na dobrą kolację. Nie, nie, ty usiądź, odpocznij, oprzyj nogi, a ja pójde po Jacka.

Śmiałam się serdecznie, gdy pognał co sił na górę, by wyrwać Jacka z objęć rapu, w które chłopak wpadał, gdy tylko przekroczył próg swego pokoju. Godzinę później siedzieliśmy w naszej ulubionej włoskiej knajpce. John wznosił toast.

- Zdrowie Cathy. Brawo i gratulacje. Oraz za Jacka i jego wyniki w nauce.

Podnieśliśmy kieliszki. John nalał Jackowi tylko troszeczkę, w jego wieku akurat taka odrobina nie mogła zaszkodzić, a ważne było, żeby czuł, że jest dla nas kimś bliskim.

- Będę miała dziecko, – Dopiero wtedy mu się przyznałam. Do tej chwili nie wiedział, z czego John tak się cieszy i dlaczego wpadł nagle do niego do pokoju i oznajmił, że natychmiast wychodzimy coś uczcić.

Teraz uśmiechnął się, nieco speszony, i wypił łyk szampana.

- Z czego się to robi? - spytał, krzywiąc się lekko.

- Z winogron, tak samo jak wino - wyjaśnił John. - Ale ze specjalnego szczepu. Inaczej też przebiega fermentacja.

- Takie sobie - orzekł chłopak. - Czy mógłbym dostać piwo?

- Nie - odparliśmy zgodnym chórem.

- Jesteś za młody - dodałam. - Napij się coli, jeśli szampan ci nie smakuje.

Opiekowanie się Jackiem polegało głównie na kompromisach. O tym, co mu wolno, a czego nie wolno, zdecydowaliśmy, kierując się zdrowym rozsądkiem. Nikt nas nie szkolił, jak postępować z nastolatkami, a ponieważ nie mieliśmy doświadczenia z własnymi dziećmi w tym wieku, polegaliśmy na wycuciu. Gdy Jack wychodził wieczorem, musiał wracać najpóźniej o dziewiątej w dzień powszedni, a w piątek i w sobotę o dziesiątej. Nim zamieszkał u nas, sporo czasu spędzał z kolegami. Ograniczyliśmy te spotkania do dwóch w tygodniu, ponieważ pod koniec roku szkolnego czekały go ważne egzaminy. Wymagaliśmy, żeby mówił nam, dokąd idzie, a jeśli szedł do kolegi,

miał podać numer telefonu, pod którym będzie można go znaleźć. Jack nie protestował i spokojnie zgadzał się na takie ustalenie granic. Rozumiał, że robimy to dla jego dobra.

Zapewnienia Susan, że Jack nie sprawi nam kłopotu, sprawdziły się w pełni. Poza tym, że trzeba go było pilnować, żeby brał prysznic codziennie, a nie jak do tej pory raz na tydzień, nie przysparzał nam problemów. Miał piętnaście lat, więc pod wieloma względami traktowaliśmy go jak dorosłego, a nie dziecko potrzebujące ciągłego dozoru. Nie zawiódł naszego zaufania. Łatwo się dostosował do zasad obowiązujących w domu i dużo lepiej się teraz uczył. Jego kuratora widzieliśmy tylko kiedy przywiózł do nas Jacka. Od tamtej pory zadzwonił jeden raz, żeby spytać, czy wszystko w porządku. Ostatecznie Jack miał zamieszkać ze swoim tatą, gdy ten znajdzie dla nich odpowiednie lokum. Chłopak uciekł od matki i jej nowego partnera po serii awantur; podczas jednej z nich ojczym go uderzył i Jack przyszedł nazajutrz do szkoły ze złamanym nosem. Ojca widzieliśmy przez chwilę; odwiedził go wkrótce po tym, jak Jack u nas zamieszkał. Był z zawodu stolarzem, bardzo syna kochał. Jak wyznał Johnowi, żałuje, że nie wziął ze sobą Jacka, kiedy się rozstawał z jego matką. Teraz wynajmował mały pokój i szukał większego mieszkania w przystępnej cenie, do którego mógłby zabrać syna.

- Moja mama chyba jest w ciąży - powiedział Jack pod koniec naszej uroczystej kolacji. - Była gruba, jak ją ostatni raz widziałem.

Spojrzałam na niego uważnie.

- I co czujesz w związku z tym?

Wzruszył ramionami.

- Nic. Jak zamieszkam z tatą, pewnie będę ją odwiedzał.

Miał prawo czuć się zraniony tym, że matka wybrała partnera, który był wobec niego agresywny. Czuł też do niej wyraźne żal, że nie broniła go przed ojczymem. Od swego odejścia z domu widział się z nią tylko dwa razy.

- Wszystko się ułoży, jak już zamieszkaż z tatą i będziesz odwiedzał mamę.

- Pewnie tak - odparł. — Wiele zależy od niej. Jest dorosła. Ona powinna zrobić pierwszy krok.

Wymieniliśmy z Johnem spojrzenia. Jack był inteligentnym i wrażliwym chłopcem; szkoda, że póki mieszkał w domu, matka nie interesowała się tym, co syn czuje.

- Dorosli też popełniają błędy - powiedziałam z uśmiechem.  
- I czasem trochę to trwa, nim sobie z tego zdadzą sprawę.

Pięć miesięcy później, gdy byłam w połowie siódmego miesiąca ciąży, Jack przeprowadził się do ojca. Wtedy po raz drugi spotkaliśmy jego kuratora, który miał go tam zawieźć. Proponowaliśmy, że my to zrobimy, ale najwyraźniej to należało do obowiązków pracownika socjalnego. Przy pożegnaniu życzyliśmy Jackowi powodzenia i dalszych postępów w nauce. Powiedzieliśmy też, że dobrze nam z nim było.

- Dzięki za wszystko - odparł z lekkim wzruszeniem. - Jesteście w porządku jako rodzice.

Ten komplement był dla nas ważny, a ponieważ naprawdę dobrze wspominaliśmy wspólnie spędzony czas, utwierdził nas w przekonaniu, że nadajemy się na rodziców zastępczych.

Miałam teraz cały dom tylko dla siebie i dziwnie się z tym czułam. Ale jednocześnie też uczciwie przyznaję, że przyjąłam to z pewną ulgą. Pod koniec ciąży byłam ciągle zmęczona, a teraz, bez Jacka, mogłam odpocząć wieczorami i w weekendy. Nie musiałam też wstawać codziennie o siódmej, żeby wyprawić go do szkoły. Powiadomiliśmy opiekę społeczną, że przynajmniej do czasu porodu nie będziemy brać do domu kolejnego dziecka. Skupiliśmy się na przygotowaniach do wielkiego wydarzenia. Po dziewięciu miesiącach i pięciu dniach ciąży na świat przyszedł ważący ponad cztery kilogramy Adrian.

Nasze życie zmieniło się diametralnie, ale na szczęście obyło się bez dramatów czasem przeżywanych przez kobiety, które niedawno odeszły z pracy i nie mogą się przyzwyczaić do uwiązania w domu przy dziecku. Już rok wcześniej zrezygnowałam z pracy i przez ten czas zajmowałam się Jackiem. Potrzeby małego dziecka są zupełnie inne niż potrzeby piętnastolatka, ale na szczęście szybko weszłam w rolę matki niemowlęcia. Rodzicielstwo odpowiadało nam obojgu, czuliśmy się z rym jak ryba w wodzie. Wszystko szło jak po maśle, byliśmy dumni, że tak łatwo udało nam się przestawić. Skoro z własnym dzieckiem nie mieliśmy problemów, szybko zdecydowaliśmy, że chcemy ponownie zostać rodzicami zastępczymi.

Adrian miał zaledwie cztery miesiące, kiedy pewnego ranka odebrałam telefon z opieki społecznej.

- Rozumiem, że znajdzie się u państwa miejsce dla nastolatki? - zaczęła pani, która przedstawiła się jako Ruth. Siedziałam na kanapie w salonie i karmiłam piersią Adriana.

- W zasadzie... tak... - odparłam zaskoczona. - To znaczy chętnie weźmiemy kolejne dziecko. Teraz akurat mieliśmy przerwę, bo niedawno sama urodziłam.

- Nie mają państwo obecnie innych dzieci pod opieką? - spytała.

- N i e .

- Doskonale, w takim razie mogą państwo wziąć Dawn. Ma trzynaście lat, w tej chwili przebywa w naszym ośrodku opiekuńczym dla młodzieży. Trzeba ją stamtąd szybko zabrać. Jest za młoda, a poza tym mieszała już pewne kłopoty. Mogę ją przywieźć dziś wieczorem?

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Muszę najpierw porozmawiać z mężem. Nie planowaliśmy...

- A może pani to zrobić od razu, a ja oddzwonię za pół godziny? Trzeba działać szybko.

Mimo że prośbę wyraziła dość obcesowo, zgodziłam się zadzwonić do Johna - poważny ton jej głosu sugerował, że sprawa jest pilna.

John był w pracy i zdziwił się, gdy zadzwoniłam. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy powiedziałam mu, o co chodzi.

- Ty decyduj - odparł. - Głównie ty będziesz tym obciążona, zwłaszcza w tygodniu. Czy to dla ciebie nie za dużo obowiązków?

Upojona sukcesem po doświadczeniach z Jackiem, wierzyłam, że znów musi się udać.

- Raczej nie - odparłam. - Ona i tak będzie większą część dnia w szkole. Chyba powinniśmy się zgodzić.

## *Nowa podopieczna*



uth przywiozła Dawn o siódmej. Drzwi otworzył John i zaraz wprowadził je obie do salonu, gdzie karmiłam synka. Adrian był dużym dzieckiem i ciągle chciał jeść - sporo czasu zabierało mi jego karmienie.

- Witajcie - podniosłam głowę. - Przepraszam, że tak was przyjmuję. Siądźcie, proszę.

Uśmiechnęły się i siadły na kanapie. Jak na swój wiek Dawn była mała i drobna. Miała niezbyt długie blond włosy, szaroniebieskie oczy, przyjemne rysy i jasną cerę, nieco za bladą. Ubrana była w dżinsy i czarną skórzaną kurtkę zapiętą pod szyję - w pełni zrozumiałe w połowie lutego. Nie zdjęła jej, mimo że w domu było ciepło. Wręcz jeszcze ciaśniej się nią otuliła.

- Napijiesz się czegoś? - zaproponowałam.
- Nie, dziękuję - odpowiedziała grzecznie.
- A pani?
- Nie, muszę zaraz uciekać. - Ruth była postawną kobietą po czterdziestce. Miała na sobie czarne spodnie i beżowy

sweter. Wchodząc do pokoju, zdjęła płaszcz i położyła go na oparciu kanapy. Spoglądałyśmy na siebie w milczeniu. Miałam wrażenie, że Ruth i Dawn przed przyjściem tutaj o coś się pokłóciły; siedziały na dwóch końcach kanapy i wyraźnie unikały wzajemnego kontaktu.

- Opowiedz nam coś o sobie, Dawn - przerwałam ciszę. - Jak ci idzie w szkole?

- Dobrze - odparła niemal wesoło i posłała mi kolejny uśmiech.

- Szłoby dobrze, gdybyś tam chodziła - wtrąciła ostro Ruth. Popatrzyłam na Johna, po czym oboje spojrzeliśmy na nią. - Dawn niezbyt chętnie uczęszcza do szkoły - ciągnęła Ruth. - Uważa, że tam się wpada, jak człowiek ma na to ochotę. Narobiłaś sobie kłopotów przez wagary. Swojej mamie też, co Dawn?

Ruth bardzo groźnie spojrzała na dziewczynkę.

- Nie lubię szkoły - stwierdziła Dawn obojętnie.

- Dlaczego? - spytałam. Dziwiło mnie, że jej kuratorka wykazywała tak mało zrozumienia. Przecież dziecko mogło być nastawione negatywnie do szkoły z wielu powodów - na przykład jeśli zetknęło się z agresją.

- Nie lubię nauczycieli. Oni mnie też nie lubią.

Ruth westchnęła.

- Daj spokój, wszyscy się z tobą cackają. Nie wiem, co jeszcze mają zrobić. Nie jesteś jedyną uczennicą, a zachowujesz się, jakbyś była pępkiem świata.

Dawn wzruszyła ramionami, a ja nabrałam pewności, że moje podejrzenia co do ich kłótni (pewnie o szkołę) były słuszne.



- Jack, który wcześniej u nas mieszkał, też miał początkowo problemy ze szkołą - powiedziałam pojednawczym tonem. - A teraz wszystko jest w porządku. Może będę ci mogła jakoś pomóc?

Ruth parsknęła.

- Może. Matce się to nie udało.

Dawn nic nie powiedziała i zrobiło mi się jej żal. Wydawała się taka krucha i delikatna, a Ruth zachowywała się niegrzecznie, wręcz prostacko. Coś musiało dziać się w szkole, skoro Dawn była tak źle do niej nastawiona. Ruth spojrzała na zegarek.

- Umówię nas na spotkanie z matką Dawn - powiedziała szybko. - Wtedy spiszemy zasady zachowania. Robimy tak w przypadku nastolatków, żeby obie strony wiedziały, na czym stoją. Nie mają one żadnej mocy prawnej, jest to raczej zobowiązanie moralne. Mam nadzieję, że Dawn zechce łaskawie ich przestrzegać.

Dziewczynka spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

- Na pewno - odparłam. - Czy te zasady to coś nowego? Nie było niczego takiego przy Jacku.

- Owszem, to nowość. Wypróbowana przez inne służby socjalne, więc też je postanowiliśmy zastosować. Dawn jest jedynaczką. - Ruth wyraźnie chciała jak najszybciej załatwić sprawę i wyjść. - Mieszkała trochę z matką, trochę z ojcem. I jak powiedziałam przez telefon, odkąd trafiła do nas, czyli od trzech dni, przebywała w ośrodku opiekuńczym dla młodzieży. Jest za młoda, więc traktowaliśmy to jak tymczasowe rozwiązanie. - Ruth ponownie spojrzała na zegarek. - No nic, będę lecieć. Torba z rzeczami jest w przedpokoju. Nie ma ich dużo. Poproszę matkę, żeby coś jeszcze przyniosła. - Wstała.

John też się poniósł, by ją odprowadzić do drzwi, a ja ułożyłam sobie na ramieniu Adriana, żeby mu się odbiło po jedzeniu. Ruth zawahała się i spojrzała na Dawn.

- Czy chcesz jeszcze o coś zapytać, póki tu jestem? - spytała, jakby po głębszym namyśle.

- O której będę musiała wracać do domu? - zapytała Dawn, patrząc na mnie. Ruth też na mnie spojrzała.

- Masz dopiero trzynaście lat, więc wolałabym, żebyś nie chodziła sama wieczorami - odparłam. - Twoja mama też by pewnie nie chciała. - John skinął tylko głową na znak, że się z mną zgadza.

Ruth spojrzała surowo na Dawn, a ona spuściła wzrok.

- Ja też tak uważam - powiedziała. - Ale jak ona się uprze, święty Boże nie pomoże. Matka nie była w stanie jej utrzymać w domu i między innymi dlatego Dawn trafiła do nas... Brak kontroli rodzicielskiej. Uwzględnimy pory powrotu w naszych zasadach.

Dziewczynka wzruszyła tylko ramionami, a Ruth na tym skończyła. Szybko się pożegnała i wyszła. Ja cały czas delikatnie masowałam plecy Adriana, aż grzecznie wydał głośne beknięcie. Dawn się zaśmiała. Wstała z kanapy, podeszła bliżej i uklękła obok fotela, by przyrzeć się dziecku.

John wsunął głowę do pokoju.

- Idę zaparzyć herbatę. Ma ktoś ochotę?

- Poproszę – odparłam. – Twoja kolacja jest w piekarniku.

- Ja też poproszę - powiedziała Dawn i zaczęła słodko przemawiać do Adriana. Po wyjściu Ruth natychmiast odtajała. - Jaki śliczny dzidzius. Jak mu na imię?

- Adrian.

- Ładnie. A ile ma?

- Cztery miesiące.

- Śliczny jesteś, Adrian. Słodki z siebie dzieciaczek. -

Adrian trzymał ją za palec i ciągnął w różne strony. - Uśmiecha się do mnie - zawołała radośnie. - Lubię dzieci. Chciałabym mieć dziecko.

- Trochę jest przy nich pracy. - Czułam się nieco zakłopotana tym niespodziewanym zainteresowaniem, podobnie zresztą jak Adrian.

- J a k już się wpadnie w rutynę, pewnie jest łatwiej? – spytała.

- Nie wiem - zaśmiałam się. - Jeszcze nie wpadłam.

- Mój tata i jego dziewczyna mają córeczkę, ale nie pozwalają mi się z nią bawić. Dziewczyna taty jest chyba zazdrosna. Ma tylko sześć lat więcej ode mnie i mówi, że nie umiem trzymać dziecka. Ale skoro mi nie pokazali, jak to się robi, to skąd mam wiedzieć?

Znów zaczęła gruchać słodko do Adriana, wpatrzona w niego jak w obrazek. Wiedziałam, co zaraz powie.

- Mogę go potrzymać? Proszę... Będę bardzo uważać. Pokażesz mi jak. Błagam... - Szybko usiadła po turecku na podłodze i ułożyła ramiona jak kołyskę. Wstałam z fotela, kucnęłam obok niej i ostrożnie podałam jej Adriana. Zaczęła go kołysać, całując przy tym w czoło. Podtrzymywałam mu cały czas główkę, w pełni świadoma, że mój malutki synek znalazł się w rękach trzynastolatki, która dopiero co zjawiała się w moim domu i o której prawie nic nie wiem.

- J a k masz na imię? - spytała mnie nagle.

- Cathy. Ruth ci nie powiedziała?

- Nie. Krzyczała na mnie całą drogę. John przedstawił się, jak otworzył drzwi, ale nie wiedziałam, jak ty się nazywasz. - Nie miałam jeszcze prawie żadnego doświadczenia, a już wtedy pomyślałam, że kuratorka powinna dziecku powiedzieć, jak się nazywa osoba, u której je zostawia. Ja wiedziałam o niej, że ma na imię Dawn, ale nie znałam ani nazwiska, ani daty urodzenia, ani innych szczegółów. Kurator Jacka przynajmniej podał mi jego podstawowe dane.

- A jak masz na nazwisko, Dawn? - spytałam.

- Jennings.

- Kiedy się urodziłaś?

- Szóstego stycznia.

- I masz trzynaście lat?

- T a k .

Ruchy Dawn przyspieszyły i zaczęłam się obawiać, że kołysanie staje się zbyt gwałtowne - jakby dziecko bawiło się szmacianą lalką, a nie opiekowało delikatną istotą.

- Ostrożnie. - Podtrzymując główkę Adriana, drugą rękę położyłam na jej ramieniu. - Dzieci w tym wieku nie mają jeszcze sztywnego kręgosłupa. - Na szczęście w tym momencie John uratował naszego synka, wnosząc do salonu tacę, na której znajdowała się jego kolacja i trzy kubki herbaty, co dało mi pretekst, żeby zabrać dziecko.

- Weź sobie herbatę - zachęciłam. - A może chcesz coś zjeść?

- Tylko herbatnika. Jadłam już kolację.

John chciał wrócić do kuchni po ciastka, ale go zatrzymałam.

- Siadaj i jedz. My pójdziemy.

- Czy mogę ponieść Adriana? - spytała natychmiast i wyciągnęła ręce.

- Nie, dziękuję, kochanie. Poradzę sobie. Ty weźmiesz puszkę z ciastkami.

Ruszyłam przodem i pokazałam jej puszkę na półce. Dawn rozejrzała się po kuchni.

- Ładnie tutaj macie. Wszystko takie nowe.

Uśmiechnęłam się.

- Sami urządzaliśmy, już prawie skończone. Potem pokażę ci twój pokój. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Na pewno. W ośrodku opiekuńczym było okropnie. Mieszkałyśmy we trzy i te dziewczyny całą noc nie spały. Więc ja też nie mogłam spać. A u mamy i u taty nie mam własnego pokoju. Ich mieszkania są za małe.

- Gdzie w takim razie spałaś i trzymałaś swoje rzeczy? - spytałam ze współczuciem.

- Spałam na kanapie. A rzeczy nie mam dużo. Trochę ubrań w jednym mieszkaniu, trochę w drugim, reszta w torbie.

- Później zaniesiemy ją do twojego pokoju i przejrzymy.

Wróciłyśmy do salonu i dotrzywałyśmy towarzystwa Johnowi, który jadł kolację. Dawn pochłonęła większość zawartości puszek. Powątpiewałam, czy rzeczywiście jadła kolację, i postanowiłam w przyszłości pilnować, żeby się dobrze odżywiała. Była drobna i nie powinna opuszczać posiłków, a potem objadać się herbatnikami. Adrian siedział u mnie na kolanach; z zadowoleniem gaworzył, od czasu do czasu ziewał i machał rączkami. Dawn przestała się nim interesować i siadła na kanapie. Spytałiśmy ją o szkołę. Twierdziła, że chodzi, ale sama przyznała, że niezbyt

regularnie. Na pytania, czy nauka sprawia jej trudności i czy ma problemy z innymi dziećmi, odpowiedziała przecząco. Uznaliśmy, że wagarowanie nie jest winą szkoły, a raczej wynika z tego, że nikt Dawn ani nie kontrolował, ani nie wpoił jej obowiązkowości. Z tego, co mówiła, wynikało, że rodzice ciągle ją sobie wzajemnie podrzucali i zbyt zajęci byli własnym życiem i nowymi związkami, by poświęcić jej tyle czasu i uwagi, ile należało.

Zaproponowałam, że nazajutrz zawiozę ją do szkoły samochodem, a potem będzie już jeździć autobusem jak dotąd. Chodziła do szkoły St James's, która znajdowała się zaledwie piętnaście minut jazdy autobusem od nas, już na peryferiach. Chciałam nawiązać kontakt z nauczycielami i dowiedzieć się, czy jakoś mogę jej pomóc. Podobnie zrobiłam w szkole Jacka - z bardzo dobrym rezultatem. Dawn chętnie przystała na moją propozycję; podobnie przyjęła inne nasze sugestie, łącznie z tym, o której ma kłaść się spać, na jakiej zasadzie może się spotykać z przyjaciółmi (u nich w domu lub u nas, nigdy na ulicy) i że odrabianie lekcji ma pierwszeństwo przed oglądaniem telewizji. Sprawiała wrażenie pogodnej, rozsądnej dziewczynki, która od razu daje się lubić, wyraźnie chce dobrze z nami żyć i stosować się do naszych wymagań.

O ósmej trzydzieści, godzinie wyznaczonej przez nas na porę szykowania się do snu, Dawn bez przypominania wstała i powiedziała:

- W takim razie dobranoc.

Byłam miło zaskoczona. John też. Jackowi ciągle trzeba było przypominać - żeby wyłączył muzykę, zgasił telewizor czy przestał robić, co akurat robił, i kładł się spać.

- Pewnie chcielibyście teraz побыć trochę sami - dodała, a ja pomyślałam, że to pewnie odruch wyniesiony z pobytów u taty i jego dziewczyny.

- Dobrze, kochanie. - Wstałam, - Pójdę z tobą i pokażę ci, co gdzie jest.

- Dziękuję, Cathy. Dobranoc, John. Czy mogę cię pocałować? Był z lekka zaskoczony, ale nie dał nic po sobie poznać.

- Oczywiście.

Dawn podeszła i pocałowała go w czubek głowy.

- Dobranoc - powiedział.

Oddałam Adriana Johnowi - zawsze wieczorem po kolacji spędzali trochę czasu razem - i poszliśmy z Dawn do przedpokoju. Wzięłam jej jedyny bagaż, torbę zapinaną na suwak, i ruszyłam przodem. Gdy Jack się wyprowadził, porządnie wysprzątałam jego pokój i od tej pory stał pusty.

- Ślicznie tu. - Rozejrzała się z podziwem.

- Cieszę się, że ci się podoba. Poczujesz się bardziej swojsko, jak dojdą twoje rzeczy. - Pomalowaliśmy ściany na neutralny kolor, odpowiedni zarówno dla chłopca, jak i dla dziewczynki. Adrian spał jeszcze z nami, ale jego własny pokój był już gotowy i czekał tylko na to, aż małego będzie można tam przenieść.

Położyłam torbę na łóżku i rozsunęłam suwak.

- Możesz powiesić swoje ubrania w szafie. Są też półki na książki i na płyty.

Rozpakowanie nie zajęło wiele czasu. Szafa ani półki w zasadzie nie były potrzebne. Dobytek Dawn ograniczał się bowiem do dżinsów, swetra, trzech par majtek, piżamy i małej kosmetyczki.

- A co nosiłaś w ośrodku? - Ze zdziwieniem patrzyłam na tak skromną garderobę.

- To - pokazała na siebie.

- A twój szkolny strój?

- Spódnica jest u mamy, a sweter u taty. Stroju na wuef w ogóle nie miałam. Krzyczą na mnie w szkole, jak przychodzę bez mundurka. - Pomyślałam, że to może być jeden z powodów, dla których nie lubiła szkoły. Przez brak odpowiedniego stroju narażała się nauczycielom, a także odróżniała się od innych uczniów.

- Kupimy ci w takim razie - obiecałam. - A jak twoja kuratorka weźmie rzeczy od rodziców, będziesz mieć zapasowy komplet. Upiorę to, co masz na sobie. Jutro musisz włożyć te drugie dżinsy i sweter. Nie martw się, wytłumaczę cię.

- Dziękuję, Cathy - odparła z uśmiechem. - Wszyscy tylko na mnie krzyczą. Jak nie mama albo tata, to w szkole.

Zajrzałam do kosmetyczki, gdzie był mały ręczniczek, szczoteczka do zębów i tubka pasty. Dawn powiedziała, że pastę dostała w ośrodku opiekuńczym.

- Kiedy bierzesz prysznic lub kąpiel? - spytałam. - Rano czy wieczorem?

- Wszystko mi jedno - odparła zgodnie.

- To lepiej wieczorem. Około ósmej. John korzysta z pryszniczka rano, a ja kąpię się przed pójściem spać. - Pomyślałam, że Dawn przyda się trochę uregulowanego trybu życia; było to także rozwiązanie praktyczne, skoro wszyscy troje mieliśmy korzystać z jednej łazienki.

- Dobrze, Cathy - powiedziała i znów się uśmiechnęła.



Wyjęłam z bieliźniarki ręcznik i pokazałam, gdzie jest łazienka. Sprawdziłam jeszcze, czy ma wszystko, czego jej potrzeba. Na moment zesłam na dół. Gdy wróciłam, była już w piżamie. Dochodziła dziewiąta, więc powinna się kłaść, bo nazajutrz musiała wstać wcześniej do szkoły. Zgodziła się - jak na wszystko - bez protestu. Zaciągnęłam zasłony, a Dawn położyła się do łóżka. Powiedziałam: dobranoc.

- Pocałujesz mnie? - spytała.

- Oczywiście, kochanie.

Ułożyła się wygodniej, a ja pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

- Czy mama i tata całują cię na dobranoc?

- Nie, ciągle są zajęci. - Posmutniała.

- Trzeba to w takim razie nadrobić - powiedziałam i pocałowałam ją po raz drugi.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Cathy. Dobranoc,

- Dobranoc, kochanie. Słodkich snów.

Wyszłam i zamknęłam drzwi. Choć Dawn miała trzynaście lat, pod wieloma względami zachowywała się jak dużo młodsze dziecko. Z całego serca było mi jej żal.

Usiedliśmy na kanapie, Adrian leżał wygodnie na ramieniu Johna.

- Wygląda na dobre dziecko - powiedział mój mąż. - Stara się wypaść jak najlepiej.

- Tak - odparłam w zamyśleniu. - Może nawet za bardzo. - Rzucił na mnie spojrzenie z ukosa. - Jack też był dobrym chłopcem,

ale pamiętasz to wieczne użeranie się z nim, żeby wracał o wyznaczonej porze, nie włóczył się po ulicach i odrabiał lekcje, nie mówiąc o higienie? - John pokiwał głową. - Dawn jak dotąd zgodziła się na wszystko. Czy nie jest zbyt uległa? Dziwne mi się to wydaje, tym bardziej że jej kuratorka wyraźnie była o coś na nią wściekła.

- Cóż, to dopiero początek i jeszcze nic nie wiadomo - westchnął. - Ale na pewno jest wdzięczna, że wreszcie ma dom. Zdaje się, żadne z rodziców dotąd jej go nie zapewniło.

- Chyba masz rację. Jutro kupię jej nowe ubranie i szkolny mundur. Ona nic prawie nie ma, u rodziców pewnie też.

- Starczy ci pieniędzy? - Dopiero za tydzień miała wpłynąć na konto jego pensja.

- Wypiszę чеки. Nim zostaną zrealizowane, będzie już pokrycie. - Mieliśmy tylko zarobki Johna i duże wydatki związane z dzieckiem, musieliśmy więc bardzo uważać na nasze finanse. Teraz opieka społeczna, oprócz tygodniowego zasiłku, wypłaca rodzinom zastępczym zaliczkę na ubranie i kieszonkowe dla podopiecznych. Wtedy opiekunowie otrzymywali nieregularne zapomogi, które ledwo wystarczały na pokrycie kosztów wyżywienia, a czasem nie dostawali nic.

O wpół do jedenastej jak zwykle nakarmiłam Adriana, położyłam go do łóżeczka i wzięłam kąpiel. W pokoju Dawn panowała cisza. Cichutko tam zajrzałam, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Leżała zwinięta w kłębek na boku i głęboko spała. Wysłałam i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Ponieważ Adrian budził nas w nocy o trzeciej i musiałam go wtedy karmić, kładliśmy się spać już przez jedenastą. Ale to nie płacz Adriana obudził mnie tym razem.

## *Elbena wixyta*

**W** pokoju było ciemno, tylko słaba poświata ulicznej latarni przenikała przez szczelinę między zasłonami. Najpierw pomyślałam, że obudziłam się, bo usłyszałam przez sen Adriana domagającego się jedzenia. Chwilę leżałam wtulona w plecy Johna, nasłuchując. Nagle posłyszałam dźwięk, którego nie umiałam zidentyfikować. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć na zegarek przy łóżku, i wrzasnęłam. Przy łóżeczku Adriana majaczył jakiś cień.

Siadłam natychmiast.

- Mój Boże! Co ty tu robisz?

Włączyłam lampkę nocną i wstałam. John natychmiast się obudził, też wstał i włączył światło. Podeszliśmy do niej.

- Dawn? - powiedział John. - Co ty robisz?

Mój krzyk i światło obudziły Adriana, natychmiast się rozplakał. Wzięłam go na ręce i z mocno bijącym sercem spojrzałam na Dawn. Była w piżamie i patrzyła na mnie, ale tak, jakby mnie nie widziała. Oczy miała szkliste, utkwione gdzieś w dali, a twarz nieruchomą i pozbawioną wyrazu.

- Dawn? - powtórzyłam i spojrzałam na Johna. Był bardzo blady, pewnie wskutek szoku, jakim było nagłe odkrycie obecności obcej osoby w naszym pokoju. - Dawn? - spróbowałam raz jeszcze. Żadnej reakcji. Trudno było powiedzieć, czy mnie słyszy i widzi, czy w ogóle jest świadoma naszej obecności.

Przytuliłam Adriana i spojrzałam na zegarek. Była pierwsza trzydzieści. Dawn stała sztywno i patrzyła prosto przed siebie. Nieruchoma jak posąg. I re przerażające, wpatrzone w coś oczy.

- Dawn? - powiedział John. Wolno przesunął rękę tuż przed jej twarzą. Nie mrugnęła, nie drgnął jej nawet jeden mięsień, nadal patrzyła przed siebie. Zrobiło mi się niewyraźnie.

- Czy ona jest lunatyczką? - spytał John cicho z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Nie wiem.

Znów spojrzeliśmy na Dawn, na jej twarz i oczy. Było to jedno z moich najgorszych przeżyć. Wyglądała jak zwyczajny, przytomny człowiek, ale nie widziała, nie słyszała ani w żaden widoczny sposób nie funkcjonowała normalnie. Oddychający posąg, duch z nieruchomą twarzą, żywy trup.

Przytulony do mnie Adrian uspokoił się i zasnął, ale wciąż trzymałam go, jakbym chciała bronić. Tylko przed czym?

- Co zrobimy? - Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w martwe oczy Dawn.

- Może zaprowadzimy ją do łóżka? - zaproponował John.

- Dobrze, ale jak?

Nigdy dotąd nie widziałam, tym bardziej nie znałam żadnego lunatyka, o zjawisku wiedziałam jedynie z horrorów i thrillerów psychologicznych. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło,

czy z filmów, czy też gdzieś o tym czytałam, ale tłuło mi się po głowie, że lunatyka nie powinno się budzić.

- Dawn? - powiedziałam bardzo cicho. - Dawn, słyszysz mnie?

Nic, wciąż to samo martwe spojrzenie.

- Dawn, powinnaś wracać do łóżka - odezwał się John. Też nie wiedział, co robić.

Nadal nie było żadnego znaku - reakcji czy wskazówki, że nas słyszy albo że jej zmysły działają.

- Musi coś widzieć, skoro przeszła przez cały podest aż do naszej sypialni - szepnęłam do Johna.

Kiwnął głową.

- Dawn, wracaj do łóżka. - Mówiąc to, delikatnie dotknął jej ręki. Dopiero teraz zareagowała. Twarz nadal miała pozbawioną wyrazu i trzymała się sztywno, ale z wolna zaczęła się odwracać.

Oboje patrzyliśmy ze strachem, jak pomału, niczym robot, wykonuje pełny obrót. Teraz stała tyłem do łóżeczka. Rytmicznym, niemal mechanicznym krokiem ruszyła w stronę drzwi. W milczeniu szliśmy za nią. Adrian spał wtulony w moje ramiona.

Wyszliśmy na podest. Dawn skręciła w prawo i zatrzymała się przy schodach. Pomyślałam, że będzie próbowała zejść, i aż zamarłam. Ale po krótkim wahaniu poszła do siebie. Staliśmy w progu i obserwowaliśmy, jak starannie omija wszystkie przeszkody, a potem siada na łóżku. Pokój znajdował się w tylnej części domu, więc światło z ulicy tu nie docierało i było dość ciemno. Póki siedziała wyprostowana na łóżku, widzieliśmy jej majaczący w mroku profil. Po chwili położyła się i naciągnęła kołdrę.

- Chwileczkę - szepnął John i zapalił światło na podeście. Teraz widzieliśmy dużo lepiej. Ostrożnie weszliśmy do środka. Bałam się, że Dawn spojrzy na mnie tym martwym, szklistym wzrokiem, ale leżała na plecach, oczy miała zamknięte i spokojnie spała. Postaliśmy chwilę przy łóżku, po czym cicho wyszliśmy. John zamknął drzwi i wróciliśmy do sypialni.

- Boże! - wykrzyknął mój mąż. - Co to było?

Pokręciłam głową na znak, że nie wiem, i aż przeszedł mnie zimny dreszcz. Położyłam Adriana i otuliłam kołderką. Zamruczał i poruszył małą piąstką, ale się nie obudził. John zamknął drzwi i przyszedł do mnie. Leżeliśmy obok siebie w milczeniu. Tak mnie to wszystko poruszyło, że nie było mowy, żebym zasnęła. Serce wciąż mi waliło. John musiał czuć się podobnie.

- Co to było? - powtórzył, trąc czoło.

- Najwyraźniej chodziła we śnie. - Spojrzałam na drzwi. - Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

- Kuratorka nic nie wspominała, prawda? - spytał wolno.

- Nie, ale ona w ogóle niewiele mówiła. Może zdarzyło się to pierwszy raz? Dlatego że śpi w obcym miejscu? Czy przypadkiem lunatycy nie chodzą we śnie, jak się czegoś boją?

John pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Niewiele wiem na ten temat.

- Ja też nie.

Nie wiadomo było, co o tym wszystkim sądzić. Przekraczało to nasze doświadczenia i wiedzę, co zresztą mogłaby powiedzieć o sobie większość ludzi.

- Nie sądzę, by się to miało powtórzyć - powiedziałam, żeby podnieść nas oboje na duchu.

Wreszcie po jakimś czasie oczy same zaczęły mi się zamykać, ale jak tylko przysnęłam, posłyszałam krzyk Adriana domagającego się jedzenia. Trzecia godzina. Obudziłam się i natychmiast moje spojrzenie padło na drzwi. Były zamknięte, więc odetchnęłam z ulgą. Ostrożnie, żeby nie obudzić męża, wstałam i wzięwszy dziecko na ręce, wróciłam z nim do łóżka. Czasem John słyszał jego płacz, czasem nie, w zależności od tego, jak głęboko spał i jak bardzo był zmęczony. Teraz był wyczerpany nie tylko po dniu ciężkiej pracy, ale i po nocnej wizycie Dawn. Ja też czułam zmęczenie, poza tym dręczył mnie niepokój.

Adrian ssał z zadowoleniem, błogo nieświadomy rozgrywających się wcześniej dramatycznych scen, a ja oparłam głowę na postawionej poduszce i zamknęłam oczy. Pięć minut później malec przestał ciągnąć, więc przystawiłam go do drugiej piersi. Znowu głowa mi opadła i przysnęłam.

Nagle obudziłam się z bijącym sercem. Zdawało mi się, że coś słyszę. Adrian ssał pierś, a ja nie spuszczałam wzroku z drzwi i nasłuchiwałam, czy Dawn nie wstała znowu z łóżka. Na wyłożonym wykładziną podeście panowała cisza. Nagle aż podskoczyłam. Klamka się poruszyła.

- John... - Potrząsnęłam go za ramię. Od razu się obudził. - Spójrz! Drzwi! - Natychmiast usiadł. Oboje w napięciu obserwowaliśmy klamkę. Drzwi wolno się otworzyły.

Weszła Dawn, sztywno wyprostowana, patrząca przed siebie szeroko otwartymi oczami. Twarz miała bez wyrazu, podobnie jak przedtem. W poświacie ulicznej latarni wydawała się jeszcze bledsza. Zastygliśmy, tylko Adrian nadal jadł z zadowoleniem. Jak zaklęci czekaliśmy, co będzie dalej.

Przez chwilę stała nieruchomo, jakby próbowała się zorientować w sytuacji. Następnie wolno, tym samym mechanicznym krokiem, zaczęła iść. Przeszła obok nas i stanęła przed pustym łóżeczkiem Adriana.

Zawsze uważałam siebie za osobę zrównoważoną, którą niełatwo nastraszyć, ale w tym momencie, z tego zmęczenia i niewyspania, na poczynania widmowej postaci zareagowałam bardzo emocjonalnie.

- Ona przyszła po moje dziecko! - wrzasnęłam, nie panując na sobą.

- Zostań, - John wstał i podszedł do dziewczynki. Stała nieruchomo dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej - przy dziecięcym łóżeczku.

- Dawn - powiedział. - Wracaj do łóżka. - Nie było reakcji. Wziął ją za ramiona i odwrócił. Nie stawiała oporu. Po zrobieniu pełnego obrotu stała twarzą do drzwi. Sama zaczęła iść, John ruszył za nią. Wyszli.

- Nie, Dawn. Idź do swojego pokoju - usłyszałam chwilę później głos Johna. Widocznie przystanęła przy schodach jak przedtem. Minęła dłuższa chwila, pewnie w tym czasie dziewczynka się kładła, bo potem usłyszałam, że John zamyka drzwi od jej pokoju. Wrócił do sypialni i starannie zamknął również nasze.

- Znów od razu zasnęła - westchnął i położył się. - To bez sensu! Przecież tak nie może być co noc. Chyba mam prawo czuć się bezpiecznie we własnym domu.

Zmarszczył brwi, wyraźnie się martwił. Ja też nie czułam się bezpiecznie, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia, co dokładnie



mogło nam grozić. Niewiele wiedzieliśmy o Dawn, a już zupełnie nic o lunatyzmie. Wtargnięcie do sypialni przez obcą osobę - nawet jeśli jest nią tylko trzynastoletnia dziewczynka - zmierzającą prosto do śpiącego dziecka, nie jest przeżyciem miłym ani normalnym.

Adrian skończył jeść, zmieniał mu pieluszkę i zaniósł do łóżeczka. John siedział oparty o poduszki, zamyślony i niespokojny. Wróciłam do łóżka i położyłam się obok niego. Milczeliśmy. Nasłuchiwaliliśmy, czy z korytarza nie dobiega znów jakiś dźwięk. Zobaczyłam jeszcze, że wskazówki zegara pokazują czwartą, potem wreszcie zasnęliśmy.

Obudziłam się i od razu niespokojnie spojrzałam na drzwi. Były zamknięte. Popatrzyłam na zegarek przy łóżku. Wpół do ósmej! Zaspaliśmy.

- J o h n . - Szturchnęłam go lekko w ramię. - Wpół do ósmej. John, obudź się.

- O, cholera - jęknął. - Mam zebranie o ósmej trzydzieści. - Zerwał się i popędził pod prysznic.

Też wstałam i podeszłam do Adriana. Nie spał, mruczał coś do siebie, zdziwiony pewnie, gdzie się podziało jedzenie pojawiające się o siódmej. Uśmiechnął się na mój widok.

- Cześć, maleństwo. - Wzięłam go na ręce i przytuliłam. - Śniadanko czeka.

Jak zwykle, tyle że pół godziny później, wzięłam go do łóżka i nakarmiłam. Byłam tak senna i zmęczona, że mogłabym zasnąć bez problemu. Nocne zmyry nadal mnie prześladowały. W pokoju Dawn panowała cisza, zatem dziewczynka spała -

nic dziwnego, skoro w nocy tyle chodziła. Zastanawiałam się, co mogło być tego przyczyną i czy zdarzało się to jej już przedtem. Czy to stało się dlatego, że znalazła się w obcym domu? I czemu poszła akurat do Adriana? Niepokoiło mnie to bardzo. Na szczęście był już ranek, a za sprawą zimowego słońca, śmiało wdzierającego się do pokoju, wszystko wydawało się o wiele mniej groźne niż w nocy.

John wrócił z łazienki i zaczął się szybko ubierać.

- Może zdązę - powiedział, zapinając czystą koszulę. Otworzył szafę, żeby wyjąć garnitur. - Kawę wypiję już w pracy. Jestem wykończony! Co za noc! Poradzisz sobie? Zadzwoń zaraz po zebraniu.

- Nie martw się, dam sobie radę. Wszystko będzie dobrze. Odwiozę Dawn do szkoły.

Gdybym wiedziała, co nas czeka w następnych miesiącach, odpowiedziałabym: „Nie, nie dam sobie rady. Wcale nie będzie dobrze”.

## Wątpliwosci

ef

akarmiłam Adriana, przewiniłam go, przebrałam i położyłam do łóżeczka. Sama umyłam się i ubrałam. Z pokoju Dawn nadal nie dochodził żaden dźwięk, który by świadczył o tym, że się obudziła, a zegarek pokazywał już za dziesięć ósmą. Musiałyśmy wyjść z domu najpóźniej o wpół do dziewiątej, jeśli miała się nie spóźnić. Zamierzałam budzić ją o siódmej, żeby miała czas na umycie się i zjedzenie porządnego śniadania, ale na razie, po źle przespanej nocy, postanowiłam odłożyć wprowadzanie regularnego trybu życia do następnego dnia.

Mogłam ją obudzić, zanim poszłam do łazienki, jednak podświadomie odwlekałam nasze poranne spotkanie. Choć za dnia wydarzenia ubiegłej nocy wydawały się mniej straszne, odczuwałam niepokój, a nawet lęk. Nie wiedziałam, ani czego mam się teraz po niej spodziewać, ani co jej powiedzieć. Czy coś będzie pamiętała? Czy lunatycy zachowują w pamięci swoje nocne wędrówki? Skąd mogłam to wiedzieć.

Gdy się myłam, przyszło mi do głowy, że może powinniśmy założyć zamek w drzwiach sypialni. Ale nie. Tak nie można. „Nie bądź głupia - złażałam samą siebie. - Trzynastoletnia dziewczynka wystraszyła się, bo śpi w obcym miejscu, a my mamy się przed nią zamykać?”

Umyta, ubrana i na tyle odświeżona, na ile to możliwe po nieprzespanej nocy, z Adrianem na ręku poszłam do pokoju Dawn. Drzwi były zamknięte, ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Wiedziałam, że nastolatki lubią sobie pospać. Jack mógłby spać cały weekend, gdybyśmy go nie budzili. Dochodziła już ósma i Dawn musiała wstawać. Wahałam się jednak. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć ani jak zareagować. Czy wydarzenia ubiegłej nocy wpłynęły na nią jakoś? Znów się w myślach ofuknęłam, zapukałam do drzwi i wolno je otworzyłam.

Pokój rozjaśniało światło poranka. Dawn leżała na boku. Z ulgą stwierdziłam, że śpi. Podeszłam bliżej. We śnie wyglądała tak spokojnie i niewinnie, że wszystkie moje lęki się rozwiały.

- Dawn? - odezwałam się przyciszonym głosem. - Kochanie, czas wstawać. Już prawie ósma.

Nie poruszyła się, oddychała głęboko i regularnie. Biedne, zmęczone dziecko odsypiało straconą noc.

- Dawn, kochanie - powiedziałam trochę głośniejszym głosem. - To ja, Cathy. Pora wstawać. - Lekko dotknęłam jej ramienia. Wolno otworzyła oczy i spojrzała na mnie. - Cześć, kochanie. Już rano. Pamiętasz, gdzie jesteś? - Ja sama nigdy nie wiedziałam, gdzie jestem, kiedy budziłam się w nowym miejscu, z dala od domu.

Spojrzała na mnie, zamrugała i się uśmiechnęła.

- Cześć, Cathy - powiedziała pogodnie. - O, cześć Adrian, jak się masz? - Usiadła na łóżku i wyciągnawszy rękę, delikatnie go pogłaskała. Znow zrugalam siebie za swój strach przed spotkaniem z nią.

- Przepraszam cię, kochanie, ale zaspaliśmy. Musisz się umyć i ubrać bardzo szybko, inaczej się spóźnimy.

- Nie ma sprawy. - Odrzuciła kołdrę i wstała (dużo szybciej, niż robił to Jack).

- Jak będziesz w łazience, zrobię ci śniadanie. Co byś zjadła? Wzruszyła ramionami.

- Przeważnie nie jem śniadania. Poproszę tylko coś do picia.

Teraz, gdy była w pizamie, mogłam się przekonać, jaka jest chuda. Za chuda.

- Wolałabym, żebyś jednak zjadła. Trzeba rano coś zjeść. Choćby grzanekę.

- Dobrze, grzanekę. Dzięki.

- Doskonale. A z czym chcesz? Dżem, marmolada, miód...? Jack lubił z masłem orzechowym. - Skrzywiła się. - Całkowicie się z tobą zgadzam - roześmiałam się. - Za nic nie zjadłabym masła orzechowego na pusty żołądek. Może z miodem?

- Tak, ale poproszę tylko jedną.

Uśmiechnęłam się.

- Zgoda. - Rozsunęłam zasłony i przypomniałam jej, żeby do szkoły włożyła czyste dżinsy i sweter. - Wy tłumaczę cię - dodałam. - A po szkole pójdziemy na zakupy. Kupimy ci jakieś ubrania i bieliznę.

- Odbierzesz mnie ze szkoły? - spytała.

- Tak, ale tylko dzisiaj. Potem, jeśli chcesz, będziesz wracać autobusem.

- Dobrze - zgodziła się. To samo grzeczne i posłuszne dziecko co wczoraj. Znowu ofuknęłam się za pomysły, że mogłaby się przez tę noc zmienić - to tylko dziewczynka, której się zdarza chodzić we śnie, a nie żaden diabelski podrzutek.

Przed wyjściem z pokoju jeszcze się zawahałam. Dawn sięgała właśnie po czyste ubranie.

- Dobrze spałaś?

- Owszem, dziękuję. A ty?

- Tak sobie. Musieliśmy dwa razy wstawać w nocy. - Przyglądałam się jej bacznie. Chciałam się przekonać, czy coś pamięta.

- Do Adriana? - Patrzyła mi prosto w oczy. - Dzieci trzeba w nocy karmić, prawda?

- Tak. - Nadal nie spuszczałam z niej wzroku. - Cieszę się, że dobrze spałaś w nowym miejscu. Wszystko było w porządku?

- Tak. To bardzo wygodne łóżko.

- Świetnie - odparłam spokojnie i zostawiłam ją, żeby się ubrała.

Doszłam do wniosku, że najwyraźniej nie ma pojęcia o tym, co robiła w nocy. Nie widziałam powodu, żeby ją uświadamiać. Mogłaby się jeszcze bardziej przejąć. Pod wpływem stresu ludzie czasem zgrzytają we śnie zębami albo coś mówią. Dawn miała prawo czuć się niepewnie w nieznanym miejscu. Może szukała w naszej sypialni bezpiecznego schronienia? Coś, co tkwiło głęboko w jej podświadomości, kazało jej przyjść do nas.

Posadziłam Adriana w leżaczkę, tak by mógł mnie widzieć, włożyłam chleb do tosterka i nalałam sobie kawy. Po porannej

rozmowie z Dawn poczułam się raźniej i wrócił mi optymizm. Doszłam do wniosku, że to jednak miłe dziecko, choć jej zgaszenie się na wszystko nadal budziło we mnie dziwny niepokój. Przestałam się nawet przejmować nocnymi spacerami. Postanowiłam, że lepiej ją poznam i wtedy spróbuję jakoś pomóc. Cieszyłam się, że w domu jest druga kobieta, dzięki czemu zniknęła dotychczasowa przewaga płci męskiej. Wyobrażałam sobie, że będziemy rozmawiać jak matka z córką. Nie miałam pojęcia, jak długo u nas zostanie. Wiedziałam tylko, że rodzice niewiele się nią zajmowali. Żal mi jej było. W wieku trzynastu lat, przy tak dużych zmianach w organizmie i problemach emocjonalnych, jakie towarzyszą okresowi dojrzewania, gdy zrozumienie i poczucie bezpieczeństwa są szczególnie potrzebne, Dawn była pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia i musiała sobie radzić sama.

Zjawiała się pięć minut później, umyta i ubrana.

- Przepraszam za kłopot, Cathy - zaczęła z wahaniem. - Ale nie mam szczotki do włosów. Znajdzie się może u ciebie jakaś zapasowa?

- Chyba tak. Siadaj i jedz, a ja pójde na górę poszukać.

- Dzięki - odparła i uśmiechnęła się do Adriana.

Podalam do stołu grzankę i sok. Zostawiłam ją z Adrianem w kuchni i poszłam na górę. Gdzieś miałam zapasową szczotkę - dostałam taki komplet od cioci na gwiazdkę - ale chwilę potrwało, nim ją wreszcie znalazłam na dnie szuflady z bielizną. Potem od razu wróciłam na dół.

Weszłam do kuchni i wydałam lekki okrzyk. Dawn wyjęła Adriana z leżaczka i posadziła sobie na kolanach.

- Uważaj, żeby nie spadł.

- Uważam - odparła, lekko go podzuczając. - Właśnie je śniadanie. - Zauważyłam, że Adrian próbuje coś wypluć. Szybko go zabrałam i otworzyłam mu buzię. Miał tam spory kawałek grzanki, który natychmiast wyjęłam.

- Kochanie, nie można mu tego dawać! On ma dopiero cztery miesiące! Nie ma jeszcze zębów. Nie umie gryźć. Mógłby się udławić. - Sprawdziłam raz jeszcze, czy w buzi nic nie zostało,

- Przepraszam, Cathy. Nie wiedziałam.

- Na szczęście nic się nie stało. Ale więcej nic mu nie dawaj, dobrze? Wolałabym też, żebyś go nie wyjmowała z leżaczka. Możesz oczywiście brać go na ręce, ale tylko kiedy jestem w pobliżu. Jest bardzo delikatny. Rozumiesz?

Zgodziła się bez słowa. Trudno było mieć do niej pretensje, ponieważ nie zdawała sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo naraża dziecko. Obudziło to jednak we mnie czujność, gdyż uświadomiłam sobie, że trzynastolatka ma prawo nie wiedzieć pewnych rzeczy - ja w jej wieku też nie wiedziałam.



## *efke ma nie zadane*

**S**zkoła St. James's była koedukacyjna i chodziły do niej dzieci w wieku od dwunastu do osiemnastu lat. Kilka razy przejeżdżałam koło niej, ale nigdy nie byłam w środku. Cieszyła się dobrą opinią i z dwóch placówek oświatowych w tej dzielnicy uważana była za tę lepszą. Szkoła Jacka znajdowała się dalej, na granicy hrabstwa, w pobliżu domu jego rodziców. Chodził tam również, gdy mieszkał u nas, bo woleliśmy oszczędzić mu stresu związanego ze zmianą szkoły. Budynek St James's, stojący przy samej ulicy, miał około pięćdziesięciu lat. Ze względu na rosnącą liczbę uczniów z tyłu dobudowano jedno skrzydło; znajdowało się tam także szkolne boisko.

Zaparkowałam w bocznej uliczce i wzięłam z tylnego siedzenia dużą torbę na ramię, towarzyszącą mi stale, odkąd urodził się Adrian. Były tam pieluszki, chusteczki pielęgnacyjne dla niemowląt, mała butelka przegotowanej wody, grzechotka i smoczek, na wypadek gdyby mały płakał. Ostrożnie wyjęłam synka z fotelika.

- Czy mogę go ponieść? - spytała natychmiast Dawn i od razu wyciągnęła rękę. - Jesteś w pobliżu, a ja go na pewno nie upuszczę.

Spojrzałam na twarde betonowy chodnik.

- Nie, kochanie, dziękuję. Poradzę sobie.

Nie wzięła sobie odmowy do serca. Rozumiałam, że rzeczywiście chce pomóc, ale dostrzegałam niebezpieczeństwa, z których trzynastolatka nie zdawała sobie sprawy. Pomyślałam nawet nie bez pewnej obawy, że ta chęć pomocy przy Adrianie może w przyszłości stwarzać problemy.

Wraz z grupą uczniów poszliśmy w stronę głównego wejścia. Zaraz za drzwiami był hol z portiernią po prawej stronie, a za nią znajdowały się rozsuwane szklane drzwi, teraz zamknięte. Poprawiłam dziecko na rękę i nacisnęłam guzik dzwonka. Dawn ucichła. Nie odzywała się nawet do Adriana, a przecież całą drogę czule do niego zagadywała.

- Wszystko w porządku? - spytałam, kiedy czekałyśmy, aż ktoś się pojawi. Nic nie mówiąc, kiwnęła głową.

Uczniowie napływali nieprzerwanym strumieniem i nagle rozległ się przeraźliwy dzwonek. Adrian aż się wystraszył i musiałam go przytulić i uspokoić.

- Strasznie głośno - powiedziałam, kiedy przestało dzwonić.

- Muszę iść, bo spóźnię się na lekcję.

- Dobrze. Jeśli nauczycielka spyta, dlaczego nie masz odpowiedniego stroju, powiedz, że właśnie rozmawiam w tej sprawie.

Kiwnęła głową, ucałowała Adriana, a potem mnie.

- Miłego dnia - powiedziałam. - Będę czekać pod szkołą. Trzecia piętnaście?

- Jakieś pięć minut potrwa, nim się zbiorę do wyjścia.
- Dobrze, kochanie. Do zobaczenia.

Ucałowała jeszcze raz Adriana i zniknęła w grupie uczniów. Nacisnęłam ponownie guzik dzwonka i wreszcie zza przeszklonych drzwi ktoś wyjrzał.

- Tak? - spytała szorstko kobieta.

- Nazywam się Cathy Glass. Jestem matką zastępczą Dawn Jennings.

- Dawn Jennings? Z której klasy?

Nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby spytać o to Dawn.

- Nie jestem pewna. Ma trzynaście lat.

- To pewnie z drugiej. - Zamilkła na moment. - A, tak.

Dawn Jennings. Jest u nas od niedawna, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chciałabym o niej porozmawiać. Czy jest dyrektorka? Albo wicedyrektorka?

- O tej porze? Pani żartuje! Obie są zajęte. A nauczycielka w tej chwili jest w klasie. Może pani przyjdzie później?

- Owszem, mogę przyjść później. - Nie podobał mi się sposób, w jaki mnie traktowała. - Ale Dawn nie ma dziś mundurka i chciałam ją wytłumaczyć. Poza tym muszę o niej porozmawiać.

Zawahała się.

- Proszę zaczekać.

Weszła za szklane drzwi i zadzwoniła gdzieś z telefonu stojącego na biurku. Hałas na korytarzu wzmógł się, bo przebiegała właśnie grupa spóźnialskich. Adrian znów się poruszył niespokojnie, więc go pokołysałam. Kobieta odłożyła słuchawkę i wyszła do mnie.

- Na szczęście jest wychowawczyni - powiedziała. - Zaraz przyjdzie. Proszę zaczekać tam. - Pokazała otwarte drzwi po drugiej stronie korytarza.

- Dziękuję.

Przeszłam do poczekalni, gdzie stały cztery drewniane krzesła i niewielki stolik, na którym leżały prospekty informacyjne na temat szkoły. Usiadłam. Adrian patrzył dokoła z zainteresowaniem, choć nie było tu nic ciekawego. Na jasnoszarych ścianach wisiało kilka plakatów informujących o tym, jak bezpiecznie przechodzić przez jezdnię. Wyciągnęłam z torby grzechotkę i włożyłam Adrianowi do rączki. Radośnie pomachał nią i rzucił. Podniosłam, znów włożyłam mu do rączki i za chwilę ponownie znalazła się na podłodze.

- Oj, ty psotniku. - Schyliłam się, a on zapiszczał i zaczął machać nóżkami. Schowałam grzechotkę do kieszeni płaszcza.

- Pani Glass? - W progu stała elegancko ubrana kobieta po trzydziestce. - Jestem Jane Matthews, wychowawczyni Dawn. - Podaliśmy sobie ręce, a ona uśmiechnęła się do Adriana. - Myślałam, że Dawn mieszka w ośrodku opiekuńczym dla nastolatków. - Usiadła obok.

- Była tam do wczoraj, teraz my z mężem się nią zajmujemy. Chciałam się przedstawić oraz usprawiedliwić dzisiejszy brak mundurka. Nie chciałam, żeby miała jakieś problemy. Kupię go dziś po południu.

Jane Matthews przyjrzała mi się uważnie.

- Szczerze mówiąc, ona i tak raczej rzadko nosi mundurek. A skoro już o tym mowa, to niezbyt często przychodzi do szkoły.

- To się zmieni - zapewniłam. - Dotąd nie miała odpowiednich warunków. Mieszkała to u matki, to u ojca.

- Są rozwiedzeni?

- Tak sędzę.

- Chętnie zanotuję sobie pani dane, na wypadek gdyby potrzebny był kontakt. Tylko przyniosę coś do pisania. - Wyszła i po chwili wróciła z kartką i długopisem. Sprawiała wrażenie osoby w pełni profesjonalnej i skutecznej w działaniu, ale i życzliwej, miałam więc nadzieję, że dowiem się czegoś więcej. Usiadła obok, napisała na górze kartki „Dawn Jennings” a poniżej moje nazwisko. Podałam jej adres i numer telefonu.

- Gdzie najlepiej kupić mundurek? - Wiedziałam, że szkoły zaopatrują się w wybranych sklepach.

- W centrum, u Graya. Wie pani, gdzie to jest?

- Tak, przy głównej ulicy. Chciałabym też jakoś pomóc Dawn w jej szkolnych sprawach.

- Bardzo się cieszę. Jeśli Dawn zacznie regularnie chodzić do szkoły, to już będzie duża pomoc. Frekwencję dotąd miała fatalną. Pisaliśmy do matki, wzywaliśmy na rozmowę, ale nie przyszła. Pod telefonem nigdy jej nie ma, a nie mamy numeru ojca.

Pokiwałam głową.

- Mam wrażenie, że Dawn nie przepada za szkołą. Nie mam pojęcia dlaczego. Może pani coś wie na ten temat?

- Niestety, przykro mi. Może nie zdążyła się z nikim zaprzyjaźnić, bo chodzi tu od niedawna? Zaczęła we wrześniu i ma prawie same nieobecności. W klasie pracuje dobrze, ale z tego, co wiem, nie zdarzyło się jej jeszcze oddać żadnej pracy domowej.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jest aż tak źle. W sumie niewiele o niej wiem. Czy może mi pani jeszcze coś o niej powiedzieć?

- Sama mam bardzo skąpą wiedzę. Dokumentacja Dawn jest skromna. Przedtem chodziła do szkoły w Manchester i w Gatesby. Zdaje się, że od samego początku dużo wagarowała. Jak długo zostanie u pani?

- Nie wiem. Liczę na to, że w końcu dowiem się czegoś więcej od jej kuratorki.

- Nam też mogłaby powiedzieć. Niełatwo pomóc dziecku, nie mając żadnych informacji, - Pokiwałam głową na znak, że się z nią zgadzam. - Dawn jest zdolna - ciągnęła Jane Matthews. - Ale ma spore zaległości. Mam nadzieję, że teraz zacznie je nadrabiać. Sprawia wrażenie miłej dziewczynki, nie było żadnych incydentów z jej udziałem. Ale jak powiedziałam, rzadko się zjawia, więc mało ją znam. - Uśmiechnęła się do Adriana, - Śliczny. To pani pierwsze dziecko?

- Tak. To widać? - uśmiechnęłam się z koleją.

- Nie. Przyszło mi to do głowy, bo z mężem od jakiegoś czasu staramy się o dziecko, ale na razie nic z tego.

Dobrze znałam to uczucie.

- Z całego serca życzę państwu powodzenia. I dziękuję, że spotkała się pani ze mną.

- Ja również dziękuję.

Pożegnałyśmy się i wyszłam, mijając po drodze następnych spóźnialskich. Wprawdzie nie dowiedziałam się niczego więcej o Dawn, ale przynajmniej nawiązałam kontakt ze szkołą.

Po powrocie do domu nakarmiłam Adriana, a kiedy zasnął, wzięłam się do zwykłych domowych zajęć. Potem zjadłam lunch i zdrzemnąłam się na kanapie. Obudził mnie telefon. To John dzwonił między zebraniem.

- No i jak? - spytał.

- Dobrze, tyle że jestem zmęczona. Dawn nic nie pamięta. Twierdzi, że dobrze spała. Odwiozłam ją do szkoły i rozmawiałam z jej wychowawczynią.

- To już coś. A jak się miewa Adrian?

- Śpi.

- Jak się obudzi, powiedz mu, że tata go całuje.

- Powiem. Wracasz normalnie dziś wieczorem?

- Pewnie tak. Do zobaczenia. Kocham cię.

- Ja ciebie też. Do zobaczenia.

Zgodnie z umową odebrałam Dawn po szkole i pojechałyśmy na zakupy. Kupiłyśmy szkolny mundurek i odpowiednie buty, a następnie zwykle ubrania: spodnie, dżinsy, spódnicę, dwa swetry, koszulki bawełniane i bieliznę. Wypisałam czeki, starając się nie myśleć, ile to razem wyniesie. Jeśli kuratorka Dawn nie przywiezie nic od rodziców, będę musiała dalej kompletować jej garderobę. Na razie miała trzy zmiany zwykłych ubrań i kompletny szkolny mundurek. Przy każdym zakupie dziękowała mi wylewnie. Adrian jechał w wózek, który cały czas pchała ona. Nakarmiłam go przed wyjściem, a w sklepach dostawał wodę.

Po powrocie do domu Dawn powiesiła nowe ubrania w szafie, a ja nakarmiłam Adriana, po czym położyłam go w leżaczku w kuchni i zabrałam się za kolację. Dawn pomogła mi przygotować warzywa i do powrotu Johna oglądałyśmy telewizję. Do stołu zasiedliśmy we troje, oczywiście w towarzystwie Adriana. Podobnie jak ja wcześniej, John spytał Dawn, jak było w szkole. Odpowiedziała tak samo: „Dobrze, dziękuję”. Zapytał też,

podobnie jak ja, czy ma coś zadane, a ona odpowiedziała tak samo jak mnie, że nie.

Wierzyliśmy jej. W szkole mieli mój numer telefonu, więc uznałam, że mnie powiadomią, jeśli z Dawn coś będzie nie tak.

O ósmej Dawn wzięła kąpiel, po czym zeszła na dół powiedzieć dobranoc. Zajrzałam do niej pół godziny później. Spała - leżała na boku i wyglądała bardzo spokojnie. Wykąpałam Adriana, potem jak zwykle go nakarmiłam, a kiedy sama brałam kąpiel, John go położył do łóżeczka. Byliśmy niewyspani po poprzedniej nocy, więc poszliśmy spać już o wpół do jedenastej. Chyba oboje obawialiśmy się, że znów nas czeka to samo, choć żadne się do tego głośno nie przyznało.

- Dziś na pewno będzie dobrze spała - powiedziałam jeszcze, kiedy już leżeliśmy. - Też jest zmęczona.

- Hm - powiedział John. - Mam nadzieję.

Chwilę później chrapał.

O drugiej czterdzieści pięć, kiedy Adrian obudził się na karmienie, natychmiast spojrzałam w stronę drzwi, ale były zamknięte. Podobnie było, kiedy zadzwonił budzik. Uznałam więc, że możemy zapomnieć o wypadkach ubiegłej nocy. Dawn pewnie była niespokojna, że śpi w nowym miejscu, i teraz, kiedy już się przyzwyczaiła, wszystko będzie dobrze.



## *Piętna wpadka*

*M*inęły dwa tygodnie i wydawało się, że Dawn przywykła do nas. Co dzień rano odprowadzałam ją do drzwi i czekałam na jej powrót za piętnaście czwarta. Po przyjęciu wypijała coś, jadła lekki podwieczorek, bawiła się z Adrianem pod moim dyskretnym nadzorem, po czym szła do swego pokoju odrabiać lekcje. Kolację jedliśmy we troje. John zawsze pytał Dawn, jak było w szkole i czy potrzebuje pomocy w odrabianiu lekcji - nigdy nie chciała. Twierdziła, że lekcje „są łatwe” jak już „się wpadnie w rytm”.

W trzecim tygodniu jej pobytu u nas, kiedy jak zwykle w czwartek wzięłam się do sprzątanania, zadzwonił telefon. Była to Jane Matthews.

- Czy Dawn jest chora? - spytała.

- Nie - odparłam ze zdziwieniem. - Czemu pani pyta? Skarżyła się na coś?

- Nie wiem, proszę pani, bo nie było okazji jej zapytać. Od tygodnia nie przychodzi do szkoły.

- J a k to? Jest pani pewna? - wykrzyknęłam.

- Owszem. Ostatni raz widziałam ją w piątek rano. Od tamtej pory jej nie było.

Wprost nie mogłam uwierzyć.

- I nie wie pani, gdzie jest? - spytałam.

- Nie. Rozumiem zatem, że pani też nie wie.

Milczałam chwilę, zastanawiając się intensywnie. Przebiegłam w myślach cały ubiegły tydzień.

- Co dzień wychodziła z domu, a potem wracała po południu. Nawet odrabiała lekcje.

Usłyszałam cichy, lekko kpiący śmiech.

- Ale już w szkole się nie pojawiała. Ciekawe, czy sama wymyślała, co było zadane. Jeśli tak, to pogratulować pomysowości!

Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że ani razu nie widzieliśmy Dawn odrabiającej lekcje. Ufaliśmy jej, kiedy codziennie szła do pokoju, a potem wracała, mówiąc, że skończone. Wierzyliśmy jej na słowo i nie sprawdzaliśmy zeszytów. Ale gdybym się do tego przyznała, Jane Matthews uznałaby mnie za osobę wyjątkowo naiwną.

- Czyli nas okłamała - stwierdziłam.

- Na to wygląda. A w piątek rzeczywiście była u dentysty?

- U dentysty?

Znów kpiący śmieszek.

- I wszystko jasne! W piątek Dawn przyniosła od pani usprawiedliwienie, że musi wyjść o dwunastej, bo idzie do dentysty i już nie wróci po południu. Czyli sama je sobie napisała i podrobiła pani podpis.

Kolejny cios.

- Nie pisałam usprawiedliwienia. Nie było żadnego denty-  
sty - Wprost nie mieściło mi się to w głowie. Nagle zaniepo-  
koiliłam się o nią. - Mam nadzieję, że nic złego się jej nie stało.  
Gdzie ona może być?

- Trudno powiedzieć, ale raczej nie zginie. Założę się,  
że wróci o zwykłej porze.

Właśnie tak zrobiła dzień wcześniej. I z uśmiechem opowia-  
dała, jak minął dzień - długo i szczęśliwo. A teraz okazało się,  
że wszystko zmyśliła. Nie mogłam uwierzyć, że mnie z preme-  
dytacją okłamywała. Przyszło mi do głowy, że przecież musi być  
jakiś powód takiego zachowania. Ale jaki?

- Dziękuję, że pani zadzwoniła - westchnęłam. - Porozma-  
wiam z Dawn, jak wróci.

- Czyli jutro możemy się jej spodziewać?

- Tak, oczywiście. W razie czego samą ją odwiozę.

- Gdyby w przyszłości miała być nieobecna za pani zgodą,  
proszę powiadomić sekretariat. Wydam też polecenie, żeby  
sekretarka dzwoniła do pani, jeśli ona się nie zjawi. Wtedy nas  
nie wyprowadzi w pole.

- Dobrze, oczywiście.

- Powiadomię jej kuratorkę - dodała na koniec. - No i liczę  
na to, że jutro Dawn zaszczyca nas swoją obecnością.

- Tak. Dziękuję. Do widzenia.

To zrozumiałe, że Jane musiała powiadomić Ruth, ale mimo  
to poczułam się tak, jakby składała na mnie donos. W pewnym  
sensie byłam winna - to ja nie dopilnowałam Dawn.

W moim odczuciu Jane Matthews zbyt lekko potrakto-  
wała sprawę wagarów. Pewnie po wielu latach pracy w szkole

przywykła do takich sytuacji. Mnie zupełnie wytrąciło to z równowagi. Jak Dawn mogła nas tak bezczelnie okłamywać przez cały tydzień? I jeszcze sama napisała sobie usprawiedliwienie, podrabiając przy tym mój podpis! Widocznie byłam łatwowierna, ale te wszystkie opowieści o szkole, nowych kolegach i koleżankach brzmiały tak wiarygodnie, że do głowy mi nie przyszło, by jej nie wierzyć. Nie miałam powodu. Zaproponowałam nawet, żeby zaprosiła do nas na kolację nową koleżankę, Mandy. Czy w ogóle była jakaś Mandy? Może wcale nie istniała? I co robiła Dawn w swoim pokoju przez dwie godziny, kiedy to niby odrabiała lekcje? Nie miała u siebie telewizora, a nie włączała muzyki.

Wróciłam do salonu, gdzie Adrian spał w leżaczku. Usiadłam na kanapie i zaczęłam intensywnie myśleć. Wahałam się, czy nie zadzwonić do Johna, ale nie chciałam mu przeszkadzać w pracy. Miał dużo obowiązków, i to wiążących się ze sporą odpowiedzialnością, więc telefonowałam tylko w wyjątkowych sytuacjach. Czasami dzwonił do mnie w przerwie na lunch i liczyłam w duchu na to, że zrobi to dzisiaj. Musiałam z nim pogadać. Było mi naprawdę smutno, że Dawn nadużyła mego zaufania.

Popołudnie minęło w minorowym nastroju. Zastanawiałam się, co Dawn robiła przez cały ten tydzień i co robi teraz. Gdzie może być? Dzień ciągnie się bez końca, kiedy nie ma się nic do roboty. Włączyła się po mieście? Przesiadwała w bibliotece albo w kawiarni? Poszła nie wiadomo gdzie albo spotkała się z kimś nieciekawym? Mieliśmy środek zimy, było bardzo chłodno. Martwiłam się, czy nie marznie i czy ma co jeść. Dałam jej pieniądze na obiad w szkole, ale za półtora funta niewiele da się kupić poza szkolną stołówką.

O drugiej piętnaście zadzwonił telefon. Rzuciłam się odebrać w nadziei, że dzwoni Dawn, aby przyznać się do wszystkiego i poprosić o przywiezienie do domu. Albo John. Okazało się, że to Ruth.

- Wróciła? - spytała szorstko.

Moje poczucie winy natychmiast się wzmogło.

- Jeszcze nie. A pani nie wie, gdzie może być?

- Nie. Nigdy tego nie wiedzieliśmy.

- A więc zdarzało się, że znikala na cały dzień? - spytałam. Zarówno Ruth, jak i Jane Matthews wspominały, że Dawn opuszczała szkołę, ale żadna z nich nie powiedziała nic więcej.

- Tak, kiedy mieszkała z matką. Zdaje się, że znów zaczyna stare sztuczki. Szkoda. Myślałam, że u państwa będzie jej lepiej.

- Ale ona dobrze się u nas czuje - broniłam się. - Musi być jakieś wyjaśnienie.

Ruth przez chwilę wymownie milczała. Widocznie uważała mnie za naiwną, a moje zaufanie do Dawn za głupotę.

- Miejmy nadzieję - powiedziała w końcu sucho. - Pewnie się niebawem zjawi i wymyśli jakieś dobre wytłumaczenie. Osądzi pani, czy mówi prawdę. Dostała kieszonkowe?

- T a k .

- Całość?

- Tak. Czy to źle?

- Lepiej dawać jej po trochu pod koniec każdego dnia, jak coś w rodzaju nagrody. Porozmawiamy o tym jeszcze. Umówiłam nas na spotkanie w przyszły wtorek, żeby państwo poznali matkę Dawn. Proszę ją też przywieźć. Spiszemy zasady postępowania.

- Dobrze, przyszedł wtorek. - Szczerze mówiąc, bardziej się przejmowałam tym, czy Dawn w tej chwili jest bezpieczna, niż tym całym spotkaniem.

- W ośrodku opiekuńczym o siódmej.

- Dobrze. Czy mam zadzwonić, kiedy Dawn wróci?

- Tylko jak będą jakieś problemy. Jeśli nie, to porozmawiamy we wtorek.

Pożegnałyśmy się i odłożyłam słuchawkę. Wpisałam do kalendarzyka datę i godzinę spotkania. Przez całe popołudnie nie mogłam nic robić. Spoglądałam na zegarek, denerwowałam się, gdzie też Dawn może się podziewać, i powtarzałam sobie w myślach, co powiem, jak wróci do domu. Przyszło mi do głowy, że może lepiej odłożyć zasadniczą rozmowę do powrotu Johna, żeby mieć jego wsparcie, ale po namyśle zmieniłam zdanie. Trudno by mi było udawać, że wszystko jest w porządku, skoro wiedziałam o wagarach. Tak właśnie postępowała Dawn - udawała i zachowywała się jakby nigdy nic.

Adrian też był niespokojny. Tak mnie to wszystko pochłonęło, że nie pobawiłam się z nim jak zwykle ani nie zabrałam go na dwór. O wpół do czwartej nerwowo chodziłam z nim na rękę i czekałam na powrót Dawn. Dokładnie za piętnaście czwarta rozległ się dzwonek do drzwi, a ja poczułam ściskanie w dołku. Poszłam otworzyć, ale nie wiedziałam jeszcze, co powiem.

- Cześć, Dawn. Wchodź. Zimno dziś na dworze. - Uśmiechałam się, ale powściągliwiej niż zwykle.

- Oj, tak - odparła. - Zmarzłam. - Jak zwykle ucałowała Adriana.

Zamknęłam drzwi i spojrzałam na nią. Była spokojna, zachowywała się jak zawsze. Rzuciła torbę w przedpokoju, zdjęła kurtkę i powiesiła na wieszaku. Zazwyczaj pytałam ją wtedy, jak minął dzień, ale dziś tego nie zrobiłam. Nie chciałam jej prowokować do kolejnego kłamstwa. Wiedziałam, że odpowie jak zwykle: „Dobrze, Cathy”, a potem popłynie zmyślona historyjka.

- Dawn - odezwałam się poważnym tonem. - Weź sobie coś do picia, a potem chcę z tobą porozmawiać. - Coraz bardziej się denerwowałam.

W oczach miała samą niewinność.

- Czy wszystko w porządku, Cathy? - spytała. - Taka jesteś poważna.

- Owszem, bo to poważna sprawa. Dostałam niezbyt dobrą wiadomość. Weź sobie picie i przyjdź do salonu.

- Nie chcę mi się pić. Chodźmy od razu. - Poszła przodem, a ja za nią z Adrianem na rękę. Ciągłe żywiłam nieśmiałą nadzieję, że znajdzie się jakieś prawdopodobne wytłumaczenie.

Usiadła w fotelu, a ja na kanapie z Adrianem na kolanach.

- Jesteś jakaś smutna - zauważyła. - Mam nadzieję, że to nie przeze mnie.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

- Zadzwoiła dziś do mnie pani Matthews. Pewnie się domyślasz, co mi powiedziała.

Przez moment na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Już myślałam, że zaprzeczy, ale zastanowiła się chwilę, spuściła głowę i powiedziała cicho:

- T a k .

- Wagarowałaś cały tydzień.

Pokręciła głową.

- Przepraszam, Cathy. Byłaś dla mnie taka dobra. Zawiodłaś się na mnie, prawda?

- Owszem, zawiodłam się. I nie tylko dlatego, że nie chodziłaś do szkoły. Najgorsze i najbardziej bolesne jest to, że kłamałaś i oszukiwałaś. A w piątek napisałaś sobie usprawiedliwienie, że masz iść do dentysty. Podrobiłaś mój podpis. To nieuczciwe. Dlaczego nie chodziłaś do szkoły?

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Posmutniała, w oczach zaślniły łzy.

- Przepraszam, Cathy. Naprawdę. Ale źle się tam czuję. Nie nawidzę szkoły. Nie mam przyjaciółek. Jestem sama jak palec.

Natychmiast obudziło się we mnie współczucie.

- Dlatego nie chodziłaś? Bo nie masz przyjaciółek? - Cały czas patrzyłam na nią uważnie.

Pokiwała głową i pociągnęła nosem.

- Nie płacz. Porozmawiamy spokojnie i zaraz znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Potarła oczy grzbietem dłoni.

- Jestem tam od niedawna, a wszyscy się już dobrze znają. Nie chcą mnie przyjąć do żadnej paczki. Z nikim nie rozmawiam. Smutno mi na przerwie, jak inni rozmawiają i się śmieją. Zaraz mi się wydaje, że to ze mnie - bo nie mam żadnych znajomych. Chciałam ci powiedzieć, Cathy, ale było mi wstyd. Pewnie byś pomyślała, że jestem głupia.

- Nigdy bym tak nie pomyślała. I przykro mi, że nic nie powiedziałaś. - Z ulgą dowiedziałam się, że jednak istniał jakiś powód



wagarów, i to przekonujący. W tym momencie gotowa byłam jej wybaczyć. Żał mi się jej zrobiło - z nikim nie rozmawia o swoich problemach i jest z nimi całkiem sama. - Dobrze, że teraz już wiem. Gdybym wiedziała wcześniej, mogłabym ci pomóc.

- J a k ? Umiąłabyś ich zmusić, żeby się ze mną przyjaźnili?

- Nie. Ale mogę porozmawiać z twoją wychowawczynią i przedstawić jej ten problem. Ona na pewno wymyśli jakieś dobre rozwiązanie. A tak uważa, że po prostu wagarujesz. Kochanie, to bardzo ważne, żebyś mówiła o swoich problemach. Jak zwierzysz się komuś, od razu robi się lżej na duszy. - Słuchała mnie uważnie, potakując. - Zawsze gotowa jestem cię wysłuchać i pomóc. Ale na pewno nie zaprzyjaźnisz się z nikim, jak nie będziesz chodzić do szkoły, prawda? - Znów pokiwała głową i pociągnęła nosem. - A teraz wytrzyj oczy. I chodź do mnie.

Wyjęła chusteczkę z rękawa, otarła oczy i usiadła obok. Z Adrianem na kolanach objęłam ją ramieniem i mocno przytuliłam.

- Wiem, że zawieranie przyjaźni to trudna sprawa, zwłaszcza gdy jest się w nowej szkole. Ale jeśli będziesz uciekać od problemu, to go nie rozwiążesz. W którymś momencie trzeba mu stawić czoło.

- Wiem, Cathy. Dziękuję, że jesteś taka wyrozumiała. Wytłumaczysz mnie w szkole?

- Tak. Jutro pojedę z tobą i porozmawiam z panią Matthews. Na pewno ci pomoże.

- Dzięki - powiedziała serdecznie. - Jesteś taka dobra. Mama w ogóle się tym nie przejmowała.

- Naprawdę?

Smutno pokręciła głową. Najwyraźniej nie chciała o tym mówić.

- Obiecujesz, że nie będziesz więcej uciekać ze szkoły? -  
Zabrałam rękę z jej ramienia i poprawiłam sobie Adriana na kolanach.

- Obiecuję.

- I jeszcze jedno, zanim ostatecznie zakończymy tę sprawę.

- T a k ?

- Dokąd chodziłaś, jak nie byłaś w szkole?

Wzruszyła ramionami.

- Różnie. Po sklepach, do McDonalda. Tam, gdzie ciepło. Było okropnie. Naprawdę chciałam przyjść do ciebie, ale nie miałam odwagi.

- Okej, kochanie. Dzięki, że mi powiedziałaś. A teraz zrób sobie coś do picia i zjedz podwieczorek. Rozumiem, że dziś nie będziesz odrabiać lekcji?

Spojrzała mi prosto w oczy i odpowiedziała z uśmiechem.

- Nie. Przepraszam. Naprawdę było mi strasznie wstyd, że oszukuję ciebie i Johna. I nudziłam się tam sama w pokoju,

- W porządku. Nie mówmy o tym więcej.

Serdecznie ucałowała mnie w policzek.

- Dzięki Cathy. Jesteś super! Bardzo się cieszę, że jestem u was.

Kiedy John jak zwykle o wpół do siódmej wrócił z pracy, w domu było cicho i spokojnie. Adrian urzędował w leżaczku w kuchni, zabawiany przez Dawn, a ja kończyłam przyrządzać kolację. Przy stole rozmawialiśmy głównie o kaszkach, które wprowadziłam do diety Adriana, by zaczął przesypiać całą noc.

Zaczekałam, aż Dawn pójdzie się wykąpać, i opowiedziałam Johnowi, co się stało. A ponieważ wszystko zostało już załatwione, nad sprawą się nie rozwodziłam; omówiliśmy ją jak inne zwykle wydarzenia dnia.

Nazajutrz odwiozłam Dawn do szkoły, a kiedy poszła do klasy, ja udałam się na spotkanie z Jane Matthews.

- Mam pomysł - rzekła Jane z ożywieniem, kiedy opowiedziałam jej o kłopotach Dawn ze znalezieniem przyjaciół. - W poniedziałek przychodzi do klasy nowa dziewczynka, Natasha. Porozmawiam dziś z Dawn i spytam, czy chce się nią zająć. Zawsze przydzielamy nowym uczniom kogoś, kto ich wprowadza w szkolne życie, siedzi obok w klasie i pomaga się zaaklimatyzować. Często takie osoby się zaprzyjaźniają.

- Dobry pomysł - powiedziałam. - Na pewno nie zaszkodzi spróbować. Bardzo dziękuję.

- Miejmy nadzieję, że odniesie to pożądany skutek. Dawn nie może sobie więcej pozwolić na nieobecności.

- Nie będzie już opuszczać lekcji - odparłam z pełnym przekonaniem. - Na pewno.

Kiedy w piątek po południu Dawn wróciła ze szkoły, od progu pochwaliła się, że ma się opiekować nową koleżanką, która przyjdzie w poniedziałek. Z jej entuzjazmu wynikało, że był to rodzaj wyróżnienia, cieszącego się uznaniem wśród uczniów.

Piątkowy wieczór minął nam miło. Wszyscy troje odpoczywaliśmy po trudach całego tygodnia. Potem Dawn pokazała

nam swoją pracę domową z matematyki i John pomógł jej w rozwiązywaniu zadań. Następnie razem obejrzelśmy film w telewizji. Dawn poszła spać zaraz po filmie, czyli o wpół do jedenastej.

Liczyłam na to, że się wyśpię w weekend, tym bardziej że teraz Adrian rzadziej się budził. Ale o drugiej coś przerwało mój sen. W dobiegającej z ulicy skąpej poświacie ujrzałam Dawn. Weszła do sypialni i zbliżała się do łóżeczka. Jak przedtem, poruszała się jak automat. Oczy miała szeroko otwarte. Obudziłam Johna, a w tym momencie ona pochyliła się nad łóżeczkiem. Wyraźnie zamierzała wziąć Adriana na ręce.

- Dawn, nie! - krzyknęłam i wyskoczyłam z łóżka.

## Kobiecość

Musiła usłyszeć, bo zastygła w bezruchu.

John w jednej chwili znalazł się przy łóżeczku. Adrian otworzył oczy, które błysnęły w półmroku, i zaraz je zamknął. Dawn, pochylona nad nim, wolno się wyprostowała, po czym odwróciła się i „spojrzała” na mnie. Jak przedtem oczy miała szkliste, niewidzące i zupełnie nieruchome. Jakby patrzyła przeze mnie, a nie na mnie.

- Dawn - odezwałam się. - Wracaj do łóżka. - Od chwili gdy odkryłam jej obecność w pokoju, serce waliło mi jak młot.

- Idź do siebie - dodał John stanowczo. Chciał ją wziąć za ramię i skierować w stronę drzwi. Cofnęła się, jakby poczuła to jego dotknięcie, i przeszedł ją dreszcz. Nas za chwilę też przeszedł, gdy powiedziała wolno, wyraźnie akcentując poszczególne wyrazy:

- Nie. To nie ja. Nie zrobiłabym czegoś takiego. - Umilkła i cały czas patrząc gdzieś w dal poza moimi plecami, zaczęła kra-  
wędźnią prawej dłoni uderzać w lewy nadgarstek.

Był to dla nas kolejny szok, gdy tak jednostajnym ruchem „siękała” własną rękę. Po chwili, jakby osiągnęła zamierzony cel, opuściła rękę, wolno się odwróciła i ruszyła w stronę drzwi. Poszliśmy za nią. Adrian na szczęście spał. Podeszła do schodów, przystanąła na chwilę tak samo jak przedtem, po czym skierowała się do swego pokoju. Stojąc w progu, widzieliśmy dobrze ciemny zarys jej sylwetki. Podeszła do łóżka, wolno podniosła kołdrę i usiadła. Chwilę posiedziała, po czym położyła się i nakryła.

Wyszliśmy, cicho zamknęliśmy drzwi i wróciliśmy do sypialni. Zajrzałam tylko do Adriana, który cały czas spał, i położyłam się.

- Trzeba jej o tym powiedzieć - odezwał się John zdecydowanym głosem. Miał tego wyraźnie dość. - A nuż coś pomoże. To nie jest normalne zachowanie.

- Sądzisz, że aż tak się przejęła szkołą? - spytałam. - Słowa: „To nie ja” zabrzmiały jak odpowiedź na jakiś poważny zarzut. Może ma tam jakieś problemy?

- Trudno powiedzieć - westchnął. - I dlaczego poszła do Adriana, jeśli ma to coś wspólnego ze szkołą? Jeszcze raz zrobi taki numer, a założę zamek w drzwiach. Dla bezpieczeństwa Adriana.

- Na pewno nie miała żadnych złych zamiarów - zapewniłam go. - Tylko chciała wziąć go na ręce, tak jak w ciągu dnia.

Ale oczywiście byłam w pełni świadoma, że w jej stanie branie dziecka na ręce może się źle dla niego skończyć, nawet przy najlepszych intencjach.

- Może coś się wyjaśni na tym spotkaniu we wtorek - westchnął John. - Bardzo mnie ta sprawa niepokoi.

\* \* \*

Nim zdążyliśmy zasnąć, pół godziny później znowu przyszła. Ponownie odprowadziliśmy ją do łóżka i resztę nocy prześpała spokojnie, czego o nas nie można powiedzieć. Ciągle się budziłam i patrzyłam, czy drzwi są zamknięte. Adrian zapłakał dopiero o piątej. Nakarmiłam go, przewinęłam, zaraz potem zasnął. Była sobota, więc pospaliśmy do wpół do ósmej. Wtedy znów się obudził i wzięliśmy go do łóżka.

Śniadanie zjedliśmy tuż przed dziewiątą, we dwoje, bo Dawn jeszcze spała. John trzymał synka na kolanach. Malec, gulgocząc radośnie, usiłował złapać łyżkę za każdym razem, gdy ojciec podnosił ją do ust.

- Porozmawiam z Dawn - zdecydowałam. Od rana mówiliśmy niemal wyłącznie o niej. – Nie powiem jej, że przyszła do nas do sypialni, bo może się jeszcze bardziej zestresować. Spróbuję wy badać, co ją niepokoi. - Oboje byliśmy zgodni, że słowa „Nie, to nie ja” świadczą o jakimś poważnym przeżyciu.

Po dziesiątej Dawn wreszcie zeszła do nas, umyta, ubrana i wyspana. John z Adrianem prowadzili w salonie męskie rozmowy, przy czym jeden z rozmówców zadowalał się rozkosznym gaworzeniem. Dawn poprosiła o grzanekę. Gdy jadła, usiadłam obok niej i popijałam kawę.

- Dobrze spałaś? - spytałam jakby nigdy nic.

- Tak, dziękuję. Na ogół dobrze sypiam.

Zawahałam się, na moment odwróciłam wzrok. W końcu zebrałam się na odwagę. Miałam tylko nadzieję, że nie pogorszę tym sprawy.

- Widzisz, kochanie, tej nocy spałaś bardzo niespokojnie. Wstałaś nawet z łóżka i musiałam cię zaprowadzić z powrotem.

- Ojej, przepraszam. Obudziłam was? - spytała zaskoczona i wyraźnie zakłopotana.

- Tak, ale to nie szkodzi. Bardziej mnie martwi, że może masz jakieś kłopoty. Mówiłaś przez sen.

Zaniepokoiła się.

- Naprawdę? A co?

- Brzmiało to tak, jakbyś się broniła przed zarzutami. Powiedziałaś: „Nie, to nie ja”.

Widocznie słowa zabrzmiały dla niej znajomo, bo spuściła oczy.

- Czy coś cię gnębi? - spytałam. - Pamiętasz, co mówiliśmy o problemach?

Podniosła na mnie wzrok.

- Nie, Cathy, nic mnie nie gnębi. Naprawdę. Nie wiem, o co chodzi. Już mi się to zdarzało u mamy. Mówiła, że chodzę we śnie, ale ja nic nie pamiętam. Mam nadzieję, że tutaj zdarzyło się to po raz pierwszy?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Choć zaprzeczyła, niewątpliwie coś ją gryzło, ale też gotowa byłam uwierzyć, że nic nie pamięta. Przede wszystkim nie chciałam, żeby się jeszcze bardziej zdenerwowała, więc postanowiłam na tym na razie poprzestać.

- Może się czymś przejmujesz - powiedziałam. - Nic ci nie przychodzi do głowy? Czasem niepokój ujawnia się dopiero w nocy, we śnie.

- Nie - zaprzeczyła, odkładając na talerzyk resztkę grzanki.  
- Powiedziałbym ci. Przepraszam, że was obudziłam. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.

\* \* \*



Sobotę spędziłyśmy przyjemnie. Adrian został pod opieką Johna, a my ruszyłyśmy do sklepów. Między innymi kupiłam Dawn nowy płaszcz na zimę - bardzo jej się podobał i był dużo cieplejszy niż jej skórzana kurtka. Po południu pomagała mi w domu i dużo rozmawiałyśmy. Na kolację zamówiliśmy chińszczyznę, którą bardzo lubiła, potem razem obejrzeliśmy film na wideo. Poszła spać o wpół do jedenastej.

O drugiej w nocy nagle się obudziliśmy - najwyraźniej wyczuliśmy obecność Dawn w naszym pokoju albo może przez sen usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi. Zerwaliśmy się natychmiast. Jak poprzednio podeszła do łóżeczka Adriana, ale tym razem nie próbowała go wyjmować. Stała tylko i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Po chwili znów zaczęła wymierzać ciosy w nadgarstek, jak ubiegłej nocy. Tym razem robiła to mocniej i z większym zacięciem, jakby się za coś karała. Krzywiła się przy tym z bólu, choć przecież uderzenie dłonią nie mogło sprawiać aż takiego cierpienia. „Siekała” w ten sposób rękę około pół minuty. Nagle przestała, odwróciła się i wyszła. Odprowadziliśmy ją do łóżka.

W niedzielny poranek oboje byliśmy rozdrażnieni po kolejnej źle przespanej nocy. John pojechał do sklepu po zamek. Założył go, kiedy zabrałam Dawn na spacer z Adrianem. Nie chcieliśmy, żeby wiedziała, że się przed nią zamykamy. Przykro nam zresztą było z tego powodu, ale naprawdę mieliśmy już dość, nie mówiąc o tym, że nie czuliśmy się bezpieczni we własnym łóżku. Istniało przecież poważne ryzyko, że możemy nie usłyszeć, jak ona wchodzi. Wciąż prześladowała mnie wizja,

w której Dawn wyjmuję Adriana z łóżeczka, po czym upuszcza go na ziemię, podczas gdy my smacznie śpimy.

Kiedy wróciłyśmy do domu, John ukradkiem dał mi znak, że wszystko gotowe. Przy pierwszej sposobności poszłam na górę obejrzeć efekty jego pracy. Klucz tkwił w zamku od strony pokoju, z zewnątrz widoczna była tylko mała dziurka. Ulżyło mi, choć nadal czułam się źle z tym, że musieliśmy się uciec do takiego sposobu. Na spacerze w parku wymyśliłam, że w poniedziałek, kiedy Dawn będzie w szkole, pójdę do biblioteki i poszukam książki na temat somnambulizmu. Liczyłam na to, że gdy dowiem się czegoś więcej, łatwiej sobie poradzimy. Gdybyśmy potrafili zapobiec tym jej nocnym wędrówkom, zamek w drzwiach nie byłby potrzebny.

Wieczorem John zamknął drzwi sypialni na klucz i noc przespaliśmy spokojnie. Obudziliśmy się tylko raz, o czwartej, gdy Adrian zapłakał, żeby go nakarmić. Rano John wstał pierwszy i poszedł sprawdzić drzwi pokoju Dawn. Były zamknięte. Uznaliśmy, że tej nocy nie wychodziła, a zatem nie próbowała się do nas dostać. Kamień spadł mi z serca, bo bałam się, że jeśli Dawn nie dostanie się do nas, pójdzie gdzie indziej - zamiast wrócić do łóżka, zejdzie na dół i zrobi coś głupiego. Na razie jednak nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać.

Przed sobą miałam kolejny dzień - poniedziałek, początek nowego tygodnia.

Po wyjściu Johna od razu zabrałam się za zwykle zajęcia - nakarmiłam i przewinęłam Adriana, umyłam się i ubrałam, potem obudziłam Dawn. Jak zawsze zjadła grzankę z miodem i choć zaproponowałam, że ją odwiozę samochodem, wolą

pojechać autobusem. Postanowiłam jej zaufać, tym bardziej że nie przewidywałam kłopotów, gdyż bardzo chciała poznać tę nową koleżankę, Natashę, którą miała wprowadzić w życie szkoły. Dopilnowałam tylko, czy ma pieniądze na obiad i bilet na autobus, oraz życzyłam jej miłego dnia. Pochwaliłam ją jeszcze, że ślicznie wygląda w nowym płaszczu, i obiecałam, że będę trzymać kciuki. Ucałowała mnie na pożegnanie. Po południu miałam iść z Adrianem na wizytę kontrolną w przychodni dziecięcej, więc szybko sprzątnęłam w kuchni i nastawiłam pranie, po czym pojechałam do biblioteki. Wtedy nie było jeszcze w domach dostępu do Internetu - teraz znalazłabym potrzebne informacje w sieci.

Adriana zabrałam ze sobą w wózek. Miałam oczywiście nieodłączną torbę z niezbędnymi rzeczami, a w kieszeni płaszcza - smoczek i butelkę z wodą. Miękką wykładzina tłumiała odgłos kroków. Od razu poszłam do działu popularnonaukowego. Choć uczono nas tego w szkole, zawsze miałam trudności z wyszukiwaniem książek na podstawie klasyfikacji dziesiętnej Deweya. Jest to system bardziej nadający się dla bibliotekarzy mających zawodowo do czynienia z księgozbiorem niż dla osób korzystających z wypożyczalni sporadycznie. Nawet nie wiedziałam, do jakiej kategorii należy somnambulizm. Najpierw szukałam w dziale psychologii, ale na próżno, udałam się więc po pomoc do bibliotekarki. Sprawdziła w komputerze, okazało się, że to kategoria „Zdrowie”, podkategoria „Zaburzenia snu” numer Deweya 616.84. Odnalazłam wskazane miejsce i ustawiliśmy wózek z Adrianem tak, by malec mógł widzieć całą salę i mniej się nudził, zaczęłam przeglądać książki na półce.

Znalazłam *cztery* publikacje o zaburzeniach snu: dwa opracowania naukowe dla specjalistów, oparte na materiałach zgromadzonych do pracy doktorskiej, i dwie książki przeznaczone dla przeciętnego czytelnika. Te wypożyczyłam. Miałam wielką ochotę poczytać je od razu w tutejszej kawiarni, ale Adrian zaczął się kręcić niespokojnie i zdecydowanie odmawiał ssania smoczka, więc pojechaliśmy do domu.

Nakarmiłam go, położyłam spać, zrobiłam sobie kanapkę i zaparzyłam herbatę, po czym usiadłam w salonie i przystąpiłam do lektury pierwszej książki, zatytułowanej *Pomoc w zaburzeniach snu*.

Już na wstępie się dowiedziałam, że lunatyzm jest zjawiskiem bardziej powszechnym, niż się uważa, i często dotyka dzieci i młodzież. Według autora „*somnambulizm jest zaburzeniem przejawiającym się chodzeniem lub wykonywaniem innych czynności, kiedy osoba zaburzona cały czas pozostaje w stanie snu*” co jak ułał pasowało do zachowania Dawn. Osoby takie często we śnie wykonują różne czynności: jedzą, myją się, ubierają, korzystają z toalety czy uprawiają seks. „*Lunacy nie chodzą z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi przed siebie rękami jak w filmach*” - podkreślono. Mają oczy otwarte, ale szkliste i niewidzące, „*puste*”. Somnambulicy mówią dużo wolniej niż normalnie, co też się zgadzało z przypadkiem Dawn. Przeczytałam, że „*wbrew pokutującym przekonaniom obudzenie lunatyka wcale nie jest niebezpieczne*”. Jednak osoba taka może się wtedy poczuć zdezorientowana, więc zamiast budzić, lepiej łagodnie skierować ją z powrotem do łóżka. Bardziej zaniepokoiło mnie to, że nieprawdziwy też jest przesąd, jakoby lunatyk nie mógł

zrobić sobie krzywdy. „Zdecydowanie może” - twierdził autor kategorycznie. Zdarzało się, że somnambulicy zagrażali innym, a nawet popełniali zbrodnie. Ta ostatnia teza poparta była przykładem spraw sądowych, w których somnambulizm był wykorzystywany przez obronę jako okoliczność łagodząca. Oskarżonych uniewinniano, ponieważ nie byli świadomi popełnianych czynów, a więc i nie byli za nie odpowiedzialni. Jednak autor twierdził, że raczej rzadko się to zdarza. Najgorsze zaś jest to, że lunatyk sam sobie może niechcący zrobić krzywdę. Pewien mężczyzna wsiadł we śnie do samochodu i rozbił go trzydzieści mil od własnego domu.

W książce potwierdzono, że po obudzeniu lunatycy nie pamiętają tego, co robili, toteż często bezpośrednia przyczyna chodzenia we śnie pozostaje nieznana. Badania naukowe dowodzą, że może to być reakcja organizmu na „przemęczenie, stres, lęk, zażyte leki, narkotyki bądź alkohol albo też mogą się za tym kryć zaburzenia psychiczne”. Cały rozdział poświęcony był postępowaniu z lunatykami. Otóż przeczytałam, że osobę taką, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, należy delikatnie skierować do łóżka, „choć często lunatyk będzie usiłował wstawać ponownie, żeby wykonać zadania, które sobie wyznaczył”. Do zachowania Dawn pasowało to wręcz idealnie. Osoby chodzące we śnie znajdują się „w bardzo specyficznym stanie”. Najlepiej cichym, spokojnym głosem wmówić im, że właśnie robią to, co zamierzały zrobić, aby miały poczucie, że osiągnęły swój cel, a potem zaprowadzić do łóżka.

Lektura sporo mi dała. Pocieszające był to, że gdy Dawn przyszła w nocy do Adriana, zachowaliśmy się właściwie,

odprowadzając ją do pokoju. Jednak według książki powinienam mówić do niej na przykład: „Wszystko dobrze, Dawn. Z Adrianem też. Już go przytuliłaś, możesz wracać”. Czy to by coś dało? Może warto spróbować, zamiast się przed nią zamykać? W książce nie napisano, czy wskutek takiego postępowania lunatycy w ogóle zaprzestają nocnych wędrówek. W dodatku nie mieliśmy pojęcia, dlaczego dziewczynka wstaje w nocy.

Dowiedziałam się też, że ponieważ lunatycy nie są świadomi tego, co się dzieje, mówią o sobie rzeczy, których by normalnie nie powiedzieli. Zdarzają się im również nieświadome zachowania, które na jawie byłyby krępujące lub wstydliwe, jak oddawanie moczu w niestosownych miejscach czy czynności seksualne. Tu odetchnęłam z ulgą. Dawn zachowywała się bardzo niewinnie w porównaniu z opisanymi przypadkami. W książce odradzano zbyt szczegółowe informowanie lunatyków o ich zachowaniu w nocy. Oni wtedy i tak się nie kontrolują, a drobiazgowym opisem wprowi się ich w zakłopotanie i zwiększy stres. Byłam z siebie dumna, że pod tym względem też dobrze zdecydowałam. Na koniec przeczytałam, że epizody somnambuliczne mogą trwać od kilku sekund do kilku godzin i że dzieci zazwyczaj z tego wyrastają. W przypadkach gdy objawy się nasilają i trwają coraz dłużej, należy zwrócić się do lekarza, gdyż przyczyną mogą być czynniki psychologiczne bądź zaburzenia osobowości.

Odłożyłam pierwszą książkę i przekartkowałam drugą; zawierała podobne informacje i rady. Postanowiłam jeszcze do niej zajrzeć później. Na lekturze zeszło mi w sumie półtorej godziny i miałam po niej mieszane uczucia. Z jednej strony

ulżyło mi, że właściwie zareagowaliśmy na nocne wędrówki Dawn. Z drugiej strony zaniepokoiła mnie informacja, że lunatycy mogą zrobić krzywdę sobie i innym. W dodatku przyczyny somnambulizmu są w zasadzie nieznane, a sama dolegliwość trudna do leczenia.

Po południu zabrałam Adriana do przychodni. Okazało się, że przybyło mu kolejne sto kilkadziesiąt gramów. Ważył teraz ponad sześć i pół kilo. Sekretarka rano nie zadzwoniła, co oznaczało, że Dawn dotarła do szkoły. Cały dzień myślałam o niej z niepokojem.

Wróciła za piętnaście czwarta i od razu było widać, że ma za sobą wyjątkowo udany dzień. Uśmiechnięta, radosna, cały czas opowiadała o Natashy - siedziały razem w klasie, zajmowała się nią, zaprowadziła do szkolnego bufetu i pomagała się zaaklimatyzować. Przyjęłam to z wielką ulgą. Postanowiłam zadzwonić nazajutrz do Jane Matthews z podziękowaniem - miała świetny pomysł.

Dawn musiała napisać wypracowanie z angielskiego i przygotować się do testu z historii, więc tylko szybko coś przekąsiła i zabrała się do lekcji. Po powrocie Johna zjedliśmy wspólnie kolację, po czym Dawn poprosiła, żeby jej sprawdzić wypracowanie.

Siadaliśmy na kanapie. Temat brzmiał: „Znów mam pięć lat”. Trzeba było napisać o własnym życiu z perspektywy pięcioletka - albo na podstawie wspomnień z dzieciństwa, albo coś wymyślić. Nie mogłam się nie uśmiechnąć, kiedy czytałam o sielance, w jakiej żyła pięcioletnia Dawn. Bawiła się w „cienistych zielonych

parkach" gdzie rosły „jasnozłote żonkile" a na podwieczerek codziennie jadła „czerwoną galaretkę i lody truskawkowe". Jedyłą troskę stanowił trudny wybór, na jakie słodczyce wydać kieszonkowe. Zważywszy że opuściła sporo lekcji, wypracowanie było całkiem dobre. Używała wielu przymiotników, tak jak prosiła nauczycielka, i nie zrobiła wcale dużo błędów. Skrupulatnie naniosa moje poprawki, ale i tak głównie ją chwaliłam.

Na koniec powiedziałam:

- Doskonale, Dawn. Ładnie napisane. Jakbyś żyła wtedy w raju.

- Wszystko wymyśliłam - odparła lekceważąco. - Nic nie pamiętam z tamtego czasu.

Uśmiechnęłam się.

- Naprawdę ci się udało. Masz wyobrażnię. A jakbyś się bardzo postarała, pewnie coś by ci się przypomniało. Ja sporo pamiętam z dzieciństwa, a jestem dużo starsza od ciebie.

- Nie - zaprzeczyła. - Próbowałam coś sobie przypomnieć, bo to łatwiejsze niż wymyślanie. Ale moje najwcześniejsze wspomnienie, to jak mam dziewięć lat i idę do szkoły.

Bardzo się zdziwiłam.

- Ależ musiałaś zacząć szkołę kilka lat wcześniej. Po prostu zapamiętałaś moment zmiany szkoły, bo to bywa dla dziecka dużym przeżyciem.

Pokręciła stanowczo głową.

- Nie, to był mój pierwszy dzień w szkole. Miałam dziewięć lat. Bardzo się wtedy bałam. I nie pamiętam niczego przedtem.

Nie ciągnęłam tego tematu. Widocznie coś jej się pomyliło. Na pewno zaczęła szkołę w wieku pięciu lat, bo tak stanowiło



prawo, a teraz nie wiedzieć czemu uważa, że miała wówczas dziewięć. Zresztą nie było sensu się spierać. Nazajutrz czekało nas spotkanie z matką. Liczyłam na nie. Bardzo mi zależało, żeby dowiedzieć się o Dawn czegoś więcej, a jej samej też mogłaby się odświeżyć pamięć.

- No, dobrze. W każdym razie wymyślone jest świetnie - zakończyłam. - Pani na pewno będzie zadowolona. Mnie się podoba.

Rozpromieniła się. Starannie złożyła kartkę z wypracowaniem i schowała do torby, która czekała już spakowana. Potem powtórzyła daty z historii, a ją ją przepytalam. W końcu poszła na górę szykować się do snu i zostaliśmy z Johnem sami. Po paru minutach znów zeszła do nas i zawołała mnie cicho z przedpokoju:

- Cathy, mogę z tobą porozmawiać w cztery oczy?

Wymieniliśmy z Johnem zdziwione spojrzenia i wyszłam, zostawiając go z Adrianem. Dawn, częściowo tylko przebrana, bo w gorze od piżamy i w normalnych spodniach, zwierzyła się szeptem, oglądając się na otwarte drzwi do salonu:

- Chyba zaczęła mi się pierwsza miesiączka. Nie mam podpasek.

- Okej, kochanie. - Doskonale rozumiałam potrzebę dyskrecji. - Zaraz coś poradzimy. Chodź.

Poszłyśmy na górę, dałam jej paczkę podpasek i zaczekałam, aż się doprowadziła do porządku w toalecie. Kiedy wyszła, dała mi poplamione spodnie i bieliznę, a ja zapewniłam, że to żaden problem i zaraz włożę je do pralki. Uznałam, że powinnam porozmawiać z nią o miesiączce, tak jak zrobiła to moja mama ze mną. Poszłyśmy do jej pokoju, usiadłyśmy na łóżku i zaczęłam

objaśniać, co się dzieje z jej ciałem. Uspokoiliam ją, że ból brzucha jest normalny, i że jeśli będzie bardzo silny, dam jej proszek. Uczuliłam też, żeby w tym czasie szczególnie przestrzegała higieny i często zmieniała podpaski. Powiedziałam, jak ma je wyrzucać - i w domu, i w szkole. Cały czas potakiwała. Na koniec spytałam, czy chciałaby jeszcze coś wiedzieć.

- Czy to znaczy, że mogę teraz mieć dziecko?

- Teoretycznie twoje ciało jest gotowe. Ale raczej nie będziesz go miała w twoim wieku i bez partnera. - Zawahałam się, czy mam mówić z nią o związkach i o chłopcach, jak powinna to zrobić matka. - Wiesz coś o chłopcach i o seksie?

Uśmiechnęła się.

- Tak, oczywiście. Mam już trzynaście lat.

- Może chciałabyś o coś spytać? - Bałam się, że będzie się krępować, jednak byłam jedyną osobą, z którą mogła porozmawiać o tych sprawach.

- W jakim wieku można to robić?

- Masz na myśli stosunek seksualny? - Kiwnęła głową. - Legalnie, jak masz szesnaście lat, ale nie powinnaś zaczynać, dopóki nie będziesz w trwałym związku. Uważam, że stosunek... kochanie się, jak to się teraz mówi... powinien się łączyć z poważnym uczuciem. Bardzo łatwo pójść z kimś do łóżka i chłopcy będą cię na to namawiać, ale dużo lepiej i przyjemniej jest zaczekać, aż spotkasz kogoś, w kim się naprawdę zakochasz. - Moje słowa zabrzmiały tak, jakby je mówiła moja własna matka, której rada, brzmiąca jak poważne ostrzeżenie, była taka: nie rób tego przed ślubem. W dzisiejszych czasach podejście do tych spraw zmieniło się całkowicie i poglądy mamy

uznano by za staroświeckie. Ja jednak uważałam, że czekanie z seksem na tego jedyne go ma sens. Sama tak zrobiłam.

- Cathy? - zaniepokoiła się nagle Dawn. - Nie powiesz Johnowi, prawda?

- Że zaczęłaś miesiączkować? - Kiwnęła głową potakująco.  
- Nie, kochanie.

Aż się uśmiechnęłam, przypomniawszy sobie, jak prosiłam moją mamę dokładnie o to samo - żeby nie mówiła ojcu, że zaczęłam miesiączkować - a ona udzieliła mi identycznej odpowiedzi. Wystarczająco wstydlive było to, że moje ciało doznaje tej comiesięcznej intymnej dolegliwości. Ojciec (nie mówiąc o bracie) wcale nie musiał o tym wiedzieć.

Pocałowałam Dawn na dobranoc i zaniósłam jej ubranie do pralki. Wróciłam do salonu.

- Wszystko w porządku? - spytał John. Spędziłam na górze przeszło pół godziny.

- Jak najbardziej - odparłam. - Pogadałyśmy sobie o kobiecych sprawach.

Domyślił się i pokiwał głową.

- Aha, rozumiem. Przejrzałem te książki - pokazał moje dzisiejsze zdobycze. - Znalazłem je pod poduszką na kanapie.

Zaśmiałam się.

- Czytałam je, kiedy Dawn przyszła z wypracowaniem. Wolałam, żeby ich nie widziała.

Usiadłam obok niego i podzieliłam się wrażeniami z lektury. Gdy wspomniałam o sugestii autora, żeby mówić osobie śpiącej o tym, co robi, bo to ją uspokoi, John stwierdził, że wtedy musimy przestać zamykać na klucz drzwi do sypialni i całą noc

nasłuchiwać, czy Dawn nie wchodzi. Balibyśmy się zasnąć, bo wtedy nie usłyszelibyśmy jej kroków. Postanowiliśmy więc odłożyć eksperymenty na później, liczyliśmy w duchu na to, że jak Dawn zastanie nasze drzwi zamknięte, to najpierw przestanie przychodzić do nas, a potem w ogóle chodzić we śnie.

Nadzieje te miały okazać się płonne.

## Cięcie

Środek opiekuńczy dla młodzieży mieścił się w dużym wiktoriańskim budynku, zaadaptowanym i zmodernizowanym na potrzeby ośmiorga podopiecznych i dwojga wychowawców. Masywne dębowe drzwi były uchylone. W środku po prawej stronie znajdowały się schody, którymi szły właśnie na górę dwie dziewczyny,

- Cześć! - zawołała do nich Dawn, a one obejrzały się i pomachały. - To siostry - wyjaśniła. - Poznałam je wcześniej.

Mnie w tym momencie absorbował Adrian. Wyprawa do ośrodka opiekuńczego zakłóciła zwykły rozkład jego dnia, toteż zaczynał troszkę marudzić.

- Może ja go wezmę? - zaproponowała Dawn, jak zawsze chętna do pomocy.

- Nie ma potrzeby - odparłam. - Zaraz się uspokoi. Po prostu czuje się niepewnie w nowym miejscu.

Staliśmy w holu, nie wiedząc, co dalej. Nikt na nas nie czekał. Poza informacją, że spotkanie jest siódmej, nie dostałam żadnych

wskazówek. John musiał się wcześniej zwolnić z pracy. Był w garniturze, bo w domu zdążył tylko coś zjeść, ale już zabrakło czasu, żeby się przebrać.

- J e s t tu jakieś biuro? - spytał.

- Tak - odparła Dawn. - Na górze. - Popatrzyliśmy na wysokie wiktoriańskie schody z oryginalną drewnianą balustradą. - Może pójde i poszukam kogoś? - zaoferowała.

- Dobry pomysł - zgodził się John.

Pobiegła na górę, a my czekaliśmy. Było zimno: jeden kaloryfer nie wystarczał na podmuchy chłodu zza niedomkniętych drzwi. Przełożyłam Adriana na drugie ramię, w końcu John wziął go ode mnie. Usłyszeliśmy kroki na niewytłumionych żadnym dywanem stopniach, więc spojrzeliśmy w górę. Po schodach zbiegł chłopak mniej więcej piętnastoletni, ubrany w dżinsowe spodnie i kurtkę oraz buty na grubej podeszwie. Mijając nas, kiwnął głową.

Upłynęło kolejne pięć minut. John starał się uspokoić Adriana. Nie była to dla nas najlepsza pora - powinnam właśnie kąpać dziecko, a John wolałby odpoczywać w domu po całym dniu pracy. Wreszcie znów rozległy się kroki i ponownie zadarliśmy głowy. Pierwsza pojawiła się Dawn, za nią Ruth, ubrana w dżinsy i duży luźny sweter, a potem jakaś pani, zapewne matka Dawn. Zeszły do nas.

- Szukałam pokoju, gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać - odezwała się Ruth tonem, w którym nie zabrzmiał nawet cień przeprosin za to, że musieliśmy czekać. - Barbara Jennings, matka Dawn. A to John i Cathy Glass. - Uśmiechnęłam się do Barbary, w odpowiedzi otrzymałam zdawkowy półuśmiech. Była

drobna, schludnie ubrana, w spódnicy i bluzce, miała równo przycięte jasne włosy. Rzuciło się w oczy duże podobieństwo jej i Dawn. Wyglądała mniej więcej na trzydzieści pięć lat, więc musiała urodzić córkę jako całkiem młoda dziewczyna. John podał jej rękę, co odebrała z wyraźnym skrępowaniem.

- Miło mi panią poznać - powiedział. Barbara się uśmiechnęła.

- Ojciec Dawn nie przyjdzie - oświadczyła Ruth. Skwitowałam tę informację kiwnięciem głowy. Nawet nie wiedziałam, że miał przyjść. - Możemy skorzystać z pokoju socjalnego - ciągnęła. - Dziś są tylko dwie dziewczyny, siedzą teraz u siebie.

Poprowadziła nas w stronę drzwi przeciwpożarowych na końcu holu. Za nimi ukazał się szeroki korytarz z wiktoriańską posadzką, na której nasze kroki niosły się głośnym echem. Na ścianach, nad biegnącą środkiem listwą, zachowała się oryginalna wytłaczana tapeta z lat trzydziestych, niżej szara farba była już mocno zdarta i tu przydałoby się malowanie.

Pokój socjalny znajdował się po prawej stronie korytarza. Było tu wprawdzie cieplej niż w holu, ale brudno i nieprzytulnie. W powietrzu czuć było zastarzały dym papierosowy, pomalowane najasnoliliowo ściany, z których łuszczyła się farba, były pokryte graffiti wykonanymi kolorowymi pisakami. Większość napisów była dla mnie kompletnie niezrozumiała. Wiele z nich zawierało dość wulgarne słowa. Ilustrowały je niezbyt udane rysunki postaci z kreskówki. Na środku stały naprzeciwko siebie dwie poplamione i spłowiałe czerwone kanapy, a między nimi - długi, niski stolik w równie opłakanym stanie. Pozostawiono na nim przepelnioną popielniczkę i kilka kubków z resztkami zimnej kawy. Pokój nie miał ani wykładziny, ani zasłon w oknach.

Na wytartym linoleum wały się opakowania po chipsach i ciasteczkach. Jednym słowem, okropność. Zapewne to młodociani podopieczni odpowiedzialni byli za ten stan, ale dlaczego wychowawcy nie wymagali od nich sprzątnięcia po sobie?

Dawn rzuciła się na kanapę i bez najmniejszego skrępowania oparła nogi na stoliku. Spojrzeliśmy z Johnem najpierw po sobie, a potem na matkę. W domu nigdy nie pozwolilibyśmy na podobne zachowanie; wątpię, czy w ogóle przyszedłoby jej coś takiego do głowy. Barbara nic nie powiedziała, a mnie było przy niej dość niezręcznie zwracać dziewczynce uwagę. Nie zajęła zresztą miejsca obok córki, tylko nieśmiało przysiadła naprzeciwko. Ruth podeszła do okna, żeby je otworzyć.

- Może ja pomogę - zaproponował John i podał mi Adriana. Mocno pchnął ramę; ustąpiła o kilka centymetrów. Nocne powietrze, choć chłodne, było znacznie lepsze niż papierosowy zaduch i dużo zdrowsze dla Adriana.

Ruth odsunęła popielniczkę jak najdalej. My z Johnem usiedliśmy obok Dawn, a Ruth obok Barbary. Wydało mi się dziwne, że Barbara nie siadła obok córki, przecież nie widziała jej przeszło miesiąc. Poza tym w ten sposób od razu ustawiliśmy się w dwóch przeciwnych obozach.

- Pani Jennings chciała się spotkać z państwem - zaczęła kuratorka. Na te słowa uśmiechnęłam się uprzejmie do Barbary.  
- Zaniepokoiła się, że Dawn przyszła do niej w czasie, kiedy powinna być w szkole. - Uśmiech zamarł mi na ustach.

- J a k t o? - spytałam zaskoczona. John spojrzał na mnie. Ja patrzyłam to na Barbarę, to na Dawn. - Naprawdę? - spytałam dziewczynkę.



- Raczej tego nie zmyśliłam - rzekła Barbara sucho.

- Nie to miałam na myśli – powiedziałam szybko. - Zdziwiłam się... wręcz czuję się zaskoczona. Wiem, że Dawn nie była w szkole i już rozmawialiśmy na ten temat. Nic nie mówiła, że była u pani. - Wszyscy spojrzeliśmy na Dawn. Siedziała rozwalona na kanapie, opierając stopy na stole. Na twarzy miała uśmiezek zadowolenia. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież pytałam, gdzie byłaś.

- Chyba nie myśli pani, że ona powie prawdę - stwierdziła Barbara z przekąsem. - Mnie nigdy się nie zwierzała, gdzie była ani co robiła, a ja jestem jej matką. - Mówiła spokojnie i rozsądnie, a mnie tym bardziej się zrobiło głupio, że nie wiedziałam, dokąd poszła Dawn. - Całymi tygodniami wychodziła co dzień do szkoły, tylko ani razu tam nie dotarła. Dotąd nie wiem, gdzie ją nosiło. Potrafiła wyjść wieczorem i wrócić nad ranem, albo wręcz następnego dnia. I nigdy mi nie powiedziała, gdzie była. Ja muszę zarabiać na życie. Nie mogę jej wiecznie pilnować. - Słuchając jej, przyglądałam się im obu. Dziewczynka zachowywała obojętność. - Policja i szkoła uważają, że to moja wina. A co miałam zrobić? Przecież nie zmuszę jej, żeby poszła do szkoły, ani nie zatrzymam siłą w domu, jak chce wyjść wieczorem.

Urwała. Oboje z Johnem spojrzeliśmy na siebie, dość zaskoczeni tym obrazem Dawn, który się właśnie wyłonił.

- Odkąd Dawn u nas mieszka, nigdy nie pytała, czy może wyjść. – Próbowałam jakoś połączyć się w tym wszystkim. – Ani jednej nocy nie spędziła poza domem.

Zapadła cisza. Wszystkie trzy wymieniły spojrzenia, jakby było coś, o czym myśmy nie wiedzieli.

- Właśnie sprawę wychodzenia będziemy dziś omawiać. – Ruth przystąpiła do rzeczy. - Dawn chciałaby wychodzić, ale ma opory, żeby spytać państwa o zgodę.

Nie mogłam zrozumieć, skąd ta nagła nieśmiałość, skoro czuła się ze mną na tyle swobodnie, żeby mi powiedzieć o miesięczce. Przecież równie dobrze sama mogła z nami porozmawiać. A tak wyszliśmy na potwory.

- Kwestia wychodzenia oraz godzina powrotu znajdują się w naszych zasadach postępowania - ciągnęła Ruth. - Druga rzecz to pieniądze na ubranie. Dawn chce je dostawać do ręki. Myślę, że w jej wieku to całkiem normalne.

John poruszył się niespokojnie. Pewnie pomyślał tak samo jak ja, że na tym spotkaniu głównie rozpatruje się skargi i zażalenia matki i córki. Przy nas Dawn słowem się nie zająknęła o pieniądzach na ubranie, a tu okazało się, że rozmawiała na ten temat z matką albo z Ruth. Pytanie, skąd miały się brać te pieniądze na ubranie.

- Dawałam jej kieszonkowe - powiedziałam, patrząc Ruth prosto w oczy. - Codziennie niewielką sumę, jak pani sugerowała. I kupiłam jej nowe ubrania.

Ruth kiwnęła głową.

- Zasilek opiekuńczy obejmuje również kwotę na ubranie dziecka. Dziewczynka w jej wieku może dostawać te pieniądze do ręki i samodzielnie dokonywać zakupu. Zdaję sobie sprawę, że ogólna kwota nie jest oszałamiająca, ale pieniądze na ubranie powinni jej państwo wypłacać. - Zrozumiałam, że nie mamy wyboru.

- Nie dostaliśmy jak na razie żadnych pieniędzy. - Nie chciałam przy Dawn rozmawiać o finansach, ale Ruth sama poruszyła tę kwestię.

- Zgadza się - odparła. - Uruchomienie systemu płatności na ogół trwa do kilku miesięcy. Ale w końcu te pieniądze przyjdą, a Dawn wolałaby sama kupować sobie ubrania.

- Jeśli nie wyda wszystkiego na piwo i papierosy - wtrąciła Barbara.

Znowu się zdziwiliśmy, że matka opowiada takie rzeczy o córce,

- Zadała się z nieodpowiednim towarzystwem - dodała tonem wyjaśnienia Barbara. - To młodzież dużo starsza od niej. Niejednego się od nich nauczyła.

Rzuciłam okiem na Dawn, która cały czas siedziała nieruchomo w niedbalej pozie. Zdawało się, że wręcz jest zadowolona z tego, iż znalazła się w centrum uwagi.

- Na pewno nic takiego nie zrobi. - Uznałam, że trzeba powiedzieć coś pozytywnego. - Ma teraz w szkole bardzo sympatyczną koleżankę. Natasha jest nowa i Dawn wprowadza ją w szkolne życie.

Dawn przytaknęła. Ruth i Barbara nic nie powiedziały. Sama już nie wiedziałam, co myśleć o matce. Z jednej strony sprawiała wrażenie osoby rozsądnej i zrównoważonej, wcale nie agresywnej czy natarczywej. Ale z drugiej strony nazbyt chętnie wytykała Dawn błędy i istniał między nimi wyraźny emocjonalny dystans - wręcz uczuciowa pustka. Niewiele miały dla siebie ciepła i wzajemnego szacunku.

Zapadła długa, niezręczna cisza, W końcu odezwał się John:

- Czy może nam pani opowiedzieć coś więcej o Dawn? Bardzo by nam to pomogło.

Barbara znów rzuciła pytające spojrzenie na Ruth.

- Nie wiem, co takiego mogłabym państwu powiedzieć. Próbowałam dojść z nią do ładu, ale nie potrafimy się dogadać. Jak będzie chodzić do szkoły i wracać do domu na czas, to już jest spory sukces. Tylko żeby nie miała dostępu do noży. Ona się tnie.

- Jak to się tnie? - Nie wierzyłam własnym uszom. - Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Normalnie. Tnie się - powtórzyła Barbara i znów spojrzała na Ruth. - Nie widzieli państwo blizn na ręce?

Bardzo się zdziwiłam. John był też zaskoczony.

- Nie, nie widziałam. Jakie blizny?

- Pokaż państwu - poleciła matka.

Dawn nieśpiesznie podwinęła rękaw. Serce mi zamarło. Od nadgarstka do łokcia biegło kilkanaście równo rozmieszczonych kilkucentymetrowych, różowych blizn. Niektóre były całkiem świeże.

- Ciekawe, że państwo nie zauważyli - odezwała się Barbara, podczas gdy my patrzyliśmy z przerażeniem, nadal nie bardzo rozumiejąc.

- Sama sobie to zrobiłaś? - spytałam po chwili. Przytaknęła.  
- Czym?

- Nóż, scyzoryk, puszki, szkło od butelki - odpowiedziała za córkę Barbara. - Co tylko wpadnie w ręce.

Na samą myśl puls mi raptownie przyspieszył i poczułam ucisk w żołądku.

- Ale dlaczego? - spytałam. - Czemu zadajesz sobie ból, kochanie?

Wzruszyła ramionami i zaczęła przesuwać palcem wzdłuż różowych linii, jakby się nimi bawiła.

- Obecnie prowadzone są badania nad zjawiskiem samo-okaleczania wśród nastolatków - odezwała się rzeczowo Ruth.  
- Istnieją na ten temat dwie teorie, żadna z nich nie została w pełni dowiedziona. Według jednej jest to próba zwrócenia na siebie uwagi, która rzadko kończy się samobójstwem.

Dawn naciągnęła rękaw. Spojrzałam na Johna. Był równie wstrząśnięty jak ja. Przyszła mi do głowy myśl, że to aż nazbyt drastyczny sposób zwracania na siebie uwagi.

- Rozumiem, że u państwa jeszcze tego nie robiła? - spytała Barbara.

- Nie – odparłam stanowczo.

- Naturalnie wiedzielibyśmy - dodał John.

- Niekoniecznie - zauważyła Barbara. - Ona doskonale umie się z tym kryć. Blizn państwo nie widzieli.

To prawda. Właśnie sobie uświadomiłam, że ani razu nie odsłoniła przy mnie ramion. Oczywiście, że w jej wieku kąpała się i przebierała sama, a że była akurat zima, cały czas nosiła rzeczy z długimi rękawami.

- Dlatego ucieka z wuefu - ciągnęła matka. Rzeczywiście, nie była na wuefie w zeszłym tygodniu, bo akurat w ten dzień wagarowała. - W szkole wiedzą, że ona się tnie - dodała. - Jej ojciec zadzwonił i uprzedził.

Dawn się skrzywiła.

Najwyraźniej Ruth o wszystkim wiedziała. Dlaczego nic nam nie powiedziała? A gdybym przypadkiem odkryła blizny, albo, co nie daj Boże, przyłapała Dawn na okaleczaniu się? Przecież doznałabym szoku. Nawet teraz, gdy wiedziałam, nadal nie mieściło mi się w głowie, jak można rozmyślnie zadawać sobie

ból. Zatem Dawn nie powinna mieć dostępu do niczego ostrego i trzeba z nią poważnie porozmawiać - musi być jakaś przyczyna takiego zachowania. Wątpiłam, czy w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę. Nagle przypomniałam sobie to dziwne uderzenie ręki przez sen. Czyżby odtwarzała akt autoagresji? Zgodnie z radami zawartymi w obu książkach - że nie ma sensu mówienie lunatykom, co robili we śnie - postanowiliśmy z Johnem nie wspominać o tym na spotkaniu, chyba że Ruth albo matka poruszą ten temat. Nic zatem nie powiedziałam, tym bardziej że wobec usłyszanych przed chwilą rewelacji somnambulizm Dawn wydawał się stosunkowo najmniejszym problemem.

- Od jak dawna to robi? - spytał John.

- Mniej więcej od dwóch lat - odparła matka. - Nauczyła się od koleżanki z tamtego towarzystwa, z którym się włóczyła. Od tamtej pory to ulubiona rozrywka, co Dawn?

Dziewczynka uśmiechnęła się niewyraźnie z widocznym zażenowaniem. Ja zaś dostrzegłam w tym pewien pozytywny aspekt. Jeśli Dawn cięła się po to, by zaistnieć w grupie starszej i - sądząc z relacji matki - raczej trudnej młodzieży, istniała nadzieja, że przestanie to robić, gdy się ją wyrwie spod złego wpływu. Jeśli jednak przyczyną były zaburzenia natury psychologicznej - sprawa była znacznie groźniejsza.

- Czy jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? - spytał John z wahaniem.

Barbara najpierw spojrzała na Ruth, jakby czekała na jej pozwolenie.

- Niech państwo chowają przed nią zapalki, a jeśli palicie, to i zapalniczki. Dawn bawiła się zapalkami i spowodowała pożar.

Następny ponury fakt. Czy to już koniec niespodzianek? Z napięciem czekaliśmy na wyjaśnienia.

- Eee, to nic takiego - wtrąciła Ruth lekceważąco. - Były u koleżanki, bawiły się zapalkami i wybuchł pożar. Dawni już teraz wie, że zapalki nie służą do zabawy. Dostała nauczkę.

Zauważyłam, że obie, matka i córka, intensywnie wpatrywały się w tym momencie w Ruth, jakby na coś czekały. Czyżby było coś jeszcze? Następna wstrząsająca prawda? Trudno było stwierdzić z całą pewnością, ale coś tak czułam, że jest to możliwe. Tyle że nie miałam pojęcia, o co dokładnie powinnam pytać.

- Ustalmy zatem zasady zachowania - zmieniła temat Ruth.  
- Robi się późno i wszyscy chętnie poszlibyśmy już do domu.  
- W tym momencie spojrzałam na Adriana, który zasnął na kolanach Johna. Ruth wyjęła z torby swój dziennikarski notes i długopis. My z Johnem milczeliśmy. Pomału dochodziliśmy do siebie.

Dawn natychmiast się ożywiła. Od razu zdjęła nogi ze stolika, opuściła ręce i usiadła wyprostowana.

- Czy mogłabym wychodzić w piątki i soboty wieczorem? Proszę... - zwróciła się do nas błagalnie. Wszystkie trzy się w nas wpatrywały.

Chwilę milczeliśmy. John pierwszy się odezwał.

- Masz dopiero trzynaście lat. Dokąd chcesz wychodzić?

Wzruszyła tylko ramionami.

- Możesz zapraszać kolegów i koleżanki do nas - podsunęłam.

- Ona woli wyjść - powiedziała Barbara, a Ruth ją poparła.

- Ale dokąd? - spytał znów John.

- Po prostu wyjść - odparła Dawn.

- Nie uważam za dobry pomysł, żebyś wieczorami włóczyła się po mieście - zauważyłam.

- Nie mogą państwo całkiem odbierać jej swobody - wtrąciła Ruth. - Ona przywykła do własnego życia.

W tym momencie wyczułam, że dzieje się coś dziwnego, **Z** czego my z Johnem jesteśmy wykluczeni. Wyraźnie natknęliśmy się na jakąś znowę, zawarte wcześniej porozumienie między nimi trzema. Ponoć mieliśmy się kierować przede wszystkim dobrem Dawn, ale to, co Ruth właśnie zaproponowała, utrwalało złe nawyki i zachowania dziewczynki - przez które trafiła do ośrodka opiekuńczego.

- Nie chcemy ograniczać jej swobody - odezwał się John zdecydowanym tonem. - Ale moja córka nie włóczyłaby się samopas po ulicach. Do koleżanek, proszę bardzo. Albo do kina. Możemy ją zawieźć i odebrać.

Pokiwałam głową, na znak, że w pełni się z nim zgadzam.

Długopis Ruth zawisł w pełnej gotowości nad notatnikiem.

- Powiedzmy, że Dawn może wychodzić w piątki i w soboty wieczorem, pod warunkiem że była w szkole i że wróci najpóźniej o wpół do dziesiątej.

Najwyraźniej stawiano nas przed faktem dokonany i cokolwiek byśmy powiedzieli, i tak nie mieliśmy na nic wpływu.

- A nie może być o dziesiątej? - spytała Dawn.

- Nie - odparła Ruth. - Dziewięta trzydzieści w zupełności wystarczy. - Dawn się skrzywiła. Spojrzeliśmy z Johnem po sobie.

- Uważam, że dziewięta trzydzieści to za późno - zaproponował John.



- Na razie spróbujmy i zobaczymy, jak to będzie - zakończyła dyskusję Ruth. - Teraz wizyty u matki - ciągnęła. - Oczywiście Dawn chce ją regularnie odwiedzać. A pani Jennings najbardziej pasuje niedziela wieczór.

- A nie byłoby lepiej w ciągu dnia? - zapytałam. Jack chodził do ojca na niedzielny obiad i zostawał na całe popołudnie. Bardzo dobrze się to sprawdzało.

- Niedzielę spędzam z Mikiem, moim partnerem - odezwała się Barbara. - Wolę, żeby przychodziła o szóstej.

Moja kolejna propozycja została odrzucona, ale przede wszystkim współczułam Dawn, która właśnie usłyszała, że matka woli spędzać czas z jakimś facetem niż z nią.

- W przeszłości Dawn sprawiała problemy i wywoływała konflikty między nami - dodała Barbara. - Mike nie ma ochoty na jej towarzystwo. Wyjdzie przed jej przyjściem.

Jeszcze bardziej zrobiło mi się żal dziewczynki, jednak trudno byłoby pouczać Barbarę, że dokonuje niewłaściwego wyboru. Dawn nie przejęła się rym jawnym odrzuceniem. Domyśliłam się, że doskonale wie o niechęci Mike'a. Długopis Ruth znów wrócił nad notatnik.

- Powiedzmy zatem od szóstej do dziewiątej - zapisała.

- Od szóstej do ósmej - poprawiła Barbara. - Rano wstaję wcześniej do pracy.

Znów spojrzałam na Dawn, która przyjęła to spokojnie, ale oczywiście trudno było zgadnąć, co naprawdę myśli i czuje.

- A co z ojcem? - spytał John. - Jego też będzie odwiedzać?

- Nie - odpowiedziały jednocześnie Ruth i Barbara.

- Rozmawiałam z ojcem - dodała tonem wyjaśnienia Ruth.

– Nie życzy sobie w tej chwili żadnych kontaktów. Dawn wie dlaczego.

Zapadła chwila ciszy, po czym John spytał:

- A czy my też możemy wiedzieć?

Ruth zaprzeczyła ruchem głowy, nie odrywając się od notatnika.

- Nie. Są to sprawy poufne, o których nie wolno mi rozmawiać.

Znowu natrafiliśmy na znowę milczenia. Dawn i jej matka wbiły wzrok w podłogę, Ruth skupiła się na pisaniu.

- Czy mamy odwiedzić Dawn do pani i potem po nią przyjechać? - spytałam Barbarę.

Barbara i Ruth spojrzały na Dawn, która pokręciła głową.

- Nie - powiedziała Ruth. - Dawn może jechać autobusem, tylko proszę dopilnować, żeby miała na powrót. Bo będzie mieć pretekst, żeby nie wrócić na noc do domu. - Podniosła na chwilę głowę. - Czy coś jeszcze powinno zostać ujęte w zasadach?

- Nic mi nie przychodzi na myśl - odparłam cicho.

- Utrzymywanie porządku w pokoju? – zasugerowała.

- Z tym nie ma problemu - oświadczyłam.

- Dobrze. W takim razie dodam jeszcze, że Dawn będzie chodzić codziennie do szkoły. - W jej ustach zabrzmiało to raczej jak dobrowolnie podjęte zobowiązanie, a nie nakazany prawem obowiązek.

Skończyła pisać, zamknęła notes i schowała do torby.

- Przepiszę na czysto i dam każdemu kopię do podpisania. Dziękuję wszystkim za spotkanie. - Od razu wstała.

Barbara też się podniosła.

- Na mnie czas, jutro pracuję. - Rzuciła w naszą stronę nikły uśmiech. Przechodząc obok córki, powiedziała tylko:

- Do widzenia, Dawn. Do niedzieli. - Wyszła, nawet jej nie pocałowała. Stukot jej kroków oddalał się coraz bardziej.

Wstaliśmy. Adrian poruszył się niespokojnie, ale się nie obudził. Ruth otworzyła drzwi. Dawn wyszła pierwsza, John za nią. Ruth znacząco dotknęła mojej ręki. Przystanąłam.

- Chcę tylko pani powiedzieć, że matka ma problemy z okazywaniem córce uczuć. Ale ją kocha. Do wieku pięciu lat Dawn mieszkała z rodzicami, potem się rozwiedli. Następnie pojawia się czteroletnia przerwa w życiorysie. Od dziewiątego roku życia mieszkała trochę u matki, trochę u ojca i jego nowej partnerki. Nie zdało to egzaminu. Żadne z rodziców nie ma z nią silnego związku emocjonalnego, choć pewnie się starali.

Pokiwałam głową ze smutkiem.

- Rozumiem. A co to za przerwa w życiorysie, o której pani wspomniała?

- Nie wiadomo, gdzie była między piątym a dziewiątym tokiem życia. Matka twierdzi, że z ojcem, ojciec, że z matką. Opieka społeczna interweniowała dopiero, gdy Dawn skończyła dziewięć lat i zaczęła mieć problemy z drobnymi kradzieżami.

Spojrzałam w stronę tamtych. Adrian się obudził i Dawn właśnie się nad nim pochylała.

- Czy ona nie tęskni do ojca i przyrodniej siostry? - spytałam. - Dużo o niej opowiada.

Ruth zamknęła drzwi i ruszyła w stronę wyjścia. Wyczułam, że to koniec rozmowy i że już nic więcej się nie dowiem.

- To nie jest najlepszy pomysł, żeby się widywała z ojcem i jego nową rodziną - skwitowała, po czym podeszła do Johna i Dawn.

Adrian całkiem się rozbudził i uśmiechał się radośnie.

- Ładne dziecko - stwierdziła Ruth.

- Pomagam się nim opiekować - oznajmiła z dumą Dawn, gruchając jednocześnie czule do Adriana.

- No, no, tylko uważaj - ostrzegła Ruth. - Dzieci są delikatne. To nie zabawki. - Wyszliśmy wszyscy razem i pożegnaliśmy się na parkingu.

John przypiął Adriana w foteliku, Dawn usiadła obok. Już siedząc w samochodzie, odwróciłam się do tyłu.

- Dawn, wiesz, że z małymi dziećmi trzeba bardzo uważać, prawda? - Powiedziałam tak, bo coś w ostrzeżeniu Ruth obudziło mój niepokój.

Dawn uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Nie zrobiłabym krzywdy dziecku. To był wypadek.

- O czym ty mówisz? - spytałam zaskoczona. - Jaki wypadek?

- Nic takiego. - Wzruszyła ramionami.

W tym momencie John ruszył. W drodze do domu Dawn cały czas zabawiała Adriana.

## Co się z nią dzieje?

**A**zy mówiliśmy o tym samym dziecku? - spytał John, gdy zostaliśmy sami. Przez całą drogę powrotną Dawn słodko szczebiotała do Adriana. Teraz już leżała w łóżku, Adrian też spał. Siedzieliśmy w salonie, popijaliśmy herbatę i wreszcie mogliśmy spokojnie porozmawiać, a było o czym. - A może Dawn mającą nieznaną nam drugą twarz?

- Na pewno niewiele o niej wiemy. Ale bardzo się zmieniła, odkąd jest u nas. Uspokoila się i wyciszyła. Z drugiej strony pomysł o tych bliźnach! Wyobrażasz sobie? Jakiś horror! Głupio mi, że ich nie zauważyłam.

- Pewnie rodzice nie poświęcali jej zbyt wiele czasu - westchnął.

- No, właśnie. W dodatku Ruth mi powiedziała, że Dawn miała w życiu przerwę. Nie wiadomo, co się z nią działo w wieku od lat pięciu do dziewięciu.

- J a k t o? - zdziwił się. Opowiedziałam mu, czego się dowiedziałam od Ruth, a on bardzo się przejął. - I nic więcej nie mówiła? Na spotkaniu też nie była do końca szczerą.

- Tylko tyle, że Barbara nie potrafi okazywać córce uczuć i że żadne z rodziców nie ma bliskiego kontaktu z Dawn.

- To widać. W dodatku jeszcze to picie, palenie, niewracanie do domu na noc, chodzenie na wagary i cięcie się żyletką. Aż trudno uwierzyć, że mowa o tej samej dziewczynce.

- Zgadzam się. Ale ostatnio zrobiła duże postępy.

Oboje siedzieliśmy chwilę w milczeniu, pogrążeni w myślach. Było już po dziesiątej i normalnie o tej porze brałam kąpiel, ale dzisiaj czułam się tak zmęczona, że nawet nie chciało mi się wstać z kanapy i iść na górę.

- J a k myślisz, dlaczego ojciec Dawn nie chce jej widzieć? - spytał John, odstawiając pusty kubek.

- Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z dzieckiem.

John drgnął na te słowa.

- Z jakim dzieckiem?

- Nie słyszałeś, co Dawn powiedziała, kiedy wsiadła do samochodu? - Pokręcił przecząco głową. - Że nie zrobiłaby krzywdy dziecku i że to był wypadek.

- Co to ma znaczyć? Jaki wypadek?

- O to samo ją spytałam, ale nie odpowiedziała. Może okazywała nadmierną wylewność w stosunku do tamtego dziecka i macosze się to nie spodobało. Wobec Adriana tak się właśnie zachowuje. Albo wystraszyli się tego jej chodzenia we śnie. Szkoda, że nie porozmawialiśmy o tym na osobności z Ruth albo z Barbarą.

- Nawet gdyby była okazja, to wątpię, czy Ruth wiele by nam powiedziała - stwierdził John. - Znów by się okazało,

że to „sprawa poufna”. Trzeba przyznać, że wiele nam nie pomaga.

- Masz rację - westchnęłam.

Kiedy wreszcie poszłam na górę, od razu zapadłam w głęboki sen. Adrian, kochany dzieciak, obudził się dopiero o wpół do piątej. Karmiłam go przy zapalanej lampce nocnej. W tym czasie John wstał i poszedł do toalety. Chwilę później usłyszałam jego zaniepokojony głos:

- Drzwi Dawn są otwarte, a jej nie ma w łóżku! Zostań tam. Zejdę na dół.

Na podeście zapaliło się światło. Cały czas nerwowo nasłuchiwałam. Po chwili znów dobiegł głos Johna, tym razem z przedpokoju.

- Chodź, Dawn. Idziemy na górę - powtarzał.

Usłyszałam zbliżające się kroki, najpierw na schodach, potem na podeście. Zapadła cisza, widocznie Dawn się kładła. John zamknął drzwi od jej pokoju i poszedł do łazienki. Niedługo wrócił.

- Siedziała na najniższym schodku.

- Ciekawe, czy najpierw próbowała dostać się do nas. Nic nie słyszałam.

- Ja też nie. Ale przynajmniej wiemy, że jest w stanie bezpiecznie poruszać się po schodach.

- Nie byłabym taka pewna. Przecież mogła się potknąć i spaść.

- Ale co robić? Nie możemy jej przecież zamykać.

- Może przestanie chodzić, kiedy przekona się, że nasze drzwi są zawsze zamknięte - powiedziałam z nadzieją.

- Oby - westchnął John.

Już raz wykazaliśmy podobny optymizm i, podobnie jak przedtem, okazał się on bezpodstawny.

Następnej nocy Adrian obudził się o czwartej trzydzieści. John też się podniósł i poszedł sprawdzić, co z Dawn.

- Znowu jej nie ma! - wykrzyknął. Jak poprzednio, siedziała na najniższym stopniu schodów. Zanim skończyłam karmić, odprowadził ją do pokoju i przespała spokojnie do rana. O nas nie można było tego powiedzieć. Co chwila budziliśmy się i rano byliśmy wykończeni.

- Chyba trzeba posłuchać się ksiązek. Spróbujmy mówić jej, co robi, i uspokajać, że już to zrobiła - zaproponowałam, kiedy John ubierał się do pracy. - Ją wyraźnie dręczy jakaś niedokończona sprawa. Może gdy wreszcie we śnie zrobi, co ma do zrobienia, to się uspokoi i przestanie chodzić po nocy.

- Dobrze, spróbujmy następnym razem - zgodził się. Był rozdrażniony z powodu niewyspania. - Ale nie zostawię na noc otwartych drzwi. To zbyt ryzykowne. Zwłaszcza że ta niedokończona sprawa chyba ma coś wspólnego z Adrianem.

- Zgoda. Następnym razem wstanę i spróbuję z nią porozmawiać. W ksiązce było napisane, że lunatycy mówią przez sen rzeczy, których by nie powiedzieli na jawie. Może się dowiemy, co ją trapi, i jakoś jej pomożemy.

Niewiele wiedzieliśmy na temat Dawn, więc trzeba było sobie radzić, polegając na własnym zdrowym rozsądku i na lekturze mądrych ksiązek. Gdyby Ruth wykazywała więcej zaangażowania, przedyskutowalibyśmy to z nią i może by się



wyjaśniło, co dręczy Dawn. Mogłaby nam pomóc albo coś doradzić. Ale że starannie unikała bliższego kontaktu, doszliśmy do wniosku, iż sami musimy sobie radzić. Staraliśmy się traktować Dawn jak własną córkę, więc zadałam sobie pytanie, jak bym postąpiła, gdyby moje dziecko miało taki problem. Odpowiedź nasunęła się sama: zwróciłabym się do lekarza. Postanowiłam więc, że właśnie tak zrobię, jeśli nocne wyprawy będą się powtarzać.

Przez cały tydzień Dawn przykładnie chodziła do szkoły, więc zgodnie z instrukcją Ruth wolno jej było wyjść wieczorem w piątek i w sobotę, tyle że musiała wrócić najpóźniej o wpół do dziesiątej. Nie wiedzieliśmy, ani dokąd idzie, ani z kim, i bardzo nas to frustrowało. Na spotkaniu John powiedział (z czym całkowicie się zgadzałam), że nie pozwoliłby naszej córce włóczyć się nie wiadomo gdzie. Choć nastał już kwiecień i dzień się wydłużył, o ósmej było zupełnie ciemno.

Dawn dość długo szykowała się do wyjścia. Umyła włosy, przebrała się, a potem przyszła do nas się pożegnać. Spytaliśmy, dokąd idzie i z kim ma się spotkać, ale odpowiedziała tylko, że ma „pewne plany”. John ponownie zaproponował, że ją odwiezie. Grzecznie odmówiła: „Nie, dziękuję, nie ma potrzeby. Dam sobie radę”.

W tamtych czasach tylko biznesmeni mieli komórki. Kiedy Dawn przebywała poza domem, nie mieliśmy żadnej możliwości skontaktowania się z nią. Powiedziałam jej, że jeśli się zgubi albo będzie chciała, żeby po nią przyjechać, niech zadzwoni do nas z budki telefonicznej. Za każdym razem, gdy wychodziła, upewniałam się, czy ma drobne na telefon. Jednak była to niewielka pociecha i oba wieczory, piątkowy i sobotni, przesiedzieliśmy

w salonie, niby oglądając telewizję, a tak naprawdę śledząc ukradkiem wskazówki zegara.

Kiedy dokładnie o wpół do dziesiątej zadzwonił dzwonek, niemal biegłam do drzwi. Z wielką ulgą przyjeśliśmy jej powrót. Pochwaliłam ją za punktualność i spytałam, jak spędziła wieczór.

- Dobrze, dziękuję - odparła, nie wdając się w szczegóły.

Posiedziała z nami pół godziny w salonie i o dziesiątej poszła spać.

W sobotę wydawało się nam, że jej ubranie czuć dymem papierosowym. Skorzystałam z okazji i powiedziałam parę słów na temat palenia.

- Lepiej w ogóle nie zaczynać. Bardzo łatwo wpaść w nałóg i ani się obejrzyysz, a nie będziesz mogła się obejść bez papierosa.

- Wiedziałam, co mówię, ponieważ kiedyś sama paliłam, choć tylko kilka dniennie. Rzuciłam, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Za nic nie chciałabym znowu zacząć.

Dawn kiwała głową i przysięgała, że nie ma zamiaru palić, co wzięłam za dobrą monetę. Może sama nie paliła, a tylko przebywała w zadymionym otoczeniu albo z kimś palącym. Wypytywanie czy pouczanie nie miało w tym wypadku sensu. Mogłaby się tylko bardziej zamknąć w sobie.

W niedzielę poszliśmy na obiad do moich rodziców. Jak zwykle było bardzo miło. Nasi bliscy zareagowali z entuzjazmem, kiedy postanowiliśmy zostać rodziną zastępczą, a potem gorąco nam kibicowali. Moi rodzice zawsze starali się nas jak najlepiej ugościć. Bardzo lubiliśmy kuchnię mamy, zwłaszcza domową szarlotkę - stale obiecywałam, że sama taką upiekę, jak będę

miała czas. Podczas tej wizyty rodzice dużo rozmawiali z Dawn, starali się, by czuła się wśród nas dobrze, podobnie jak to robili w przypadku Jacka. Niestety, musieliśmy wcześniej wyjść, bo Dawn wieczorem miała jeszcze jechać do matki.

Znowu zaproponowaliśmy, że ją odwieziemy, ale grzecznie odmówiła. Dałam jej pieniądze na powrót, nawet trochę więcej, niż trzeba, na wszelki wypadek. Wcześniej dostała ode mnie pięć funtów przyznane przez opiekę społeczną na ubranie. Grzecznie podziękowała, a ja podkreśliłam, że spodziewamy się jej z powrotem koło dziewiątej - miała wyjść od matki o ósmej, autobus jechał niecałą godzinę.

Mniej się niepokoiłam tym razem niż w piątek i w sobotę, kiedy nie wiedziałam, gdzie jest. Nie zachwyciło mnie wprawdzie, że trzynastolatka jeździ sama o tej porze autobusem, ale cóż mogłam poradzić. Ruth tak zarządziła.

\* \* \*

Dawn wróciła do domu wcześniej - było dopiero wpół do dziewiątej. Od razu w drzwiach spytałam, czy miło spędziła czas i czy mama miewa się dobrze.

Wzruszyła ramionami.

- Mike jeszcze był. Jedli i musiałam poczekać w innym pokoju, póki nie skończą. Potem wrócił o wpół do ósmej. Wtedy wyszłam.

Było to dla mnie niezrozumiałe. Barbara przeznaczyła na widzenia z córką zaledwie dwie godziny w tygodniu i mogła lepiej zorganizować niedzielny wieczór. W dodatku bardzo niemilo ją potraktowała - kazała czekać, póki Mike skończy

jeść! Widocznie stosunki Dawn z Mikiem były gorsze, niż nam powiedziano. Ciekawa byłam dlaczego.

- Oj, to szkoda - zmartwiłam się. Dawn powiesiła płaszcz.

- Nic takiego się nie stało - odparła i szybko zmieniła temat.

Nie chciała o rym mówić. Posiedziała z nami jeszcze pół godziny, a potem, ze względu na szkołę, poszła się położyć.

Kiedy zajrzałam do niej o wpół do dziesiątej, żeby powiedzieć dobranoc, już spała. Podwinął się jej rękaw od piżamy i widać było blizny. Dotąd nie poruszałam z nią tego tematu. Uznałam, że ta sprawa należy do przeszłości. Gdyby sama zaczęła, oczywiście chętnie bym z nią pogadała. Moim zdaniem w jej przypadku okaleczenie się było tak naprawdę wołaniem o pomoc. Może po prostu potrzebna jej była spokojna, rzeczowa rozmowa.

Zgasiłam światło i wyszłam, zamknęłam drzwi. Położyliśmy się o wpół do jedenastej, z nadzieją na spokojną noc. Adrian dostawał teraz w ciągu dnia trzy nieduże posiłki i nie potrzebował tyle mojego mleka co przedtem. W sobotę spał już prawie do szóstej rano. Zbliżał się moment, kiedy w nocy nie będę musiała go karmić w ogóle. Pielęgniarka w przychodni doradziła, abym pomału zaczęła odstawiać go od piersi i wprowadzała butelkę.

Nadzieje na przespanie nocy do rana okazały się złudne. Obudziliśmy się o drugiej i zaczęliśmy nasłuchiwać. Na pewno to nie Adrian nas zaniepokoił - spał smacznie w swoim łóżeczku.

- Czyżby wstała? - spytałam szeptem.

- Całkiem prawdopodobne. Sprawdzę. - John cichutko przekręcił klucz i wyszedł. Za chwilę wrócił. - Znowu siedzi na dole - szepnął. - Zaprowadzę ją do łóżka.

- Może najpierw z nią pomówię. Spróbuję ją podpytać. - Po zaledwie trzech godzinach snu nie bardzo mi się chciało wychodzić z ciepłego, wygodnego łóżka, ale warto było się poświęcić, jeśli dzięki temu mogłam się czegoś dowiedzieć i w rezultacie jej pomóc.

- Idę z tobą - powiedział.

Włożyliśmy szlafroki i wyszliśmy na schody. John zapalił światło na górze, żeby było cokolwiek widać. Schodząc, musieliśmy wyminąć Dawn siedzącą na najniższym stopniu. John stanął nieco z boku, a ja przykucnęłam tuż przed nią, tak że miałam jej twarz na wysokości oczu. Ręce opierała na kolanach i spoglądała przed siebie nieruchomym, szklistym wzrokiem.

- Dawn? - zaczęłam cicho. - To ja, Cathy. Co się dzieje, kochanie? Czy coś cię niepokoi?

Nie drgnęła, nawet nie mrugnęła powieką. Jakby mnie w ogóle nie słyszała.

- Dawn? - powtórzyłam. - To ja, Cathy. Chcę ci pomóc. Powiedz mi, czymś się martwisz?

John zastygł nieruchomo, oboje czekaliśmy na jakąkolwiek reakcję. Bezskutecznie.

- Chyba możemy ją zaprowadzić do łóżka - szepnął po chwili John.

Spojrzałam w niewidzące oczy Dawn. Bardzo chciałam jakoś do niej dotrzeć. Jak by tu najlepiej pomóc? Delikatnie dotknęłam jej ręki.

- Dawn? - spróbowałam raz jeszcze. - Powiedz mi, kochanie, co cię dręczy, albo pokaż. Dokąd chcesz iść? Jak będę wiedziała, co chcesz zrobić, to ci pomogę. - W książkach wyraźnie

napisano, że lunatycy mówią i odpowiadają na pytania, tu jednak nadal nie było żadnej reakcji. - Dawn? - Wzięłam ją za rękę. - Pokaż mi, czego chcesz. Pomogę ci.

Nagle się poruszyła, co mnie tak zaskoczyło, że omal się nie przewróciłam. Wolno podniosła rękę z kolan i wstała. Oboje cofnęliśmy się, żeby zrobić jej miejsce. Kilka sekund stała nieruchomo, jakby zbierała się na odwagę. Schody miała za plecami, patrzyła prosto przed siebie. Przekonani, że „niedokończona sprawa” Dawn wiąże się z Adrianem, spodziewaliśmy się, że się odwróci i pójdzie na górę. Ona chwilę jeszcze postąła, po czym zrobiła krok do przodu i odwróciła się, ale w innym kierunku niż schody.

Stała teraz twarzą w stronę dalszej części domu. Zrobiła jeden niepewny krok, potem drugi i zaczęła wolno iść przez przedpokój. Towarzyszyliśmy jej w całkowitej ciszy. Słyszałam jedynie głucho dudnienie własnego serca i cichy szelest naszych szlafroków. Dawn dotarła do końca przedpokoju, na moment się zatrzymała, po czym wykonała zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i weszła do kuchni. Było tam ciemno - światło z góry tu już nie dochodziło. Nie chciałam zapalać lampy, żeby jej nie przestraszyć.

- Możesz zapalić w salonie? - szepnęłam do Johna, który stał tuż za mną.

Spełnił moją prośbę. Przez otwarte drzwi padała teraz poświata na tyle jasna, że wszystko było widać. Dawn stała nieruchomo na środku kuchni. Ręce miała opuszczone, patrzyła przed siebie.

John podszedł do mnie.

- Czego ona tu szuka? - szepnął. Jakby czytał w moich myślach.

- Mam nadzieję, że nie zamierza nic gotować - zaśmiałam się nerwowo.

Też się uśmiechnął.

- Spróbuj znów coś do niej powiedzieć. Może tym razem się uda.

Podeszłam bliżej i położyłam jej rękę na ramieniu.

- Dawn, kochanie, czegoś tu szukasz? Powiedz czego, pomogę ci znaleźć.

Przyszło mi do głowy, że chce przygotować mleko albo jedzenie dla Adriana. Może chodzi we śnie, bo jej się wydaje, że powinna się nim zajmować?

- Adriana już nakarmiłam. Nie jest głodny. - Pamiętałam o instrukcjach z książki, że lunatyków należy uspokajać. - Szukasz jedzenia dla Adriana, tak?

Chwila ciszy, a potem Dawn odpowiedziała głębokim, ciężkim od snu głosem:

- N i e .

Spojrzałam na Johna.

- To czego stąd potrzebujesz, kochanie? - dopytywałam się cicho. - Powiedz, a ja ci to znajdę i będziesz mogła wrócić do łóżka.

W milczeniu podeszła do jednej z szafek. Wysunęła szufladę i pochyliła głowę, jakby zaglądała do środka. Na moment zniechęciła się, po czym obiema rękami zaczęła przerzucać zawartość. Poruszała się wolno i niezgrabnie. Trudno było powiedzieć, czy cokolwiek widzi, czy też kieruje się dotykiem. W szufladzie

znajdowały się różne różności, między innymi czyste ściereczki, rękawice kuchenne, paczka świec z czasów, gdy mieliśmy przerwę w dostawie prądu, i duże pudełko zapalek.

Tak byłam pochłonięta obserwowaniem tego, co robi Dawn, że dopiero po chwili przypomniałam sobie, iż nie schowałam zapalek mimo ostrzeżenia Barbary. A ona wyjęła z szuflady właśnie zapalki! W pierwszej chwili byłam tak zaskoczona, że zamarłam, zamiast jakoś zareagować.

Na szczęście John okazał się przytomniejszy.

- Tego lepiej nie ruszaj. - Zabrał jej pudełko. - To niebezpieczne.

Nawet nie drgnęła. Stała nieruchomo jak posąg, lewą dłoń trzymała w górze, jakby leżały na niej zapalki. Wolno odwróciła się i przeszła z powrotem na środek kuchni. Przystanęła, tym razem na lekko rozstawionych nogach, po czym wykonała taki ruch, jakby otwierała pudełko i wyjmowała z niego zapalkę. Oboje patrzyliśmy jak zahipnotyzowani, gdy zamknąwszy wyimaginowane pudełko, zaczęła o nie pocierać nieistniejącą zapalkę.



## Wolanie o pomoc

**R**az, dwa - Dawn pocierała nieistniejącą zapalną o nieistniejącą draskę, po czym przez moment patrzyła na wymaginowany płomyk. Nagle na jej twarzy pojawił się ból i strach, jakby wróciło bardzo nieprzyjemne wspomnienie. Jeszcze chwilę wpatrywała się w „ogień”. Wtem strzepnęła ręką, odrzucając „zapalną”. Upadła na kolana i zaczęła się kołysać w przód i w tył. Oczy miała otwarte i nieruchome, twarz wykrzywioną bólem. Rozpłakała się. Nie mogłam na to dłużej patrzeć.

Schyliłam się, żeby ją przytulić, a wtedy ujrzałam malującą się na jej twarzy złość. Wyciągnęła lewą rękę, gwałtownie szarpnęła do góry rękaw od piżamy i brzegiem prawej dłoni zaczęła rytmicznie uderzać blizny na przedramieniu.

- Wstrętny, okropny bachor - mruzczała pod nosem. -  
Wredna gówniara! Co to za podłe dziecko! Podłe, podłe, podłe...  
- powtarzała przez zaciśnięte zęby, wymierzając kolejne uderzenia. Najwyraźniej karała siebie. A ja nie miałam pojęcia za co.

Przykucnęłam obok i objęłam ją.

- Już dobrze, kochanie - starałam się ją uspokoić. -  
Wszystko w porządku. Nic złego się nie dzieje.

Zastygła w bezruchu i nagle wydała lekki okrzyk.

- Cathy? - Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Wzrok miała skupiony na mojej twarzy, a więc już nie spała i widziała mnie. - Cathy? Gdzie ja jestem? - Rozglądała się niepewnie.

- Już dobrze, kochanie. Miałś zły sen. A teraz wracaj do łóżka. - Dałam znak Johnowi, żeby mi pomógł. Podszedł bliżej.

- Cathy? - Przyglądała mi się z niedowierzaniem. - John? - Rozejrzała się po kuchni.

- Oboje tu jesteśmy - uspokajałam ją dalej. - Coś złego ci się przyśniło. Wracaj do łóżka.

Pomogliśmy jej wstać. Nie spała, ale była tak oszołomiona i zdezorientowana, że musieliśmy ją prowadzić. Cały czas przemawiałam do niej.

- Wszystko w porządku, kochanie. Nie przejmuj się. Zaprowadzimy cię z powrotem do łóżka.

Po schodach John szedł z przodu, ja z tyłu, delikatnie ją podtrzymując. Poruszała się dużo mniej pewnie, niż kiedy była pogrążona we śnie. Sprawiała wrażenie zawieszonyj między snem a jawą - w stanie, w którym zmysły nie funkcjonują tak jak zwykle. Wprowadziliśmy ją do pokoju.

- Połóż się, kochanie - powiedziałam łagodnie, odchylając kołdrę. - Teraz spokojnie zaśniesz. Wszystko będzie dobrze. - Posłuchała, po czym bez słowa odwróciła się na bok i od razu zamknęła oczy.

Odczekaliśmy chwilę, by się upewnić, że naprawdę zasnęła, po czym wyszliśmy i cicho zamknęliśmy za sobą drzwi.

Spojrzeliliśmy na siebie. John był równie poruszony jak ja. Serce waliło mi cały czas, nogi miałam jak z waty.

- Wracam do łóżka - powiedziałam cicho. John zgasił światło na schodach.

Leżeliśmy obok siebie, oczy pomału przywykały do ciemności, rozjaśnianych jedynie nikłą poświatą ulicznej latarni. Dopiero po jakimś czasie się uspokoiłam. Milczenie trwało jeszcze dłużej,

- Jezu - westchnął w końcu John. — O co tu chodzi?

Pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia, ale wyobraź sobie, co by się mogło stać, gdybyśmy się nie obudzili, a ona znalazła zapalki. - Myśl, że Dawn bawi się zapalkami w kuchni i wywołuje pożar, podczas gdy my śpimy spokojnie na górze, spowodowała bolesny ucisk w dołku. Aż strach pomyśleć, do czego mogło dojść. - Czy myślisz, że chciała zapalić kuchenkę i coś ugotować? - spytałam wreszcie. - Wprawdzie jest samozapalacz, ale we śnie mogło jej to nie przyjść do głowy.

- Raczej nie - odparł John. - Nie zbliżyła się do kuchenki, a poza tym, czy widziałaś jej twarz? Gotowanie raczej nie wiąże się z cierpieniem. Ona wyraźnie siebie karała. Zadawała sobie ból za jakieś winy z przeszłości.

- Chyba tak - przyznałam z ociąganiem. - Wiesz... - urwałam. - Może kiedy będzie w szkole, pójde do lekarza i porozmawiam z nim.

- Dobra myśl. Powinniśmy też zawiadomić kuratorkę i zapytać, co o tym sądzi.

- Porozmawiam z Dawn. Może zapamiętała coś z tej nocy, skoro się obudziła. Gdy będziemy wiedzieć, na czym stoimy, łatwiej będzie jej pomóc.

W poniedziałkowy rano byliśmy dosłownie wykończeni, ale jak zwykle trzeba się było zabrać do codziennych zajęć. O siódmej poszłam obudzić Dawn. Spała mocno i z trudem ją dobudziłam. Kiedy zeszła na dół, byłam już po śniadaniu i karmiłam Adriana owsianką. Obserwowałam ją, gdy siadała przy stole. Była zmęczona, pod oczami miała ciemne kręgi, jak zwykle grzecznie powiedziała dzień dobry i nawet się uśmiechnęła. Przyglądałam się jej w milczeniu, gdy jadła swoją grzanekę i piła sok. Czekałam, aż sama poruszy temat ubiegłej nocy, ale milczała. W którymś momencie ziewnęła, a ja skorzystałam z okazji.

- Zmęczona jesteś, kochanie - zauważyłam, podając Adrianowi ostatnią łyżkę owsianki.

- Tak - przyznała i znowu ziewnęła.

- Nie spałaś dobrze. Dręczyły cię koszmary. Pamiętasz coś? Wyraźnie zaskoczona, stłumiła kolejne ziewnięcie.

- Nie, nic. Czy mówiłam przez sen?

Przytaknęłam.

- Sprawiałaś takie wrażenie, jakbyś się bardzo czymś przejmowała. Nie pamiętasz, jak cię uspokajaliśmy?

Pokręciła przecząco głową.

- Mam nadzieję, że nie byłam niegrzeczna. - Zaśmiała się nerwowo.

- N i e .

Wzruszyła lekko ramionami i wróciła do grzanki. Wyraźnie nic nie pamiętała, choć w nocy na pewno się obudziła. Uznałam, że nie ma sensu drążyć dalej - skoro nie pamięta, to i tak niczego nie wyjaśni, a jeśli się dowie, co robiła, może się jeszcze bardziej zestresować. Wyjęłam Adriana z krzeselka, posadziłam go sobie na kolanach i dałam mu do zabawy łyżeczkę. Natychmiast zaczął nią stukać w stół.

- Dawn - spojrzałam na nią bardzo uważnie. - Czy coś cię trapi? Odkąd u nas jesteś, kilka razy spałeś bardzo niespokojnie. Martwisz się czymś? Może mogłabym ci jakoś pomóc?

Przez chwilę patrzyła na mnie, po czym szybko odwróciła wzrok. Zrozumiałam, że rzeczywiście c o ś ją dręczy, ale mi o tym nie powie. Jej pogodna na ogół buzia nagle spochmurniała.

- Nie, niczym się nie martwię - odparła. - Przepraszam, że was obudziłam. Pójdę umyć zęby. Nie chcę się spóźnić.

Szybko dokończyła sok i poszła na górę. Pięć minut później była z powrotem. Jak co dzień odprowadziłam ją do drzwi.

Zaraz po jej wyjściu przewinęłam Adriana, przygotowałam dla niego butelkę z wodą, wsadziłam go do wózka i wyszliśmy. Do przychodni przy głównej ulicy miałam jakieś dwadzieścia minut spacerem. Przyjemnie było przejść się w śliczny wiosenny poranek. Liczyłam też na to, że przechadzka na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi na głowę - ciężką od niewyspania mimo dwóch mocnych kaw.

Ogródki mijanych domów budziły się do życia. Na gałązkach krzewów już było widać zielone pączki, pojawiały się też kwiaty późnej wiosny. Ptaki budowały gniazda, słychać było ich śpiew. Adrian dołączył do tego ptasiego chóru z jakąś własną

piosenką. Powietrze było rześkie, a ja optymistycznie patrzyłam na świat. Było mi trochę przykro, że Dawn nie ma do mnie tyle zaufania, żeby się zwierzyć, ale liczyłam na lekarza i jego pomoc w rozwiązaniu zagadki. Postanowiłam powiedzieć mu, że dziewczynka ukrywa jakieś poważne problemy, i spytać, czy to może być przyczyną somnambulizmu. Chciałam też zasięgnąć porady co do samookaleczania się Dawn. Wprawdzie u nas ani razu tego nie zrobiła, ale kilkakrotnie już odtwarzała cięcie we śnie. Po wizycie w przychodni zamierzałam poszukać w bibliotece czegoś na ten temat. Opieka nad Dawn wymagała nieustającego dokształcania się, niestety z mało przyjemnych tematów.

W przychodni po weekendzie było pełno pacjentów. Zgłosiłam się do rejestracji i powiedziałam, że mogę pójść do któregośkolwiek lekarza, niekoniecznie do mojego - najlepiej tam, gdzie jest najkrótsza kolejka. W poczekalni zajęłam jedno z dwóch ostatnich wolnych miejsc. Po mojej lewej ręce siedziała pokaślująca i posapująca kobieta z dużą nadwagą, po prawej - matka z dzieckiem na kolanach, które miało intensywny kaszel. Miałam nadzieję, że Adrian się nie zarazi. Na szczęście chował się zdrowo i rzadko musieliśmy korzystać z pomocy lekarskiej.

Minęła cała godzina, nim nadeszła moja kolej. Adrian zdążył wypić swoją butelkę wody i pobawić się całą zawartością mojej sporej torby. Doktor Roman przyjmował w gabinecie numer dwa. Był to nowy lekarz i zapewne dlatego kolejka do niego była najkrótsza - pacjenci wolą chodzić do znanych i sprawdzonych. Usiadłam z Adrianem na kolanach. Doktor Roman był stosunkowo młody, pewnie niedawno zrobił dyplom. Okazał się sympatyczny i łatwo nawiązaliśmy kontakt. Najpierw wyjaśniłam,

że przyszedłam nie w swojej sprawie, ale porozmawiać o Dawn Jennings, dziewczynce, którą wraz z mężem opiekujemy się jako rodzice zastępczy.

- Zarejestrowała ją pani u nas? - spytał.

- Tak. Od razu, gdy tylko z nami zamieszkała.

- Chwileczkę w takim razie. Poproszę w rejestracji o jej kartę, bo mam tu tylko pani kartę.

- Bardzo przepraszam. Powinna była wcześniej uprzedzić.

Podniósł słuchawkę telefonu na biurku i poprosił o przyniesienie karty Dawn.

- Zdaje sobie pani sprawę, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska i nie mogę ujawnić, co jest w jej karcie - powiedział. - Ale łatwiej mi będzie pomóc, gdy od razu sprawdzę pewne rzeczy. Więc co takiego dzieje się z Dawn?

Dobre pytanie, pomyślałam. Sama chciałabym wiedzieć. Zaczęłam opowiadać o jej zachowaniu.

Zadzwoił telefon.

- Dobrze, dziękuję. - Odłożył słuchawkę, - Karta Dawn jeszcze do nas nie dotarła, w czym nie ma nic niezwykłego. Czasami przesłanie dokumentacji trwa kilka miesięcy.

Przedstawiłam mu zatem historię Dawn (a raczej te jej fragmenty, które znałam), po czym opowiedziałam o chodzeniu we śnie i okaleczeniu się. Na koniec zrelacjonowałam wydarzenia ubiegłej nocy.

- Bardzo się martwię, panie doktorze. Naprawdę nie wiem, jak jej pomóc.

- A ona nie chce nic powiedzieć o swoich problemach, czy też o przyczynach takiego zachowania?

- Nie. Ani słowa. Ale zawsze jest bardzo grzeczna, powiedziałabym nawet, że zbyt grzeczna.

Słuchał mnie uważnie, od czasu do czasu kiwał głową. Widać było, że sprawę traktuje poważnie. Chwilę się zastanowił.

- Nie znając pani podopiecznej, a tym bardziej bez żadnej dokumentacji medycznej, trudno mi coś powiedzieć. Z pewnością wykazuje oznaki zaburzeń, prawdopodobnie wynikających z czegoś, co się zdarzyło w przeszłości. Wygląda na to, że miała bardzo niestabilny układ rodzinny. Poza tym mówi pani, że jest luka w jej życiorysie, o której nikt nic nie wie. Czy rzeczywiście nie wiadomo, gdzie wtedy była?

- Nie. Nic nie wiadomo, co robiła między piątym a dziewiątym rokiem życia.

- Będę wiedział coś więcej, jak zobaczę jej kartę, ale i tak zalecałbym wizytę u psychologa. Mogę dać skierowanie w ramach państwowej służby zdrowia. Jednak musiałbym najpierw zobaczyć Dawn osobiście. Nic nie mogę zrobić, dopóki sama do mnie nie przyjdzie i nie poprosi o pomoc. Jest nieletnia, więc żebym mógł wystawić skierowanie, potrzebna będzie także zgoda rodziców lub kuratora.

- Rozumiem. - Myślałam cały czas intensywnie. - Jeszcze dziś porozmawiam z jej kuratorką i przekażę pana sugestię.

Doktor Roman pokiwał głową.

- To będzie pierwszy krok. Ale radzę, by spróbowała pani jeszcze z nią porozmawiać. Może jednak coś powie. A co do chodzenia we śnie, postępują państwo prawidłowo. Jest to zjawisko bardziej powszechne, niż się na ogół sądzi, ale w pełni się z panią zgadzam, że w tym wypadku ma dość niepokojący



charakter. Rozumiem, że to dla państwa bardzo stresujące, ale trzeba jej pilnować i usuwać z zasięgu ręki wszystko, czym mogłaby sobie zrobić krzywdę. W przypadku podobnych, regularnie się powtarzających objawów, osobie dorosłej podałbym środek uspokajający. Dawn też mógłbym coś takiego przepisać, ale musiałyby do mnie przyjść. Oczywiście wszystko za zgodą rodziców bądź kuratorki.

Zrozumiałe, że bez Dawn nie mógł nic więcej powiedzieć ani tym bardziej zrobić. W poczekalni czekali już następni pacjenci, więc grzecznie podziękowałam i wyszłam. Na pewno nie był to czas stracony - lekarz poważnie potraktował mój niepokój. Propozycja zasięgnięcia porady u psychologa była słuszna, ale najpierw należało przekonać Dawn, że ma problem, a to oznaczało konieczność przeprowadzenia z nią poważnej rozmowy.

W bibliotece oddałam książki na temat zaburzeń snu i zaczęłam przeglądać półki w poszukiwaniu czegoś o celowym ranieniu się. Klasyfikacja Deweya jak zwykle u mnie kuląła, poprosiłam więc o pomoc bibliotekarkę. Przynajmniej tym razem znalazłam poprawną nazwę tematyki - samookaleczanie. Komputer szybko odnalazł jedyną w bibliotece pozycję na ten temat. Uprzejma bibliotekarka zaprowadziła mnie do odpowiedniej półki i wyjęła książkę. Tytuł brzmiał: Samookaleczanie u nastolatków: terapia. Nim miją dała, przekartkowała szybko.

- Nie jestem pewna, czy o to chodzi - zawahała się. - Tu piszą tylko o nastolatkach.

- To nie dla mnie - powiedziałam szybko. - Dla znajomej.

Podziękowałam jej, wypożyczyłam książkę i wróciłam do domu.

Gdy Adrian zjadł obiad, położyłam go spać i od razu zadzwoniłam do opieki społecznej, żeby porozmawiać z Ruth. Okazało się, że jest na urlopie i wróci za dwa tygodnie. Spytałam, czy ktoś jeszcze zna przypadek Dawn.

- Raczej nie - odparła kobieta, która odebrała telefon. - Jeśli to bardzo pilna sprawa, proszę porozmawiać z dyżurnym pracownikiem, jeśli nie, lepiej poczekać na Ruth.

Uznałam, że nie jest to pilna sprawa, więc tylko zostawiłam wiadomość, żeby Ruth się ze mną skontaktowała po powrocie.

Podczas gdy Adrian smacznie spał, przeczytałam książkę. Napisana była fachowym językiem i skierowana do terapeutów. Znalazłam tam sporo ciekawych informacji, między innymi o badaniach naukowych na temat występowania tego zjawiska wśród młodych ludzi. Lektura wcale nie podnosiła na duchu; była wręcz wstrząsająca.

Czarno-białe fotografie ukazywały rany na nogach, rękach, a także na innych częściach ciała, zadawane sobie przez młodych ludzi (głównie nastolatków). Niektóre przypadki wymagały hospitalizacji. Zaraz na wstępie dowiedziałam się, że osoby takie sprytnie potrafią się kryć i najczęściej kaleczą się w tajemnicy. Według opinii psychologów samookaleczanie, będące formą autoagresji, stanowiło „sposób radzenia sobie ze stresem” i brało się najczęściej ze złości i pogardy dla samego siebie oraz chęci ukarania się za jakieś przewinienie. Zdarzało się, że trwało latami, nawet po zdiagnozowaniu i mimo podjętej terapii. Młodzi ludzie robili to, bo czuli się niekochani; przyczyną mogły być także nadużycia fizyczne, seksualne i emocjonalne, przemoc, agresja, niska samoocena oraz depresja. „Gdy

się tnę, wraz z krwią wypływają ze mnie złe uczucia" - zacytowano wypowiedź jednego z pacjentów. „Czuję się winna i muszę się ukarać" - wyznawała pewna dziewczyna. Autor dodawał, że osoby, które czują się „otępiałe", dopiero doznając bólu, zaczynają „żyć". W skrajnych przypadkach okaleczanie doprowadzało do śmierci - zamierzonej lub nie. Nie należy jednak tego zjawiska traktować jako nieudanej próby samobójczej, gdyż jest to akt niezależny, przez niektórych psychologów interpretowany jako wołanie o pomoc. Okazuje się, że nie jest to też jedyny sposób zadawania sobie bólu. Nastolatki połykają w dużych ilościach tabletki, zadają sobie ciosy, uderzają głową w ścianę, wrywają sobie włosy i rzęsy, przypalają, rozdrapują bądź rozrywają skórę - by w ten sposób się ukarać lub znaleźć ujście dla zbyt silnych i zbyt trudnych do zniesienia emocji.

W sumie przygnębiająca lektura. Wniosek był taki, że za dokonywaniem okaleczeń może się kryć wiele psychicznych schorzeń. Nie natrafiłam na opis przypadku, by ktoś taki akt autoagresji odtwarzał podczas snu, tak jak to robiła Dawn. Nadal nie wiedziałam, czym sobie tłumaczyć jej specyficzne zachowanie.

Kiedy Dawn wróciła ze szkoły, spytałam, jak minął dzień, a ona jak zwykle odpowiedziała, że dobrze, choć była tak śpiąca, że o mało nie zasnęła na lekcji angielskiego. Poradziłam więc, żeby się dziś wcześniej położyła. Poprosiłam ją też o chwilę rozmowy, zanim pójdzie odrabiać lekcje. Wzięła sobie z kuchni mleko i przysła do mnie do salonu. Całe popołudnie zastanawiałam się, co i jak jej powiem. Postanowiłam nie wdawać się w szczegóły jej nocnej wyprawy.

- Coś się stało? - spytała. - Jesteś jakaś zmartwiona. Czy zrobiłam coś nie tak?

Uśmiechnęłam się.

- Nie, Dawn. Nic złego nie zrobiłaś. Po prostu martwię się o ciebie. Usiądź. - Wskazałam miejsce obok siebie. - Oboje niepokoiśmy się czymś, co twoja mama powiedziała na spotkaniu.

- A, tam - stwierdziła lekceważąco. - Chyba nie wierzysz w to, co mówi. Nie lubi mnie i nigdy nie ma dla mnie czasu. Pewnie wolałaby, żebym w ogóle nie istniała.

Bardzo mnie poruszyły te słowa. Niestety zabrzmiały prawdziwie.

- Widzisz, kochanie, chcę pomówić o tych bliznach. Bardzo się martwię, że próbowałaś się kaleczyć. Może warto, żebyś porozmawiała z kimś, kto mógłby ci pomóc. Myślę o terapeutę, który ma odpowiednie przygotowanie i umie radzić sobie z takimi problemami. Dla twojego dobra.

- Jajuz się nie tnę - odparła szybko.

Popatrzyłam jej prosto w oczy.

- Ale przedtem musiałaś być nieszczęśliwa, skoro zadawałaś sobie ból. Niektóre blizny są całkiem świeże, czy mi się wydaje?

- Nie robiłam tego tutaj - broniła się.

- Wiem, kochanie. Jednak ponieważ w ogóle to robiłaś, bardzo się boję, że czymś się gryziesz. Teraz też.

Odwróciła wzrok i w zamyśleniu potarła rękaw swetra na pokrytej bliznami ręce, jakby coś sobie przypominała.

- Zawsze ze wszystkim możesz zwrócić się do mnie, ale czasem łatwiej jest rozmawiać z kimś obcym. A ten ktoś będzie się w dodatku lepiej niż ja znał na tych sprawach i skuteczniej ci

pomoże. Tylko najpierw musisz iść do lekarza po skierowanie. Chętnie z tobą pójde. Będziemy też potrzebować zgody twojej mamy albo kuratorki.

Przestała trzeć rękę.

- Ale przecież ze mną wszystko jest w porządku. Nie robię tego i jeśli nie zacznę, to nie będę musiała iść do lekarza, prawda?

Mówiła takim tonem, jakbym proponowała ciężką pokutę czy karę.

- Kochanie, ty w ogóle nie musisz iść, jeśli nie chcesz. Pomyślałam tylko, że będzie ci łatwiej, gdy porozmawiasz z kimś o problemach, o których nie chcesz powiedzieć mnie. Oboje z Johnem martwimy się o ciebie. Smutno mi, gdy pomyślę, że zadawałaś sobie ból, jakbyś siebie karała.

Słowo „karała” najwyraźniej poruszyło jakąś strunę. Wyprostowała się i spojrzała na mnie.

- Nie zrobiłam nic złego - znów zaczęła się bronić. - I nie zrobię. Nie tutaj.

Znów spojrzałam jej prosto w oczy.

- Nie o to chodzi. Oczywiście, że nic złego nie zrobiłaś. Tylko się o ciebie martwimy. - Umilkłam, bo rozmowa nie przynosiła spodziewanych rezultatów. - Cóż, sama zdecydujesz, czy pójdziesz do lekarza. Ale obiecaj mi, że pomyślisz o tym. Bardzo by ci to pomogło.

Kiwnęła głową.

- Dobrze, Cathy, pomyślę. Mogę teraz iść odrabiać lekcje?

- Oczywiście. - Zawahałam się jeszcze. - Dawni, ja naprawdę mówię to wszystko dla twojego dobra. Chcę, żebyś była w życiu szczęśliwa i nie mam żadnych ukrytych zamiarów. - Odniosłam

wrażenie, że się boi, jakbym należała do jakiegoś spisku przeciwko niej.

- Dobrze - zgodziła się posłusznie.

Gdy poszła do siebie, westchnęłam ciężko. Miałam uczucie, że wszystko poszło źle. Zdecydowanie odmówiła pójścia do lekarza, w dodatku poczuła się zagrożona. Ale przynajmniej jej uświadomiłam, że pomoc jest w zasięgu ręki, jeśli tylko zechce z niej skorzystać.

Tego wieczoru, kiedy poszła spać, zrelacjonowałam Johnowi wydarzenia minionego dnia. Opowiedziałam o wizycie u lekarza i w bibliotece, o telefonie do opieki społecznej i fiasku naszej rozmowy. Pokazałam mu wybrane wcześniej fragmenty z książki o autoagresji wśród nastolatków. Przeczytał i spochmurniał. Zdjęcia wstrząsnęły nim tak samo jak mną. Zaczął się o nią jeszcze bardziej martwić.

Tym razem Dawn spała spokojnie, my również. Wszyscy troje byliśmy zmęczeni po ubiegłej nocy. Rano John poszedł do pracy, Dawn wyszła do szkoły, a mnie, wreszcie wyspanej, humor znacznie się poprawił i zabrałam się za zaległe prace domowe. Kwietniowy dzień był naprawdę piękny. Otworzyłam drzwi tarasowe w salonie i zabrałam się za odkurzanie kątów pomijanych przy cotygodniowym sprzątaniu. Adrian na dywanie przymierzał się do rączkowania. Pomyślałam, że niebawem zacznę się samodzielnie przemieszczać i trzeba będzie usunąć z zasięgu jego rączek różne przedmioty, na przykład doniczki z roślinami, którym od dawna przyglądał się z zainteresowaniem. Nagle zadzwonił telefon. Nie spuszczając Adriana z oka, podniosłam słuchawkę.

- Pani Glass? - spytał kobiecy głos.

- Tak, to ja.

- Dzwonię ze szkoły. Wychowawczynie Dawn prosiła, żeby panią powiadomić, jeśli ona nie przyjdzie. Czy Dawn jest chora?

Serce mi zamarło.

- Nie. Wyszła z domu o zwykłej porze.

- Ale na lekcje nie dotarła. I nie wie pani, gdzie może być?

- N i e .

- Będzie mieć nieusprawiedliwioną nieobecność. Jutro, mam nadzieję, przyjdzie?

- Tak - odparłam. - Dziękuję, że pani zadzwoniła. - Odłożyłam słuchawkę.

Stałam nieruchomo i tępo patrzyłam na sprzątnięty w połowie pokój. Mój dobry humor zniknął. Do zmartwień z powodu Dawn doszedł teraz problem wagarów. Była dopiero dziesiąta. Do czwartej, kiedy zwykle wracała, zostało jeszcze mnóstwo czasu, a ja już zaczęłam się denerwować. Nie miałam jak się z nią skontaktować, nie wiedziałam, co się z nią dzieje. W dodatku jej kuratorka wyjechała. Zawiadomienie Johna niewiele by mi dało, on i bez tego miał w pracy urwanie głowy. Pomyślałam, że może Dawn pojechała do matki, jak poprzednio - zupełnie nie rozumiałam, dlaczego do niej, skoro miały do siebie tyle żalu i pretensji. Nie znałam numeru Barbary, więc nie mogłam zadzwonić i sprawdzić.

Nie wiedziałam, ani gdzie jest, ani co zamierza, a do tego dochodziło ogromne rozczarowanie. Uwierzyłam, gdy mi obiecała, że nie będzie wagarować. Tak wiele opowiadała o tej nowej koleżance, Natashy. Spojrzałam na Adriana, który leżąc na

brzuchu na dywanie, energicznie wymachiwał rączkami i nóżkami, i nagle przysła mi do głowy pewna myśl. W pierwszej chwili ją odrzuciłam, ale potem zmieniałam zdanie. Może zostawiła w pokoju notes z adresami albo kalendarzyk? Albo cokolwiek, co zawiera wskazówkę, dokąd poszła? Normalnie nie wchodziłam tam pod jej nieobecność, uznawszy, że w jej wieku ma się prawo do prywatności. Ale mogłabym znaleźć jakiś ślad, a wtedy wystarczyłoby wsiąść w samochód i po nią pojechać. Miałam przeczucie, że te wagary, podobnie jak inne sprawy, są kolejnym wołaniem o pomoc. Przecież Dawn wiedziała, że zadzwonią ze szkoły. Czyżby mnie sprawdzała? Testowała, jak daleko może się posunąć i czy rzeczywiście mi na niej zależy? Gdybym zadała sobie trud, by ją odnaleźć, byłby to dowód, że naprawdę się o nią troszczę i że jest dla mnie ważna.

Nie wahałam się dłużej, wzięłam Adriana i poszłam na górę. W pokoju Dawn rzeczywiście czekała bardzo ważna informacja, ale zupełnie inna, niż się spodziewałam. Dosłownie zatkało mnie z przerażenia, kolana ugięły się pode mną. Poduszka na łóżku Dawn była cała pobrudzona krwią.



## Łazimieście

Dłuższą chwilę stałam jak skamieniała. Poczułam skurcz w żołądku, ogarnął mnie strach. W końcu przemogłam się i podeszłam do łóżka. Miałam gonitwę myśli, dusiło mnie w gardle. Bałam się tego, co mogłam zaraz odkryć. Wolno uniosłam brzeg kołdry. Ku mojej niewymownej uldze nie było więcej krwi. Ale ta na poduszce wyglądała na świeżą.

Nie ulegało wątpliwości, że znów się pocięła, bo jak inaczej to wytłumaczyć. Ale kiedy? I dlaczego? Gdy rano ją budziłam, poduszka była czysta. „Mój Boże!” - te słowa wymówiłam na głos, uświadomiwszy sobie, że musiało się to stać po śniadaniu, kiedy poszła na górę szykować się do szkoły. Później zachowywała się najzupełniej normalnie i pożegnała się wesoło jak zwykle. Odprowadziłam ją przecież do drzwi. „Dobry Boże” - powiedziałam znowu. W głowie nadal miałam mętlik. Nic rano nie zauważyłam, bo była w swetrze, z długimi rękawami. Czy zdezynfekowała ranę? A może cały czas krwawi? Jak poważnie się okaleczyła? Czy nie trzeba założyć szwów? Czy nie powinna pojechać do szpitala?

Kompletny szok. Dawn spokojnie zjadła z nami śniadanie, następnie poszła na górę, niby umyć zęby i wziąć szkolną torbę, i wtedy to zrobiła. Czym? Rozejrzałam się w poszukiwaniu przedmiotu, którego mogła użyć, ale nie było tu nic ostrego. Znów ogarnęło mnie przerażenie, kiedy pomyślałam, że ja sama mogłam być winna. Czyżby przyczyną była nasza wczorajsza rozmowa? Aż chciało mi się płakać, że przez moją nieudolność i brak taktu Dawn pewnie błąka się teraz samotnie, może krwawi.

Kiedy schodziłam na dół, miałam nogi jak z waty i musiałam trzymać się poręczy. Posadziłam Adriana na podłodze w salonie, dałam mu zabawki, a sama zadzwoniłam do opieki społecznej.

- Chciałam rozmawiać z dyżurnym – odezwał się drżącym głosem.

- W jakiej sprawie?

- Chodzi o dziewczynkę, dla której jestem matką zastępczą.

Dawn Jennings,

- Pani nazwisko?

- Cathy Glass.

Rozległo się ciche kliknięcie i znów odezwał się ten sam głos:

- Numer jest zajęty. Poczeka pani?

- Tak. Chyba że mogę porozmawiać z kimś innym. To naprawdę dość pilne.

- A o co chodzi?

- Dawn zniknęła, a ja przed chwilą znalazłam krew na jej poduszce. Myślę, że się okaleczyła.

Chwila ciszy.

- Kto się nią u nas zajmuje?

- Ruth Peters, ale wyjechała.

- Ile lat ma dziewczynka?

- Trzynaście.

- Musi pani porozmawiać z pracownikiem dyżurnym. Połączę, kiedy skończy rozmawiać.

W słuchawce zapadła głucha cisza. Czekałam. Na myśl, że po naszej wczorajszej rozmowie Dawn znów się pocięła, tak mocno zaciskałam palce na słuchawce, że aż mi kostki pobieleły. Wyrzucałam sobie, że w ogóle poruszyłam ten temat.

Kiedy wreszcie odezwał się dyżurny pracownik, głos mi drżał i ledwo mogłam się wysłowić.

- Ona ma dopiero trzynaście lat... i pocięła się. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Wyszła jak zwykle do szkoły, ale tam nie dotarła. A potem odkryłam, że jej poduszka jest cała we krwi.

- Jak się nazywa dziewczynka? - przerwał moją nieskładną gadaninę.

- Dawn Jennings.

- Czy przedtem to się już zdarzało?

- Nie... to znaczy kiedyś. Ale odkąd u nas zamieszkała, nie było z tym problemu.

- J a k długo jest u państwa?

Szybko obliczyłam w myślach.

- Trzy miesiące.

- Nie domyśla się pani, gdzie może być? Nastolatki często chodzą w to samo miejsce.

- Może u matki. Tam była, kiedy poprzednio wagarowała. Ale matka pracuje, a ja nie mam jej numeru telefonu.

- Powinien być u nas. Czy była czymś zdenerwowana, kiedy wychodziła rano?

- Nie, zupełnie nie. - Usiłowałam panować nad sobą i powstrzymać łzy. - Wręcz przeciwnie. I niczego nie podejrzewałam, dopóki parę minut temu nie weszłam do jej pokoju.

Zapadła cisza. Dyżurny poważnie potraktował moje zgłoszenie, ale znacznie mniej się przejął niż ja. Zapewne przywykł do tego, że młodzież ucieka. Tym razem nie był to jednak zwykły przypadek, lecz trudna nastolatka, która się okaleczyła i w każdej chwili mogła zrobić to znowu.

- Dobrze - powiedział po chwili. - Sprawdzę w kartotece i zadzwonię do matki. Poproszę, żeby panią zawiadomiła, jeśli dziewczynka jest u niej, żeby się pani nie denerwowała. Jeśli nie wróci o zwykłej porze, proszę odczekać jeszcze dwie godziny i zgłosić zaginięcie.

- Jak to zgłosić zaginięcie? - spytałam. Pomyślałam, że to jakaś nieznana mi procedura w opiece społecznej.

- Jeśli nie przyjdzie do wieczora ani nie będzie telefonu potwierdzającego, że jest u matki, musi pani zadzwonić na policję i zgłosić zaginięcie. Ale przedtem proszę jeszcze raz skontaktować się z nami, bo policja i tak spyta, czy opieka społeczna została poinformowana.

- Dobrze. Tak zrobię.

Odłożyłam słuchawkę i przez chwilę tępo patrzyłam przed siebie. Ile czasu zajmie mu znalezienie akt Dawn i numeru Barbary oraz zatelefonowanie? Kwadrans? Pół godziny? Nie dłużej. W hałasie nie usłyszałabym telefonu, więc odłączyłam odkurzacz od kontaktu i schowałam. Zresztą i tak nie mogłabym sprzątać. W tej chwili liczyło się tylko jedno: co się dzieje z Dawn. Usiadłam na podłodze obok Adriana i z roztargnieniem

podsuwałam mu kolejne zabawki. Minęło piętnaście minut, pół godziny, telefon nie dzwonił. Zastanawiałam się, dlaczego tak długo to trwa. Czy dyżurny pracownik opieki społecznej jeszcze szuka jej papierów, czy też się dotąd nie dodzwonił do matki. Żałowałam, że nie poprosiłam, aby dał mi znać niezależnie od rezultatu podjętych działań - niewiedza i bezradność są dużo gorsze od najstraszniejszej wiadomości.

Po upływie godziny nie mogłam dłużej wytrzymać. Znowu zadzwoniłam do opieki społecznej i jeszcze raz musiałam podać wszystkie swoje dane telefonistce. Dyżurny pracownik od razu mnie rozpoznał.

- Pani Jennings na razie nie ma w domu - poinformował. - Później spróbuję jeszcze raz zadzwonić.

Podziękowałam i odłożyłam słuchawkę. Pozostało czekać. W przerwie na lunch zadzwonił John i spytał, czy jadę do miasta, bo oddał garnitur do pralni i chciał, żebym go odebrała. Opowiedziałam mu, co się stało. Bardzo się przejął - ze względu zarówno na Dawn, jak i na mnie.

- Na pewno sobie poradzisz? - pytał kilkakrotnie. - Dlaczego ona to zrobiła?

Odparłam, że pewnie przez naszą wczorajszą rozmowę.

- Daj spokój - odparł, - Na pewno nie. Przecież chciałaś dobrze. A poza tym ona robiła to już wcześniej. - Zamilkł na chwilę. - Cathy, myślę, że musimy bardzo poważnie się zastanowić, czy jesteśmy w stanie dalej się nią zajmować. Po tej historii mam spore wątpliwości. Odkąd z nami zamieszkała, są same kłopoty. Wiem, że to nie jej wina, ale trzeba też pomyśleć o nas, o naszej rodzinie. Ty jesteś szczególnie obciążona.

- Poradzę sobie - oświadczyłam niby dzielnie, ale tak naprawdę bez większego przekonania.

John nie ustąpił łatwo.

- Jeszcze porozmawiamy. Wrócę dziś jak zwykle. I nie martw się za bardzo. Ona robiła takie rzeczy przedtem i żyje. Na pewno wszystko będzie dobrze. Ucałuj ode mnie Adriana.

- Dobrze.

Pożegnaliśmy się i odłożyłam słuchawkę. Niezbyt mnie podniosła na duchu ta rozmowa. Oczywiście, że Dawn już to robiła - świadczyły o tym blizny. To znaczy, że jest jej w życiu źle. Każda nowa blizna mówiła o cierpieniu i była rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Kiedy się wcześniej cięła, nie była pod moją opieką. W tej chwili to ja ponosiłam za nią odpowiedzialność i to ja jej nie dopilnowałam.

Całe popołudnie przesiedziałam w domu. Ciągłe nasłuchiwałam, czy nie dzwoni telefon. Raz zadzwonił, tuż przed drugą. Rzuciłam się do słuchawki, a to był akwizytor firmy wymieniającej okna. Przed trzecią wróciła mi nadzieja. Doszłam do wniosku, że Dawn pewnie niebawem wróci do domu, tak jak przy poprzednich wagarach. Jedno nie dawało mi spokoju: że tym razem jest inaczej, bo się okaleczyła i w dodatku celowo zostawiła ślady, tak żebym się o rym dowiedziała,

O wpół do czwartej, z Adrianem na rękę, stanęłam przy oknie w pokoju od frontu. Pragnęłam, żeby się zjawiła. Minęła za kwadrans czwarta, zwykła pora jej powrotu. Nic. Zbliżała się czwarta. Kilka razy autobus się spóźnił i wtedy wróciła parę minut po czwartej. Nerwowo przemierzałam pokój i przedpokój, po czym wracałam do okna. Nie było jej.

O piątej poszłam do kuchni i zaczęłam szykować kolację - zupełnie nie miałam apetytu, ale musiałam nakarmić Adriana. O piątej trzydzieści pogodziłam się z myślą, że Dawn nie wróci. Bardzo to przeżywałam. Ostatni raz podeszłam do okna **Z** iskierką nadziei, że może właśnie idzie, ale nic z tego. Powinna była wrócić dwie godziny temu, więc zgodnie z wcześniejszą instrukcją zadzwoniłam do opieki społecznej.

- Już po godzinach urzędowania – oznajmił kobiecy głos. Powiedziałam, że muszę pilnie rozmawiać z dyżurnym pracownikiem. Inna osoba pełniła teraz dyżur i od początku trzeba było tłumaczyć, co się stało, i wyjaśniać, że kazano mi zadzwonić, nim zgłoszę zaginięcie na policji. Urzędnik spytał, dlaczego Dawn trafiła do opieki i czy już przedtem zdarzało się jej zniknąć z domu. Powtórzyłam wszystko, co wiedziałam.

- Na razie jest za wcześnie, żeby zgłosić zaginięcie - orzekł.

- Przeważnie czekamy około dwóch godzin, ale w tej chwili jeszcze jest jasno. Policja dostaje mnóstwo zgłoszeń o zaginięciach nastolatków, a potem się okazuje, że dzieciaki po prostu gdzieś się zasiedziały i wracają do domu później.

- Ale odkąd jest u nas, ani razu nie uciekła, a poza tym teraz się pocięła! - Byłam naprawdę zła i rozżalona.

- Sama pani mówiła, że zdarzało się jej nie wracać do domu, kiedy jeszcze mieszkała z rodzicami.

- Tak, ale tym razem się okaleczyła. Może potrzebować pomocy.

- Proszę pani, odnotuję ten telefon, więc do nas nie musi już pani więcej dzwonić. Jeśli do wpół do siódmej się nie odnajdzie, niech pani zgłosi zaginięcie na policji. Gdyby jednak przyszła, proszę nas poinformować, żebyśmy mogli usunąć wpis z systemu.

- Dobrze - odparłam. Podziękowałam mu krótko i odłożyłam słuchawkę. Cholerny system, pomyślałam. Facet nie okazał cienia współczucia. Dawn po prostu psuła mu statystyki.

Dałam jeść Adrianowi, talerz z kolacją Johna schowałam do piekarnika. Sama nie miałam apetytu, zadowoliliam się kubkiem herbaty z kilkoma ciasteczkami. Pomyślałam, że zjem później z Dawn, jeśli przyjdzie, i może łatwiej będzie nam wtedy spokojnie porozmawiać. Wykąpałam Adriana i przebrałam w piżamkę. Wróciłam z nim do salonu i znów czekałam. Dokładnie o wpół do siódmej sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić na policję, i wtedy uświadomiłam sobie, że nie znam numeru. Przecież zaginięcia nie zgłasza się pod ogólny numer alarmowy. Odłożyłam słuchawkę i w książce telefonicznej odszukałam numer najbliższego komisariatu. Czoło przeszywał mi pulsujący ból, pewnie skutek napięcia. Trzymając książkę na kolanach i jednocześnie uważając na Adriana, wykręciłam numer. Zaskoczyło mnie, gdy usłyszałam w słuchawce nagrany komunikat, że mam czekać na swoją kolej, a dyżurny oficer odbierze, jak tylko będzie to możliwe.

- Cholera - powiedziałam na głos i łzy napłynęły mi do oczu. Adrian przyglądał się z zaciekawieniem.

Dziesięć minut później nareszcie odezwał się dyżurny oficer. Zdążyłam tylko powiedzieć, że chcę zgłosić zaginięcie, kiedy usłyszałam trzask drzwi wejściowych, co oznaczało, że wrócił John.

- Przepraszam - powiedziałam do policjanta. - Jedną chwilczkę. - Położyłam słuchawkę i zniosłam Adriana do przedpokoju. - Możesz się nim zająć? - poprosiłam. - Właśnie dzwonię na policję. Dawn nie wróciła. Kolację masz w piekarniku.



Wróciłam do telefonu.

- Przepraszam raz jeszcze. Pytał pan o moje nazwisko.

- Tak - odparł cierpliwie.

Podaliśmy nazwisko, adres i numer telefonu. Zapadła cisza, gdy notował.

- Kto zaginął?

- Dziewczynka, nad którą sprawuję opiekę zastępczą. Dawn Jennings.

Znow chwila przerwy.

- Jej data urodzenia?

Musiałam pomyśleć chwilę.

- Ma trzynaście lat. Urodziny obchodzi szóstego stycznia. - Obliczenie wieku Dawn zostawiłam jemu, gdyż mój mózg nie był w tej chwili zdolny do takiego wysiłku. Ale głupio mi się zrobiło, że nie znałam jej daty urodzenia. W końcu to jakby moje dziecko.

- I jest pani matką zastępczą? - upewnił się.

- T a k .

- Czy zgłosiła pani zaginięcie kuratorowi?

- Zawiadomiłam dyżurnego w opiece społecznej. Kuratorka jest na urlopie.

- Jak zwykle - stwierdził kwaśno. - A jak się nazywa ta kuratorka?

- Ruth Peters.

Znowu przerwa.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Dawn?

- Dziś rano o ósmej piętnaście.

Poprosił o szczegóły, więc wyjaśniłam, że wyszła do szkoły, ale tam nie dotarła. A później znalazłam krew w jej pokoju.

Powiedziałam mu o bliznach na ramieniu, że się wcześniej okaleczała i o wszystkim, co wiedziałam o jej przeszłości. Kazał mi opisać Dawn, łącznie z tym, w co była ubrana.

- J e s t mała jak na swój wiek, ma około metra pięćdziesięciu wzrostu. - Mówiłam wolno, żeby zdążył zanotować. - Drobna, jasne włosy, niebieskie oczy. Miała na sobie szkolny mundur... granatową plisowaną spódnicę, czarne rajstopy, jasnoniebieską bluzę i granatowy sweter z logo szkoły.

- Do której szkoły chodzi?

- St James's.

- Była w jakimś płaszczu czy kurtce?

- Dziś nie wzięła, bo zrobiło się ciepłej.

- Czy jest możliwe, żeby miała przy sobie zwykłe ubranie, w które się potem przebrała? - spytał.

Pomyślałam chwilę.

- Raczej nie. Torba do szkoły nie jest zbyt duża, a jeszcze jak dojdą książki...

- Chyba że nie dojdą. Czy mogła wziąć ubrania, a książki zostawić w domu?

- Pewnie tak, ale wątpię, by mnie tak oszukała. - W tym momencie uświadomiłam sobie, że przecież oszukała mnie, udając, że idzie do szkoły. A ja tak bardzo chciałam jej wierzyć, że odruchowo jej broniłam. - To jest możliwe - dokończyłam cicho.

- Sprawdziła pani w szafie, czy nie brakuje ubrań? - spytał całkiem rozsądnie.

- N i e .

- Proszę to zrobić i zgłosić policjantom, jeśli coś zniknęło.

- J a k i m policjantom?

- Ktoś od nas zgłosił się do państwa. To zwykła procedura w przypadku zaginięcia.

- Ach tak, rozumiem. - Znów poczułam się jak całkowita ignorantka, ale w końcu kto zna procedury zgłaszania zaginięcia, dopóki się z nimi nie zetknie? - Może spotkała kogoś po drodze do szkoły? - Podsunęłam tę myśl policjantowi. Zapisał sobie. - Matka mówiła, że kiedy Dawn u niej mieszkała, zadawała się z nieodpowiednim towarzystwem i zdarzało się jej nie wracać na noc.

- Wszystko możliwe - odparł ze znużeniem w głosie. - Młodzież często tak robi. Ma pani jakieś namiary na tych znajomych albo wie pani, dokąd mogła z nimi pójść?

Znów poczułam się zupełnie nieprzygotowana do lekcji.

- Niestety, nie. Ona nie opowiada nam o sobie. Może wychodzić w piątki i soboty wieczorem, ale musi być z powrotem najpóźniej o dziewiątej trzydzieści. Nigdy nie zwierza się, dokąd idzie.

- Czy ma pani adres bądź telefon matki?

- Nie - odparłam znowu. Pomyślałam sobie jednocześnie, że Ruth powinna była go nam podać.

- Sprawdzę u nas. Jeśli zaginięcia zdarzały się jej wcześniej albo jest znana policji, powinniśmy mieć jej dane.

- Dziękuję.

- Więc mówi pani, że w przeszłości dochodziło do okaleczeń?

- Tak, ale nie odkąd zamieszkała u nas. Blizny są wcześniejsze. Dziś pierwszy raz się to zdarzyło i naprawdę nie mam pojęcia, co ją do tego skłoniło. Nie była przygnębiona ani nic takiego,

- Rozumiem – odparł. – Czy ktoś z jej znajomych ma samochód? - Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: - Pewnie też pani nie wie?

- Nie wiem. Ale ona ma dopiero trzynaście lat, więc nie sądzę. Nic nie powiedział, sama się domyśliłam, że moja odpowiedź mogła świadczyć jedynie o niewiedzy na temat Dawn i w ogóle nastolatków.

- Czy ona ma paszport?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ile pieniędzy miała przy sobie, kiedy wychodziła z domu?

- Trudno powiedzieć. Dajemy jej kieszonkowe i pieniądze na ubrania. Jeśli nic z tego nie wydała, a sądzę, że nie, to powinna mieć ponad czterdzieści funtów.

Aż syknął.

- Niezbyt dobry pomysł dawać tyle pieniędzy. Może wtedy dalej uciec. - Był to pierwszy zarzut, jaki usłyszałam podczas tej rozmowy, i w pełni się z nim zgadzałam.

- Kuratorka tak kazała - wyjaśniłam, co zabrzmiało dość kulawo.

Znów zapadła cisza, wreszcie powiedział:

- Pani Glass, wpisałem dane Dawn do rejestru osób zaginionych. Kiedy przyjedzie do pani policja, proszę mieć przygotowaną jej aktualną fotografię.

- Przykro mi - odparłam. Znów się zdenerwowałam. - Nie mamy jej fotografii. Zrobiliśmy sobie wprawdzie wspólne zdjęcie, ale są jeszcze w aparacie. Nie wywołałam ich.

- Cóż, trudno. Mamy dokładny rysopis, a zdjęcie może się znaleźć w kartotece. Jednak na przyszłość radzę mieć fotografie, gdy opiekuje się pani nastolatką z ucieczkami na koncie.

- Bardzo mi przykro - Czułam się coraz bardziej głupio. - Dla nas to wszystko jest zupełną nowością. Kiedy przyjedziecie?

- Trudno dokładnie powiedzieć. Mamy dużo pracy, a mało ludzi. Pewnie dziś wieczorem. Gdyby wróciła, proszę do nas zadzwonić, żebyśmy nie tracili niepotrzebnie czasu.

- Tak, oczywiście. - Zawahałam się. Nie chciałam wyjść na jeszcze większą ignorantkę, ale musiałam to wiedzieć. - Proszę mi jeszcze powiedzieć, co zrobicie teraz? To znaczy jak będziecie jej szukać. Bardzo się martwię.

- To zrozumiałe. Rysopis zostanie przekazany patrolom, więc może ktoś ją zauważy na ulicy. Jeśli nie wróci do jutra, jej dane trafią do krajowego rejestru osób zaginionych, a poza tym sprawdzimy szpitale. - Aż poczułam ucisk w dołku. Przed oczami pojawił mi się obraz Dawn leżącej samotnie na szpitalnym łóżku, bez żadnej życzliwej duszy w pobliżu. - Jeśli stwierdzimy, że może próbować opuścić kraj, powiadomimy lotniska i porty, ale nie sądzę, by w tym przypadku do tego doszło.

- Raczej nie - zgodziłam się.

- W takim razie to wszystko. Myślę jednak, że wkrótce wróci.

- Mam nadzieję. Bardzo panu dziękuję za pomoc.

John zdążył już zjeść kolację i zabrał Adriana na górę. Byłam spięta i zmęczona, ale mimo to myślałam, zadziwiająco jasno, zapewne pod wpływem adrenaliny wydzielającej się w stresie. Poszłam do nich. John się przebierał. Choć nastrój miałam raczej kiepski, zdobyłam się na uśmiech.

- Popatrz! - Nim zdążyłam się odezwać, pokazał Adriana, który na czworakach przemieszczał się po dywanie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mój synek właśnie zaczął raczko-

wać. Od tygodni czekałam na ten moment, a kiedy nadszedł, nie było mnie przy tym, bo dzwoniłam na policję w sprawie Dawn. Tak bardzo żalowałam, że ominęła mnie ta ważna chwila. I choć jednocześnie nadal cały czas umierałam z niepokoju o Dawn, byłam dumna z mego dziecka i szczęśliwa jak nie wiem co.

Usiadłam na podłodze w pobliżu malca i zaczęłam go wołać.

- Chodź, synku, no, chodź do mamusi - zachęcałam, klaszcząc lekko w ręce. Śmiejąc się i gulgocząc radośnie, niczym mały krab pokonał dzielącą nas odległość i upadł mi na kolana. - Brawo! - zawołałam. - Zuch! - John głośno klaskał. Podniosłam Adriana, dałam mu głośnego buziaka i przytrzymałam chwilę w gorze, a on się zaśmiewał. Spojrzałam na Johna i westchnęłam. - Widziałeś łóżko Dawn?

- Tak. - Od razu spowaźniał.

- Zgłosiłam jej zaginięcie. Przyjedzie do nas policja. Kiedy ten policjant wypytywał mnie o różne rzeczy, znów dotarło do mnie, jak niewiele o niej wiemy. Powiedział, że następnym razem powinniśmy mieć jej fotografię. Pewnie uważa, że to się może powtórzyć,

John pokiwał głową.

- Sam nie wiem, czy będzie następny raz. - Adrian podskakiwał u mnie na kolanach, i wymachiwał tłustymi rączkami. - Tak dalej być nie może - ciągnął John. - Mamy jedną sytuację kryzysową za drugą. Wiem, że ją lubisz i jej współczujesz. Ja też, ale te ciągle problemy... przede wszystkim brak snu... stają się coraz uciążliwsze. Do pracy idę wykończony, nie jestem w stanie się skupić. Nawet jak ona nie wstaje z łóżka, ciągle nasłuchuję, czy nie wyszła z pokoju. A teraz jeszcze uciekła! Mam przecież

odpowiedzialną pracę i nie mogę w ten sposób funkcjonować. Dla ciebie to też musi być trudne. Jak w tych warunkach dajesz sobie radę z Adrianem? Musisz być bardzo zmęczona.

- Fakt, dzisiejszy dzień mnie wykończył. Ale Adrianowi nie dzieje się krzywda. Co twoim zdaniem mamy zrobić? Zawiadomić opiekę społeczną, że już jej nie chcemy? Ze mamy jej dosyć i niech kto inny się męczy?

- W ostateczności tak. - John nieco podniósł głos. - Dawn potrzebuje profesjonalnej pomocy, a tego jej nie zapewnimy. Robiliśmy, co się dało, i niewiele to pomogło. Nastolatki chodzące we śnie, uciekające z domu i okaleczające się to problem przekraczający nasze siły i możliwości. Jak długo mamy się zamykać w sypialni na klucz, by zapewnić bezpieczeństwo własnemu dziecku? Przecież nawet lekarz stwierdził, że powinna pójść do psychiatry. W książce napisane było to samo. Ja też tak uważam, jej zachowanie nie jest normalne, ona potrzebuje pomocy, i to szybko.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, rozdrażnieni. Była to najpoważniejsza kłótnia w ciągu czterech lat naszego małżeństwa. Przyszło mi do głowy, że to Dawn niechcący stała się jej przyczyną, podobnie jak wywoływała konflikty między rodzicami a ich partnerami.

- Pomyślałeś, co się stanie, jeśli zrezygnujemy? - spytałam cichszym głosem. - Rodzice jej nie chcą, a ona o tym doskonale wie. Jak zareaguje, gdy się dowie, że my też jej nie chcemy?

- Posłuchaj - rzekł już spokojniej. - Jak wróci, w co nie wątpię, siądziemy razem, spokojnie porozmawiamy i spróbujemy coś ustalić. Jeśli będzie wobec nas szczerą i wykaże dobrą

wolę, może się jakoś dogadamy. A poza tym opieka społeczna powinna skończyć z tymi sekretami. Dawn mieszka u nas i to my jesteśmy za nią odpowiedzialni. Musimy wiedzieć coś więcej o jej przeszłości.

Uśmiechnęłam się, odpowiedział mi uśmiechem.

- Zgoda - powiedziałam.

- No, to chodź. Położymy Adriana i posiedzimy sobie w salonie.

Jakie to szczęście, że miałam w mężu tak duże oparcie. Szybko przewinęłam Adriana i go położyłam. Malec uśmiechał się do mnie.

- Dobrej nocy, synku. - Ucałowaliśmy go oboje,

- Niedługo będzie go już można przenieść - powiedział John, kiedy wyszliśmy. - Robi się coraz większy.

- Nie potrzebuje karmienia w nocy, więc będzie łatwiej.

Pokój był gotów jeszcze przed jego urodzeniem i Adrian w zasadzie już mógłby tam spać. Powstrzymywała nas jedyna obawa, wisząca nad nami jak ciemna chmura. Czy byłby bezpieczny, z Dawn za ścianą? Moglibyśmy nie usłyszeć, gdyby w nocy poszła do niego. Zamykanie go na klucz nie wchodziło w grę, podobnie jak nie mogliśmy zamykać jej. Żadne z nas nie powiedziało tego na głos, ale doskonale wiedzieliśmy, że dopóki Dawn nie przestanie chodzić we śnie, Adrian musi spać z nami. Nie można go było na razie zostawić samego w pokoju dziecięcym.



## *Policja w naszym domu*

Gdy poszłam sprawdzić, czy są wszystkie ubrania, starałam się nie patrzeć na zakrwawioną poduszkę. Przejrzałam zawartość szafy. Prawie cała garderoba Dawn została skompletowana przeze mnie - oprócz tego, co miała na sobie, gdy do nas przybyła. Od rodziców nic nie przywiozła. Wątpiłam nawet, czy w ogóle coś u nich miała. Było więc tego niewiele i od razu stwierdziłam, że niczego nie brakuje. Zajrzałam jeszcze do komody i szafki przy łóżku. Niezręcznie się czułam, że grzebię w jej rzeczach, ale w tej sytuacji musiałam pozbyć się skrupułów. Dawn zaginęła i szukała jej policja. Tylko to się w tej chwili liczyło. Staralam się odkładać rzeczy na to samo miejsce - dziewczynka utrzymywała pokój we wzorowym porządku.

Nie zauważyłam, by coś zniknęło. Nie znalazłam też żadnego kalendarzyka ani notesu, gdzie mogły być wskazówki, dokąd poszła. Zajrzałam nawet pod łóżko. Na koniec, wzdrygając się, zdjęłam zakrwawioną powłoczkę, aby powlec świeżą. Nie chciałam, żeby Dawn po powrocie zastała krew w łóżku.

Okazało się, że przesiąkła aż na poduszkę i wszystko nadawało się do wyrzucenia. Przyniosłam drugą poduszkę z bieliźniarki i powlekłam. Poprawiłam łóżko i zaciągnęłam zasłony, bo na dworze zrobiło się już ciemno. Brudną poduszkę i powłoczkę zniosłam na dół i położyłam przy tylnym wyjściu w kuchni, żeby nazajutrz wynieść do śmietnika.

Poszłam do salonu. John właśnie zaparzył herbatę i z prawdziwą rozkoszą przyjął gorący kubek. Dochodziło wpół do dziewiątej, minęły dwie godziny od zgłoszenia zaginięcia. Siedzieliśmy na kanapie, czekając na policję, i zastanawialiśmy się, co się dzieje z Dawn. O dziewiątej, żeby się trochę oderwać od ponurych myśli, John włączył telewizor na wiadomości. Za kwadrans jedenasta policjantów nadal nie było. Oboje byliśmy zmęczeni i senni. John zaproponował, że zadzwoni na posterunek i spyta, kiedy możemy się ich spodziewać. Znów odszukałam w książce telefonicznej właściwy numer.

- Nagrana wiadomość? - zdziwił się, podobnie jakja wcześniej. - Każą czekać.

W komisariacie musiało być teraz więcej pracy albo mniej ludzi, bo dopiero po piętnastu minutach ktoś się zgłosił. John wyjaśnił, o co chodzi, i powiedział, że cały czas czekamy. Spytano go o nazwisko Dawn i nasz adres.

- Rozumiem. Dobrze. - Odłożył słuchawkę z westchnieniem. - Mają mnóstwo pracy i możliwe, że przyjadą dopiero jutro. Dane Dawn zostały już przekazane dalej. Krótko mówiąc, możemy iść spać.

- Dobrze, że zadzwoniłeś - powiedziałam. - Inaczej czekałibyśmy całą noc.

Poszliśmy na górę, położyłam się pierwsza. Kiedy John przyszedł z łazienki, odruchowo przekreślił klucz w drzwiach, z czego dopiero po chwili zdał sobie sprawę. I choć martwiliśmy się o Dawn, byliśmy tak wyczerpani, że zasnęliśmy natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Nie miało to jednak trwać długo.

Obudziłam się niespodziewanie i od razu spojrzałam na zegarek przy łóżku. Była pierwsza w nocy. John też się obudził. Z początku nie wiedzieliśmy, co nas wyrwało ze snu. Nagle ciszę przerwały dwa długie dzwonki do drzwi. Poderwaliśmy się natychmiast.

- Kto to o tej porze? - zdziwił się John.

- Może Dawn?

Wskoczyliśmy z łóżka i złapawszy po drodze szlafroki, zbiegliśmy na dół. Niemal słyszałam bicie własnego serca, kiedy John otwierał drzwi. Nadzieja szybko zgasła. To nie była Dawn.

W progu stało dwóch umundurowanych policjantów. Za nimi, przy krawężniku, czekał zaparkowany radiowóz z włączonymi światłami błyskowymi.

- Państwo zgłaszali zaginięcie? - spytał jeden.

- Tak, zgadza się. Chodzi o Dawn Jennings – odparł John. - Proszę wejść. Spodziewaliśmy się panów jutro.

- Przepraszamy, że tak późno, ale mamy ciężką noc.

Zaraz po wejściu do przedpokoju uważnie się rozejrzeli. Była to scena jak z filmu, kiedy policja wkracza do domu podejrzanego i szuka czegoś, co może naprowadzić na ślad przestępcy. Poczułam się, jakbym miała coś na sumieniu.

John zaprosił ich do salonu. Usiedliśmy. Miałam niemiłą świadomość, że oboje jesteśmy w szlafrokach, nieuczesani, nie-  
zbyt przytomni po wyrwaniu ze snu, podczas gdy policjanci  
wyglądają schludnie i świeżo. Ten starszy był wyższy rangą.  
Wyjął z kieszeni wydruk, żeby zweryfikować dane Dawn ze  
zgłoszenia zaginięcia. Czytał kolejne pozycje, a my potwierdza-  
liśmy. Drugi policjant słuchał, spoglądając to na Johna, to na  
mnie. Miał najwyżej dwadzieścia parę lat, pewnie pracował od  
niedawna. Następnie ten starszy poprosił o zdjęcie.

- Przykro mi - odparłam. - Ale nie mamy. Wyjaśniłam to  
wcześniej pana koledze w komisariacie. Mówił, że może będzie-  
cie mieć u siebie, bo Dawn już uciekała.

- Też nie mamy. Oddaliśmy matce. Na ogół tak się robi.  
A więc Dawn nie skontaktowała się z państwem?

- Nie - odpowiedzieliśmy zgodnie.

- J e j dane zostały puszczone w obieg - ciągnął. - To tylko kwe-  
stia czasu, kiedy ją znajdziemy. - Mówił, jakby to było oczywiste.  
Obawialiśmy się jednak, że tym razem Dawn może się nie odnaleźć.

- Bardzo się martwimy - powiedziałam. - Wiem, że to się  
już zdarzało, kiedy Dawn mieszkała u matki, ale tutaj nie mieli-  
śmy dotąd tego problemu. W dodatku teraz się okaleczyła. Było  
pełno krwi na poduszce.

Starszy policjant pokiwał głową.

- Wiem i chętnie obejrzymy tę poduszkę, a potem rozej-  
rzemy się trochę po domu.

Spojrzeliśmy z Johnem po sobie.

- Koniecznie musicie panowie przeszukiwać dom? — spytał  
John. - Na górze śpi dziecko.

- To normalne w takich przypadkach - odparł. - Nie uwierzyliby państwo, ilu młodych ludzi odnajduje się wtedy w schowkach i komórkach.

- Dawn z pewnością tu nie ma - oświadczyłam. - Widziałam, jak wychodziła rano, a potem byłam w domu cały dzień.

- Obawiam się jednak, że musimy to sprawdzić. Oczywiście za państwa zgodą.

Nie mieliśmy zatem wyjścia, choć było to naruszenie naszej prywatności. Zrobilibyśmy wszystko, żeby odnaleźć Dawn. Policjanci wstali.

- Zaczniemy od kuchni - powiedział starszy. - Postaramy się uporać z tym jak najszybciej. Pewnie państwo jesteście już zmęczeni i chcielibyście się położyć.

John ruszył przodem. Przy drzwiach w kuchni leżała zakrwawiona poduszka i powłoczka. Od razu je zauważyli. Znów poczułam się winna, jakbym popełniła zbrodnię i przyłapano mnie na próbie pozbycia się dowodów.

- Zmieniłam pościel – wyjaśniłam. - Nie chciałam, żeby Dawn widziała krew, jak wróci.

- Jeśli pani pozwoli, weźmiemy ją - powiedział starszy policjant. - Można w coś zapakować?

Podalam mu plastikową torbę. Czubkami palców wzięła powłoczkę i ostrożnie schował, jakby zbierał dowody przestępstwa z miejsca zbrodni.

- Nie będą państwo żądali zwrotu? - upewnił się rzeczowo. Pokręciłam przecząco głową.

- Jest tu komórka, składzik albo inne zabudowania?

- Nie. Tylko garaż z boku domu. Z wejściem od frontu.

- To sprawdzimy na końcu. - Nie wyraził chęci obejrzenia ogrodu, choć moim zdaniem tam też powinien pójść, jeśli przeszukanie miało być dokładne.

Następnie przeszliśmy do pokoju od frontu. John zapalił światło. Policjanci popatrzyli tylko i zaraz wyszli.

- Możemy teraz na górę? - spytał ten starszy.

John prowadził, ja szłam na końcu.

- To pokój Dawn. - John otworzył drzwi i zapalił światło. Weszli, my czekaliśmy w progu. Otworzyli szafę, szuflady i szafkę przy łóżku, ale nie zagłędali głębiej. Nie nazwałabym tego dokładnym przeszukaniem. Szybko wyszli. John pokazał im jeszcze pokój Adriana i łazienkę. Ja czekałam na podeście.

- Nasza sypialnia - powiedział John na końcu. - I tam śpi dziecko.

- Postaramy się go nie obudzić - odezwał się po raz pierwszy młodszy policjant.

John otworzył drzwi.

- Może pan zapalić górne światło? - poprosił starszy.

Cierpliwość Johna musiała być w tym momencie na wyczerpaniu, podobnie jak moja. Czy zgłaszalibyśmy zaginięcie Dawn, gdybyśmy chowali ją w sypialni? Ale skoro mieli przeszukać dom, musieli sprawdzić wszystkie pomieszczenia. John zapalił światło. Podeszłam do Adriana, podczas gdy policjanci oglądali pokój. Malec otworzył na chwilę oczy i zaraz je zamknął.

- W porządku - orzekł starszy policjant. Wyszli, a my za nimi.

- Zajrzymy teraz do garażu, dobrze? - powiedział już na schodach. - Czy jest zamknięty?

- Zaraz otworzę. - John sięgnął po klucz leżący na stoliku w przedpokoju.

- W takim razie z panią się już pożegnamy - zwrócił się do mnie starszy policjant. - Damy znać, jak tylko się czegoś dowiemy.

- Dziękuję. - Zostałam w domu, John wyszedł z nimi.

Parę minut później wrócił, bez słowa rzucił klucz na stolik, zamknął i zarygłował drzwi. Był wyraźnie wściekły, co mnie nie dziwiło. Przeszukanie niewątpliwie było konieczne, oznaczało jednak nieprzyjemne naruszenie naszej prywatności i pozostawiło niesmak, jakbyśmy byli współwinni. Po minie Johna sądząc, to była kropla, która przepełniła czarę - szanse Dawn na zostanie u nas malały coraz bardziej.

Gdy się kładliśmy, dochodziła trzecia, czyli zostały nam zaledwie trzy godziny snu. Nie mogłam zasnąć, myśli galopowały jak szalone. Dokąd poszła? Gdzie nocowała? Czy spotkała się z tym swoim towarzystwem i wpakowała w jakieś kłopoty? Spała u kogoś, czy szukała schronienia gdzieś w bramie? Zbliżał się koniec kwietnia, ale noce nadal były chłodne, a ona nie miała płaszcza. Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to że albo jest u kogoś, albo na ulicy. Mimo tych wszystkich zmartwień, jakich nam przysparzała, bardzo się o nią bałam. John zresztą na pewno też.

„Proszę cię, Boże - modliłam się. - Niech ona do nas wróci albo niech przynajmniej zadzwoni, że nic się nie stało". Bezsilnie wpatrywałam się w ciemność i od czasu do czasu wstrząsał mną dreszcz.

## Łatwiej się pociąć

**D**awn nie wróciła ani nazajutrz, ani następnego dnia. A tak gorąco tego pragnęłam i tyle się modliłam. W czwartek, dzień po jej zaginięciu, po południu zadzwonili z policji i z opieki społecznej z pytaniem, czy coś wiadomo. Oczywiście nic nie było wiadomo. Policja sprawdziła szpitale, ale nikt odpowiadający rysopisowi Dawn nie był hospitalizowany ani nie korzystał z pomocy lekarskiej. Sama już nie wiedziałam, czy to dobrze czy źle. Nie było jej od trzech dni i bałam się, że jednak coś jej się stało. Miała niewiele pieniędzy, a z ubrania tylko to, co na sobie. Wyobrażnia stale podsuwała obrazy martwej dziewczynki gdzieś w lesie czy w jeziorze. Zajmowałam się domem i Adrianem, ale ani na moment nie mogłam przestać o niej myśleć. Nieustannie nasłuchiwałam telefonu albo dzwonka do drzwi. Na próżno.

W piątek rano przyszło zawiadomienie z działu księgowości ośrodka opieki społecznej, że przelano na nasze konto zasiłek opiekuńczy. Co za ironia losu. Trzy miesiące trwało, nim



uruchomiono maszynę płatniczą, a jak w końcu ruszyła, Dawn zniknęła. Czułam się przez to jeszcze bardziej rozgoryczona. Właściwie powinnam zadzwonić i powiedzieć, że Dawn już u nas nie ma. Nie przysługiwały nam te pieniądze, skoro nie była pod naszą opieką. Zaczęłam się też zastanawiać, co zrobię z jej rzeczami, jeśli nie wróci. Trzeba je będzie spakować i oddać Ruth albo matce. To był okropny tydzień. Oboje z Johnem czuliśmy się zostawieni na pastwę losu. Poza czwartkowym telefonem z opieki społecznej nie mieliśmy stamtąd żadnych sygnałów - nie mówiąc o jakimkolwiek konkretnym wsparciu.

W piątek rano zadzwoniła szkolna sekretarka i spytała, czy Dawn wróciła. Z bólem serca odpowiedziałam, że nie. Okazało się, że poprzedniego dnia w szkole była policja. Rozmawiali z wychowawczynią i z klasą Dawn. Wypytywano dzieci, gdzie Dawn może być, ale nikt nie wiedział. Policjant zostawił wychowawczyni swój numer na wypadek, gdyby ktoś sobie coś przypomniał.

W ten weekend wykańczaliśmy łazienkę - bardziej po to, by się czymś zająć niż z rzeczywistej potrzeby. Pracowaliśmy w milczeniu i jakoś wcale nie cieszyły nas rezultaty. Następnego dnia miał upłynąć tydzień od zniknięcia Dawn.

\* \* \*

W poniedziałek siedzieliśmy w kuchni - Adrian w wysokim krzeselku - i kończyliśmy kolację, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Pójdę - podniosłam się bez specjalnego entuzjazmu, przekonana, że to znów akwizytor. - Dokończ spokojnie. Ja już zjadłam.

Zastanawiało mnie, czemu zawsze muszą przychodzić w porze posiłku. Wymiana okien, ocieplanie ścian, asfaltowanie podjazdu - wечно coś nam proponowano. Ale kiedy otworzyłam drzwi, serce dosłownie mi zamarło.

- Dawn! - wykrzyknęłam. - Mój Boże! Wróciłaś! Gdzieś ty była? Dzięki Bogu, że jesteś cała i zdrowa! - Wciągnęłam ją do środka i przytuliłam.

Objęła mnie mocno, więc pomyślałam, że również musi się cieszyć.

- Dawn... - Puściłam ją i odsunęłam się trochę. - Gdzie byłaś, kochanie? Nic ci nie jest? Martwiliśmy się o ciebie.

Uśmiechnęła się. Na miłej, pogodnej twarzyczce nie znalazłam śladu żadnych dramatycznych przeżyć.

- Przepraszam, Cathy. Nie sądziłam, że się zmartwicie. Zaskoczyła mnie.

- Owszem, kochanie, bardzo się niepokoiiliśmy. A jak Adrian za tobą tęsknił! - Rzeczywiście, malec ciągle wodził oczami, jakby jeszcze kogoś szukał oprócz Johna i mnie.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem.

- Tak, kochanie. Wszyscy tęskniliśmy. Chodź, John właśnie kończy kolację.

Rzuciła torbę w przedpokoju i sięgnęła pod wieszak po kaptcie, które zawsze tam na nią czekały. Wtedy dopiero zauważyłam, że nie jest w szkolnym mundurku, tylko w obcisłych dżinsach i czarnym swetrze, które na pewno nie ja jej kupiłam.

- Masz nowe ubranie - zauważyłam.

- Nie martw się - odparła. - Nie zgubiłam mundurka. Jest w torbie. - Zdumiała mnie ta odpowiedź. Okaleczyła się,

zniknęła na cały tydzień i uważała, że przejmę się głupim mundurkiem! Totalne nieporozumienie. Nic jednak nie powiedziałam.

- Przywitaj się z Adrianem i z Johnem - zachęciłam, kiedy się zawahała. I tak nas czekała poważna rozmowa, ale na razie chciałam się nacieszyć jej powrotem. Miałam nadzieję, że John to wyczuje i odłoży reprimendę na później.

Weszła za mną, powiedziała przyciszonym głosem „dobry wieczór” i od razu podeszła do Adriana. Mały natychmiast się rozpromienił, wyraźnie ją poznał. Zaczęła go łaskotać pod brodą i czule przemawiać.

- Jak się masz? Tęskniłeś za mną? Byłeś grzeczny?

- Już raczkuje - pochwaliłam synka. Usiadłam przy stole i napiłam się trochę wody. - Chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję.

Spojrzałam na Johna i dałam mu znak, żeby na razie się wstrzymał. Był równie jak ja zaskoczony łatwością, z jaką Dawn wróciła pod nasz dach. Jakby nic się nie stało.

- Wszystko w porządku? - spytał bardzo oficjalnie.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się grzecznie.

- Tak, dziękuję.

Spojrzałam na niego i znów pokręciłam znacząco głową: w ten sposób sugerowałam, by odłożyć to na później.

- Wezmę prysznic i się przebiorę. - Wstał od stołu.

- Czy potem mogę się wykąpać? - spytała Dawn.

- Oczywiście, kochanie. Jak John zwolni łazienkę. Na pewno nie chcesz nic jeść? Myśmy już zjedli, ale mogę ci ugotować makaron albo coś podsmażyć. - Spojrzenie Johna mówiło wyraźnie, że jestem za dobra, biorąc pod uwagę, ilu kłopotów

nam przysporzyła. Ale przecież, biedactwo, nie mogła chodzić głodna.

- Nie, Cathy, dziękuję - odparła. - Już jadłam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to pójdę teraz do siebie, dobrze?

Skinęłam głową.

- J a k chcesz. Porozmawiamy później, kiedy położę Adriana.

Uśmiechnęła się i wyszła z Johnem. Milczeli po drodze. On poszedł prosto do łazienki, ona do siebie. Usłyszałam, jak zamykają się jedne i drugie drzwi.

Usiadłam wygodnie i odetchnęłam z ulgą. Tak bardzo się ucieszyłam, gdy Dawn wróciła cało, że najchętniej oddzieliłabym przeszłość grubą kreską i zaczęła wszystko na nowo. Ale pewne pytania należało zadać, a potem wysłuchać wyjaśnień. Dawn musiała zrozumieć, że się o nią autentycznie niepokoiłiśmy. Wyraźnie nie miała pojęcia, ile nerwów przez nią straciliśmy. Nadal nie wiedziałam, dlaczego się pocięła i uciekła. Chciałam, żeby obiecała, że więcej tego nie zrobi.

Podeszłam do Adriana, wyjęłam go z krzeselka i mocno przytuliłam.

- Ty nigdy nie narobisz nam takiego kłopotu, prawda, synku?  
Adrian odpowiedział po swojemu:

- Da, da, da, mmmm.

A ja mogłabym przysiąc, że usłyszałam też wyraźne: „Nie”.

O ósmej John zszedł z góry, odświeżony i przebrany w domowy strój. Ja w tym czasie kładłam Adriana. Później zapukałam do drzwi Dawn.

- Proszę - zawołała wesoło.

Otworzyłam drzwi i wsunęłam głowę do środka. Siedziała na łóżku i słuchała czegoś z walkmana. Wyjęła słuchawkę z jednego ucha.

- Zejdź teraz na dół, dobrze? Musimy porozmawiać. Potem będziesz mogła się wykąpać.

Posłusznie wyjęła drugą słuchawkę i wyłączyła walkmana.

- Zaraz przyjdę. Tylko wstąpię do łazienki.

- Dobrze, kochanie. Czekamy.

Zeszłam do salonu, zjawiała się parę minut później.

- Adrian już śpi? - Usiadła na podłodze po turecku, jak to miała czasem w zwyczaju.

- Tak - odparłam. - Teraz, gdy zaczął raczkować, szybciej się męczy.

- Nie widziałam jeszcze, jak raczkuje.

Uśmiechnęłam się.

- Napatrzysz się jutro. Robi to bez przerwy.

Była spokojna i nie próbowała unikać rozmowy, podczas gdy ja byłam coraz bardziej spięta. Spojrzałam na Johna, wahając się, które z nas powinno zacząć. Mój mąż chrząknął i odłożył gazetę.

- Widzisz, Dawn - zaczął dość spokojnie. - Odnoszę wrażenie, że nie bardzo sobie zdajesz sprawę, co my tu przeżywaliliśmy. Wyszłaś do szkoły we wtorek i słuch po tobie zaginął. W dodatku Cathy znalazła krew na twojej poduszce i szalenie się zdenerwowała. Musieliśmy zgłosić twoje zaginięcie na policji.

W tym momencie coś sobie z przerażeniem uświadomiłam.

- Na śmierć zapomniałam. Trzeba ich przecież zawiadomić, że wróciła. - W tym całym zamieszaniu kompletnie mi to wyleciało z głowy. Johnowi zresztą też.

Dawn w ogóle się nie przejęła.

- Ja bym się tam nie śpieszyła. Nie bardzo się przykładali, żeby mnie odnaleźć. Poprzednio zresztą też.

Nadal nie docierało do niej, co działo się po jej zniknięciu.

- Dawn - odezwał się lekko podniesionym głosem John.  
- Pomijając fakt, że my się martwiliśmy, to nie przyszło ci do głowy, że przez ciebie policja traci czas? Musieli pojechać do szkoły, przeszukali dom. Myślę, że jesteś nam winna jakieś wyjaśnienia, no i przeprosiny.

- Przepraszam - odparła natychmiast. - Nie myślałam, że się będziecie martwić.

John spojrzął na mnie niebotycznie zdumiony.

- Jak mieliśmy się nie martwić? - powiedziałam. - Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś ani co się z tobą dzieje. Przez cały tydzień umieraliśmy z niepokoju.

Sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej.

- Przepraszam - powtórzyła. - Nie wiedziałam. Mama i tata nigdy się nie przejmowali. Wiedzieli, że i tak wrócę.

Pomyślałam, że tu może kryć się sedno, a także powód tej niefrasobliwości. Skoro rodzice nigdy się nie przejmowali, po prostu nie przyszło jej do głowy, że my się przejmujemy.

- Dawn. - Próbowałam jej to wytłumaczyć. - Oboje z Johnem naprawdę martwimy się o ciebie. Kiedy zniknęłaś bez słowa, a potem znalazłam krew na poduszce, wprost odchodziliśmy od zmysłów. - Zawahałam się chwilę przed zadaniem następnego pytania. Nie chciałam przypierać jej do muru. - Gdzie byłaś? Możesz nam powiedzieć?

Straciła trochę animuszu.

- U znajomych.

- Cały tydzień? - spytał z niedowierzaniem John. - Co to za znajomi? Gdzie mieszkają?

Wzruszyła ramionami.

- Moja dawna paczka z osiedla koło mamy. Zawsze tam przesiadują. Nie chodzą do szkoły.

- J a k to nie chodzą do szkoły? - zdziwił się John. - Pracują już?

- Nie są jeszcze dorośli. Włóczą się, póki policja ich nie zgarnie.

- I co się wtedy dzieje? - dopytywałam się nieco zszokowana.

- Sprawdzają ich, czy nie mają narkotyków, alkoholu albo noży, a potem zabierają na posterunek i dzwonią do rodziców.

To, co mówiła, i beztroski ton jej odpowiedzi wprawiły nas w osłupienie. Na moment odsłoniła przed nami świat zupełnie inny od naszego - ten, w którym się chętnie obracała i który wciąż ją pociągał. Zauważyłam jednak, że mówi „oni”, więc siebie nie zalicza do „nich” choć najwyraźniej należała kiedyś do ich grupy i nadal czuje się z nią związana.

- A gdzie spałaś? - spytałam.

- U dziewczyn. Przemycały mnie, kiedy rodziców nie było albo spali. A w środę u kumpeli, której ojciec cały czas siedział w domu i pił piwo. W ogóle się nie zorientował.

Teraz zrozumiałam, dlaczego policja przeszukała cały dom, łącznie z sypialnią. Dawn uśmiechnęła się półgębkiem, wyraźnie z siebie dumna.

- To wcale nie jest zabawne - zdenerwował się John. - Przez ciebie wiele osób straciło czas, nie mówiąc tym, że my się martwiliśmy.

Ale dla Dawn była to niewątpliwie świetna zabawa, do której zapewne namówiły ją „kumpele”. W dodatku całkowicie bezkarna.

- A nowe ubranie? - spytałam. - Skąd je masz?

Wiedziałam, jaką odpowiedź usłyszę.

- Z pieniędzy z opieki społecznej. - Jakby się trochę zawstydziała. - Nie gniewaj się, Cathy, ale wydałam wszystko. Nie mogłam cały tydzień chodzić w mundurku i w jednych majtkach.

Przypomniały mi się słowa policjanta, żeby nastolatkom mającym skłonności do uciezek nie dawać za dużo gotówki. Jednak o tym, że Dawn dostała do ręki pieniądze, zdecydowała kuratorka, a nie my.

- Dawn - starałam się zachować spokój. - Dlaczego to zrobiłaś? We wtorek rano wszystko było w porządku. A potem nagle zadzwonili ze szkoły, że nie przyszłaś, a ja znalazłam u ciebie zakrwawioną poduszkę. Jak twoja ręka? - Cały czas się o to niepokoiłam. Miała na sobie sweter, więc nic nie było widać. Wahalam się, czy zadać to pytanie, bo pamiętałam, co się wydarzyło po naszej poprzedniej rozmowie.

- Moja ręka? - zdziwiła się.

- Przecież pocięłaś sobie rękę.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, nie rękę. Nogę. Jest w porządku. Zagoiła się. Podłożyłam poduszkę, żeby nie pobrudzić łóżka. Dobrze zrobiłam?

Dosłownie mnie zamurowało. Tak łatwo przyznała się do samookaleczenia, jakby to było coś zupełnie normalnego, a jedyne, czym należało się przejmować, to żeby nie zabrudzić łóżka.



- Powinien cię zobaczyć lekarz - stwierdził John.

Milczała, jakby to nie było skierowane do niej.

- Dawn - znów się odezwałam, pamiętając cały czas, że czeka mnie jeszcze telefon na policję i do opieki społecznej. - Dlaczego to zrobiłaś? Co takiego się stało, że musiałaś się okazać? Możesz nam powiedzieć? Był jakiś konkretny powód?

Spuściła wzrok i po raz pierwszy od powrotu do domu wyraźnie spokorniała.

- Tak - odparła cicho.

- Powiedz jaki. Bardzo mi na tym zależy.

Westchnęła i patrząc na dywan, zaczęła przesuwać palcami wzdłuż nitek splotu.

- Natasha, ta nowa dziewczyna... Przyjaźniłyśmy się, ale potem ona znalazła sobie inne koleżanki i nie chciała już rozmawiać ze mną. Byłam smutna i zła. Więc się pocięłam. Wtedy znika gniew i ból.

Oboje nie spuszczałyśmy z niej wzroku.

- Czemu nie przyszłaś z tym do mnie? - spytałam. - Przecież bym cię zrozumiała i starała się jakoś pomóc.

- Wiem, Cathy. Przepraszam. Oboje jesteście dla mnie bardzo dobrzy. Ale ja nie umiem mówić o swoich uczuciach. Ten ból we mnie narasta i w końcu nie mogę go już dłużej wytrzymać. Muszę się wtedy pociąć i go z siebie wyrzucić. To pomaga. Od razu lepiej się czuję i panuję nad sobą. Łatwiej jest się pociąć niż rozmawiać.

Milczeliśmy dłuższą chwilę. Dawn zrobiła właśnie pierwszy krok, jeśli chodzi o mówienie o uczuciach. Przyznała się do bardzo intymnych przeżyć. Przyszło jej to z trudem, pewnie nigdy

dotąd się na to nie zdobyła. Oboje byliśmy mocno poruszeni, zwłaszcza że zadziwiająco trzeźwo i logicznie wytłumaczyła to, co z pozoru wydawało się całkowicie irracjonalnym działaniem zaburzonego umysłu.

- Czy następnym razem porozmawiasz ze mną, zanim się zaczniesz ciąć? - spytałam.

- Postaram się - odpowiedziała potulnie.

- A może pomyślisz o terapii? - spytał John. - Powinna pomóc.

Pokręciła głową.

- Nie sądzę.

- No, dobrze, kochanie - powiedziałam wolno. - Przy najmniej teraz już wiemy, o co chodzi. I nie chcę, żebyś więcej uciekała.

- Nie ucieknę - obiecała podejrzanie szybko. - Czy teraz mogę iść się wykąpać?

- Tak. Chyba że masz nam coś jeszcze do powiedzenia.

- Nie. Potem od razu się położę. Nie spałam dużo u tej kumpeli.

- A jak się nazywa ta twoja koleżanka? - spytał John.

- Wolałabym nie mówić - odparła z nieśmiałym uśmiechem. - Żeby dziewczyny nie miały kłopotów.

Przed pójściem na górę ucałowała nas na dobranoc. Zaraz potem zadzwoniłam do opieki społecznej i na policję. John w tym czasie poszedł do kuchni i nalał nam obojgu porządnego drinka. W opiece odnotowano powrót do domu, a policjant miał usunąć Dawn z rejestru osób zaginionych - „do następnego razu”, jak się wyraził.

- Może nie będzie następnego razu - westchnęłam.

- Miejmy nadzieję - odparł, ale z tonu jego głosu można było domyślić, że jest innego zdania.

Ja miałam więcej wiary w Dawn.

## Rodzina

ef

astępnego ranka obudziłam Dawn o siódmej piętnaście. Otworzyła oczy, wyraźnie zdziwiona. Sądziła pewnie, że po opowieściach o problemach z Natashą pozwolę jej nie iść do szkoły. Ale ja byłam zdania, że odwlekanie nic nie da. Musiała sobie jakoś poradzić. Zresztą zamierzałam ją wesprzeć.

- Odwiozę cię - powiedziałam. - I porozmawiam z twoją wychowawczynią.

- Nie, nie trzeba - odparła śpiesznie i siadła na łóżku. - Sama pojedę. Dam sobie radę.

- Będzie jednak lepiej, jeśli pierwszego dnia przyjdę z tobą. Możesz czuć się trochę niezręcznie, zwłaszcza że policja o ciebie wypytywała. - Dla mnie byłoby to potwornie krępujące, gdybym musiała w takiej sytuacji stanąć przed klasą. Dawn w ogóle się tym nie przejmowała.

- A nie mogłabyś zadzwonić? - poprosiła. - Obiecuję, że pójde do szkoły.

Przyjrzałam się jej uważnie.

- Dlaczego nie chcesz, żebym z tobą pojechała?

- Nie chcę robić wokół siebie zamieszania.

Nie wiem, jak dyskretną rozmowę z Jane Matthews można nazwać zamieszaniami. Pomyślałam jednak, że może Dawn dobrze zrobi, jeśli się jej okaże zaufanie, i w końcu zgodziłam się zadzwonić. Wysłałam, żeby się ubrała.

Kiedy zeszła, spytałam, jak noga, i zaproponowałam, że spojrzę, jak się goi. Sądząc z ilości krwi na poduszce, rana musiała być spora. Wieczorem Dawn mnie zapewniała, że wszystko jest dobrze, ale wolałabym sama się przekonać.

- J e s t w porządku - odparła i zaczęła jeść grzanekę. Nie miała zamiaru nic mi pokazywać. Uszanowałam jej wybór. W końcu była to sprawa osobista, wręcz intymna.

Tego dnia włożyła spódnicę, czarne rajstopy i sweter. Zastanawiałam się, czy w lecie też będzie zasłaniać ramiona i nogi. W książce było napisane, że tnące się nastolatki nawet w upał potrafią chodzić zakryte od stóp do głów.

- Dawn? - zaczęłam z wahaniem. Zagadywała właśnie Adriana siedzącego przy stole w wysokim krzeselku. - Czym się pocięłaś? - Pomyślałam, że to, czym się okaleczyła, może nadal mieć przy sobie albo gdzieś w domu. Kiedy wieczorem zabierałam do prania pognieciony mundurek, sprawdziłam szkolną torbę - ale były tam tylko książki, piórniki i papierki od cukierków.

Spojrzała na mnie z wyraźnym poczuciem winy.

- Wzięłam z łazienki żyletkę Johna. Przepraszam. Odkupię.

Znów szok, jak poprzedniego dnia, kiedy uważała, że bardziej się przejmę zgubionym mundurkiem i zabrudzonym łóżkiem niż

tym, że się poraniła. Teraz głównym problemem było dla niej to, że wzięła cudzą rzecz. A ja natychmiast poczułam się winna, bo nie pomyślałam o zabraniu żyletek z szafki w łazience.

- Nie musisz nic odkupywać. John ma ich pod dostatkiem.

Postanowiłam, że gdy wyjdzie, zabiorę z łazienki żyletki i nożyki, a w całym domu pousuwam z zasięgu ręki wszelkie ostre przedmioty. Tylko sztuce raczej trudno byłoby trzymać pod kluczem. Pociuszające przynajmniej, że żyletka była czysta, nie tak jak puszki czy szkło od butelek, którymi według matki ciąła się przedtem.

Dałam jej drobne na autobus i pieniądze na obiad. O ósmej piętnaście pożegnałyśmy się przy drzwiach. O wpół do dziewiątej zadzwoniłam do szkoły. Adrian w tym czasie buszował po salonie, sprawdzając wszystkie kąty, do których dotąd jeszcze nie dotarł. Jane Matthews zastałam w pokoju nauczycielskim, połączono mnie z nią od razu. Zawiadomiłam ją, że Dawn wróciła poprzedniego wieczoru i właśnie jedzie autobusem do szkoły. Powiedziałam o problemach z rówieśnikami, które były przyczyną wagarów. Przyjaźń z Natashą stała się dla niej czymś w rodzaju koła ratunkowego i kiedy tamta znalazła sobie inne koleżanki, Dawn poczuła się wykluczona z ich grona i samotna.

Jane Matthews wykazała zrozumienie, ale zareagowała dokładnie tak jak przewidziałam.

- Spróbuję coś zrobić, ale nie zmuszę Natashy ani nikogo z klasy do przyjaźni z Dawn. Wydawało mi się, że została zaakceptowana przez grupę i że wszyscy tam się raczej lubią. Podejrzewam, że mogła trochę koloryzować, bo to całkiem dobry pretekst, żeby nie pójść do szkoły.

- Trudno powiedzieć - odparłam z wahaniem. - Ale rzeczywiście była smutna i mogła uciec ze szkoły z tego powodu. - Nic nie mówiłam o problemie z samookaleczaniem. Uznałam, że Jane Matthews nie musi wiedzieć, tym bardziej że niczego by to nie zmieniło. Zresztą ojciec Dawn i tak już powiadomił o tym szkołę.

- Porozmawiam z nią - zakończyła rozmowę Jane. - Z innymi dziewczętami też.

- Bardzo dziękuję. Jestem pani naprawdę ogromnie wdzięczna.

Po powrocie ze szkoły Dawn powiedziała, że miała miły dzień. Natasha znów była jej przyjaciółką, życzliwie też odnosiły się do niej inne koleżanki. Pochwaliłam ją, a w duchu pochwaliłam Jane Matthews za skuteczność. Zrozumiałam wówczas, że Dawn jest wyjątkowo wrażliwa i zupełnie nie umie sobie radzić z trudnościami. Okaleczanie się i ucieczka z domu z powodu zerwania przyjaźni nie należą do normalnych zachowań. Nie pierwszy raz zadałam sobie pytanie, co takiego się jej kiedyś przydarzyło, że stała się tak nieodporna na przykrości.

Tydzień mijał bez poważniejszych zakłóceń. Dawn chodziła do szkoły, wracała o czasie, odrabiała lekcje, a wieczory spędzała z nami albo słuchała muzyki u siebie. Żyłетки i nożyki trzymałyśmy w szufladzie w naszej sypialni. John rano brał żyłetkę do łazienki i po goleniu odkładał ją na miejsce. Zużyte od razu wyrzucał do śmietnika na dworze. Zabrałam też z łazienki nożyczki do paznokci.

W środę w nocy obudził nas stukot. Natychmiast wyskoczyliśmy z łóżka. Okazało się, że to drzwi pokoju Dawn zatrzaśnięły się w przeciagu, bo okno było otwarte. Ona sama stała przy schodach. Skierowaliśmy ją z powrotem do łóżka i do tana był spokój. Jak zwykle nie pamiętała, że chodziła we śnie, i kiedy ją spytałam, czy dobrze spała, odpowiedziała jak zawsze grzecznie: „Tak, Cathy. Dziękuję. A ty?”.

W czwartek zadzwoniłam do kuratorki. Minęły dwa tygodnie, więc powinna już wrócić z urlopu, a przez ten czas nabierało się sporo spraw. Ze względu na rozwój wydarzeń chcieliśmy ją poprosić o dodatkowe informacje na temat Dawn. Ale jej koleżanka, która odebrała telefon, powiedziała, że Ruth „Z powodów rodzinnych” przedłużyła urlop o tydzień i do pracy wróci dopiero w poniedziałek. Zostawiłam kolejną wiadomość z prośbą o jak najszybszy kontakt.

W piątek wieczorem Dawn prawie godzinę szykowała się do wyjścia, a potem poprosiła o kieszonkowe i pieniądze na ubranie. Ponieważ kiedy poprzednio miała przy sobie większą sumę, uciekła z domu, dałam jej tylko kieszonkowe.

- Jutro dam ci pieniądze na ubranie. Teraz sklepy i tak są zamknięte.

Zawahała się i przez moment wydawało się, że zacznie dyskutować, ale się rozmyśliła.

- Baw się dobrze - powiedziałam. - Do zobaczenia o dziewiątej trzydzieści.

Spędziliśmy spokojny wieczór: omawialiśmy miniony tydzień, głównie postępy Adriana i różne sprawy w pracy Johna. Dawn wróciła punktualnie o wpół do dziesiątej i kiedy ją spytałam,



czy miło spędziła czas, odpowiedziała jak zwykle grzecznie: „Tak, Cathy. Dziękuję”. I jak zwykle nie dodała żadnych szczegółów. Poczułam się wtedy, jakbym miała w domu lokatorkę, a nie opiekowała się trzynastoletnim dzieckiem - tak niewiele wiedzieliśmy o niej i jej życiu. Zapewnialiśmy jej dach nad głową, regularne posiłki i pieniądze na drobne wydatki. To wszystko.

Miałam nadzieję, że z czasem się do nas zbliży i zacznie brać większy udział w życiu rodzinnym. Wprawdzie jeździła z nami do rodziców, ale gdy proponowaliśmy inne wspólne wypady, zawsze znajdowała wykręt: albo miała coś do roboty, albo lekcje do odrobienia, albo musiała natychmiast umyć głowę czy zrobić porządek w pokoju. Trzymała się na dystans, raczej jak starsza nastolatka niż trzynastoletnie dziecko. Nie mogliśmy jej zmusić do udziału w rodzinnych wyprawach, co nas też w pewien sposób ograniczało. Nieraz rezygnowaliśmy z wyjścia, żeby nie zostawić jej samej w domu, na co miała wielką ochotę. Zresztą zostawienie trzynastoletniej bez opieki, choćby na krótko, nie wchodziło w grę z wielu względów. „Wy jedźcie” mówiła na przykład, kiedy zapraszaliśmy ją na wspólną wycieczkę. „Ja chętnie zostanę. Mam mnóstwo nauki”. Nie mogliśmy jej namówić, więc w końcu wszyscy siedzieliśmy w domu.

Pewnego razu, gdy była wyjątkowo ładna pogoda, John wymyślił, że moglibyśmy pójść na obiad do uroczego ogródka przy pubie.

- Pójdźcie we dwoje, a ja zostanę z Adrianem - zaproponowała. Oczywiście taki wariant nie wchodził w grę i znów zostaliśmy zmuszeni do zmiany planów. W dodatku trzeba to było zrobić delikatnie, tak żeby nie poczuła się urażona, że nie

chcemy, by zajęła się dzieckiem. Kilka razy zgodziła się pójść z nami do parku, ale znacznie częściej odmawiała. Wtedy któreś z nas zostawało z nią w domu, a drugie zabierało Adriana na spacer. Wielka szkoda, bo w ten sposób Dawn traciła ważną sferę rodzinnego życia, a my z kolei nie spędzaliśmy czasu tak, jakbyśmy chcieli.

W sobotę dałam jej pieniądze na ubrania, ale nie wybrała się na zakupy, choć nawet jej proponowałam wspólny wypad do sklepów. O wpół do siódmej, zaraz po kolacji, zaczęła się szykować na wieczór. Nigdy się mocno nie malowała, z czego byłam bardzo zadowolona, ale za to sporo czasu zajmowało jej mycie i układanie włosów, a potem wybór stroju. Przeważnie kończyły się na dżinsach i bluzie z długimi rękawami, co na ogół nosiły dziewczynki w jej wieku.

- Miłego wieczoru - zawołała do nas wesoło przed wyjściem. Życzyliśmy jej tego samego.

Nie przyszła o wpół do dziewiątej. Ani o dziesiątej, ani o wpół do jedenastej.

- Nie mogę w to uwierzyć! - złościł się John. - Przecież od tamtej pory ani razu jej się to nie zdarzyło!

Spojrzałam na zegar na kominku i pomyślałam, że niedługo trzeba będzie zawiadomić opiekę społeczną i zgłosić zaginięcie na policji. I od nowa przechodzić te wszystkie procedury. Za dziesięć jedenasta zaczął dźwięczeć dzwonek do drzwi - jakby ktoś trzymał guzik cały czas wciśnięty. Szybko pobiegliśmy do przedpokoju, w obawie, że Adrian się obudzi.

- Ja otworzę - powiedział John.

W progu stała Dawn, oparta ramieniem o przycisk dzwonka. Wyprostowała się i dzwonienie ucichło.

- Cześć! - Wyszczrzyła głupkowato zęby i pomachała. - Cześć, toja! Wróciłam!

- Jesteś pijana - stwierdził John.

- Naprawdę? - znowu się uśmiechnęła i usiłowała sforsować próg. - Ups! Al-le fajnie - wybełkotała. - Fajowsko! - Ponownie próbowała zrobić krok i o mało się nie przewróciła.

Złapaliśmy ją z obu stron i wciągnęliśmy do środka.

- O-o, dzięki. - Czknęła, po czym usiłowała cmoknąć Johna w policzek. W samą porę się cofnął, bo w następnej chwili wymiotowała na nową wykładzinę.

Jakiegokolwiek rozmowy, gdy była w takim stanie, nie miały sensu, więc zaprowadziliśmy ją na górę do łóżka. Całą drogę chichotała i wykrzykiwała na cały głos - opowiadała straszne głupstwa, to był taki typowy pijacki bełkot. Ze względu na śpiącego Adriana co chwila powtarzaliśmy: „Ciii” i „Mów ciszej”.

- Juszcz śśśpi? - mamrotała. - Moje... maleńkie nóżeczki...

Dotransportowaliśmy ją w końcu do łóżka. John zdjął jej buty, ale ubranie zostawiliśmy. Ułożyliśmy ją na boku i podparliśmy poduszkami, żeby się nie przekręciła na plecy, bo mogłaby się udławić, gdyby znów zaczęła wymiotować.

- Zaraz przyjdę. - John zszedł do kuchni i po chwili wrócił **Z** wiaderkiem, którego używaliśmy do mycia samochodu. Postawił je przy łóżku.

- A t-to po c-co? - wybełkotała.

- **Żebyś** miała gdzie wymiotować - odparłam.

Oczy same się jej zamykały.

- Poook-kój się k-kręci - westchnęła i natychmiast zasnęła.

Odczekaliśmy chwilę, ale już spała głęboko. Zostawiliśmy drzwi szeroko otwarte, żeby usłyszeć, jeśli znów zacznie wymiotować albo będzie się dławić.

Zabrałam się do sprzątania w przedpokoju. John szlachetnie zaproponował, że to zrobi, ale odparłam, że dla niego zostawiam następny raz, jeśli Dawn znów zacznie i nie wceluje do wiaderka.

- Dziękuję - odparł kwaśno. - Wprost nie mogę się doczekać.

Dziesięć minut później byłam aż zgrzana od szorowania, ale na wykładzinie pozostała jedynie mokra plama, która powinna wyschnąć bez śladu.

„Następnego razu” nie było - przynajmniej nie tej nocy - więc Johnowi się upiekło. Zajrzeliśmy do niej jeszcze. Leżała cały czas na boku, pogrążona w głębokim śnie, cichutko pochrapując. Zostawiliśmy drzwi do jej pokoju otwarte.

Dziwne, ale spaliśmy całkiem dobrze, i dopiero gdy Adrian obudził nas o wpół do siódmej, wzięłam go na ręce i poszliśmy sprawdzić, co z Dawn. Wiaderko było puste, więc nie wymiotowała. Leżała na boku, dokładnie tak, jak ją zostawiliśmy - usta miała otwarte, oddychała wolno i spokojnie spała.

- Może częściej dawać jej drinka, przynajmniej się wyśpimy - zażartował John.

Tym razem zamknęłam drzwi, uznawszy za mało prawdopodobne, że znów będzie wymiotować. Pozwoliliśmy jej się wyspać. Zajrzałam do niej o jedenastej, potem znowu o pierwszej. Tej niedzieli wstała dopiero o trzeciej. Chwiejnym krokiem zeszła na dół, ciągle we wczorajszym ubraniu. Wyglądała strasznie

- na co starannie sobie zapracowała. Twarz miała w kolorze kredy, oczy czerwone i zapuchnięte, a włosy, które tyle czasu układała, były splątane i sterczały na wszystkie strony.

- Masz może jakiś proszek? - spytała cicho. Przygotowywałam właśnie niedzielny obiad. – Potwornie boli mnie głowa.

- Nic dziwnego - odparłam. - Sama jesteś sobie winna. Niestety, taki ból głowy nie budzi we mnie współczucia.

- Wiem - jęknęła i skrzywiła się, przykładając rękę do czoła.

- Siadaj - powiedziałam. - Zaraz przyniosę paracetamol. Zrobię ci herbaty i grzanek.

Znów jęknęła.

- Nie dam rady zjeść grzanki. Czy mogę dostać herbatniki?

Potrzebowała węglowodanów po wypiciu takiej ilości alkoholu. Zrobiłam jej mocną herbatę w dużym kubku, wzięłam tabletkę paracetamolu z apteczki i razem z puszką z ciastkami zanieśliam do stołu. Postawiłam to wszystko przed nią, po czym wróciłam do obierania warzyw. Od czasu do czasu spoglądałam w jej stronę. Połknęła tabletkę, upiła trochę herbaty, po czym pomoczyła w niej herbatnika i z wysiłkiem go przeżuwała. Zdecydowałam, że czas na reprimendę.

- Czy ty wiesz, jak bardzo niebezpieczne jest nadużywanie alkoholu? Nie tylko dlatego, że po pijaku możesz wtargnąć na jezdnię i wpaść pod samochód. Przecież w każdej chwili grozi ci zasłabnięcie. I co wtedy? Wczoraj dotarłaś do domu, zanim urwał ci się film, ale następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia. Upijanie się to głupia i niebezpieczna zabawa. Poza tym picie w twoim wieku i sprzedawanie alkoholu młodocianym jest nielegalne. Z kim piłaś?

- Ze znajomymi - odparła wolno i znowu się skrzywiła. Gdy mówiła i gdy ktoś do niej mówił, jeszcze bardziej bolała ją głowa.

- To znaczy? - spytałam. Celowo nie ściszałam głosu.

Nic nie powiedziała.

- Niezbyt dobrze to świadczy o twoich koleżankach, że cię puściły w takim stanie. Ile mają lat?

- Koledzy - poprawiła, trąc palcami czoło. - Są starsi ode mnie.

- Gdzie piliście? W pubie by was nie obsłużono. Nie wyglądasz na osiemnaście lat.

- W parku.

Kroiłam następną marchewkę, nóż głośno stuknął o deskę. Wypiwszy jedną herbatę, Dawn poprosiła o następną. Nalałam wody do czajnika. Dawn wolno wstała i z największą ostrożnością przyniosła swój kubek.

- Skąd wzięłaś pieniądze? - Wiedziałam, co odpowie. Po prostu chciałam usłyszeć potwierdzenie.

Spojrzała na mnie, wyraźnie zawstydzona.

- Przepraszam, Cathy. Wydałam to, co dostałam na ubranie.

Pokiwałam głową, włożyłam torebkę do kubka i zalałam wrzątkiem. Przy najbliższej rozmowie z Ruth (liczyłam, że wróci w poniedziałek) powiem, na co poszły dawane do ręki pieniądze, i spytam, czy mogę wrócić do dawnego systemu, kiedy sama kupowałam ubrania.

Dolałam mleka i podałam jej kubek.

- Przepraszam - powtórzyła i wróciła do stołu.

W domu zawsze była taka grzeczna i miła, ale gdy tylko wystawiła nogę za próg, coś w nią wstępowało. Według mnie

główną przyczyną było nieodpowiednie towarzystwo, przez które już wcześniej wpadała w tarapaty.

- Dawn - powiedziałam dużo ciszej. Przyglądałam się, jak zanurza ciastko w herbacie. - Wydaje mi się, że przez tych twoich znajomych masz tylko same kłopoty. A może zaczęłabyś się spotykać z koleżankami ze szkoły? Natasha wydaje się bardzo sympatyczna, wychowawczynie mówi, że inne dziewczęta też są miłe. Mogłabyś je tu zaprosić, pójść z nimi do kina czy na łyżwy. Ich rodzice na pewno by im nie pozwolili włóczyć się po tym parku koło twojej mamy. Wątpię nawet, czy wolno im wychodzić z domu po zmroku.

- Skąd wiesz, że tam chodzę? - spytała zaskoczona.

- Domyśliłam się. Pewnie się tam spotykasz z tymi znajomymi, tak?

Wzruszyła ramionami.

- Fajnie jest. Mamy zawsze ubaw,

- Ale jakiego rodzaju ubaw? Są lepsze sposoby spędzania wolnego czasu niż upijanie się do nieprzytomności i wymiotowanie.

Nachmurzyła się, więc uznałam, że na razie dosyć. Dla mnie też to było trudne. Z własnym dzieckiem załatwiłabym tę sprawę inaczej, bardziej stanowczo. Na pewno skończyłoby się zakazem wychodzenia na jakiś czas. Ale z kolei nigdy by nie doszło do takiej sytuacji, gdyby Dawn była moim dzieckiem, bo nie pozwalalibyśmy dziewczynce w jej wieku wychodzić samej wieczorami. Co najwyżej na drugą stronę ulicy, do koleżanki. Skoro jednak kuratorka zgodziła się na wyjścia w piątki i soboty, żeby cokolwiek zmienić, musieliśmy najpierw skłonić ją do odwołania tej decyzji.

- Może się wykąpiesz i przebierzesz? - zaproponowałam po chwili. - Obiad będzie koło czwartej, a wieczorem jedziesz do mamy.

Kiwnęła głową. Dokończyła herbatę i wstała.

- Gdzie jest Adrian? - Dopiero teraz zauważyła, że go nie ma.

- John zabrał go na spacer. Niedługo wróca.

Spojrzała na mnie z pewnym wahaniem. Na jej policzki z wolna wracały kolory, nie była już taka blada i zapuchnięta.

- Kochany Adrian - powiedziała nagle. - Ma takie szczęście, że trafił na ciebie i Johna. Chciałabym zacząć życie jeszcze raz i być waszym dzieckiem, Szkoda, że to nie wy jesteście moim rodzicami.

- Och, kochanie. - Zostawiłam robotę i podeszłam do niej. - Wszystko przed tobą. Masz dopiero trzynaście lat. Pomozemy ci. Dobrze z ciebie dziecko, tylko trochę pogubione... Zesłaś z drogi... Naprawdę nie rozumiem dlaczego.

- Ja też nie - przyznała. Czułam, że chce powiedzieć coś ważnego i widać było, jakie to dla niej trudne. W niebieskich oczach malował się jeden wielki smutek. - Tak naprawdę ty i John jesteście moją jedyną rodziną - powiedziała bardzo cicho. - Lubię być z wami. Chciałabym się zmienić i już nie sprawiać wam przykrości. Jak dotąd macie przeze mnie same kłopoty. Pomozesz mi stać się lepszą? Żebym była taka jak Adrian, kiedy będzie w moim wieku? Ja nie chcę więcej robić tych złych rzeczy. One się same dzieją. Chcę, żebyście byli ze mnie dumni.

Objęłam ją i przytuliłam bardzo, bardzo mocno. Nim się odezwałam, musiałam chrząknąć, tak mnie dusiło w gardle.



- Kochanie, nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że tak mówisz. Oczywiście, że ci pomogę, na ile tylko będę mogła. Jesteś kochaną dziewczyną i wiem, że razem możemy dokonać wielkich rzeczy. - W tej chwili nabrałam pewności, że niezależnie od tego, czym jeszcze Dawn nas zaskoczy, będziemy trwać przy niej, bo gdybyśmy i my ją odrzucili, nigdy nie uwolniłaby swojej przyszłości od dawnych koszmarów.

- Kocham cię - powiedziała cichutko i wtuliła twarz w moje ramię.

- Ja ciebie też, kochanie.

## Kolejna próba

**J**eśli rozmawia przez telefon, poczekam - powiedziałam. -  
Zostawiłam cztery wiadomości, a ona ani razu nie oddzwoniła.  
Usłyszałam westchnienie.

- To może potrwać. Jest naprawdę zajęta.

- Nie szkodzi. Muszę pilnie z nią porozmawiać. - Na linii  
zaszumiało, zostałam przełączona na czekanie.

Była środa rano i Ruth dotąd się nie odezwała, mimo że  
przyszła do pracy w poniedziałek, a ja zostawiłam dwie kolejne  
prośby o kontakt. Zamierzałam czekać tak długo, aż skończy  
rozmawiać i odbierze mój telefon.

Dziesięć minut później rozległ się jej głos, spokojny i kon-  
kretny.

- W czym mogę pomóc, pani Glass?

Starannie przygotowałam się do tej rozmowy. Na początku  
poruszyłam sprawy najważniejsze - a więc że Dawn się pocięła  
i zniknęła na tydzień. Potem opisałam jej chodzenie we śnie.  
Bez owijania w bawełnę powiedziałam, na co poszły pieniądze

przeznaczone na ubrania, opowiedziałam o wagarach i ich przyczynie - problemach z zawieraniem przyjaźni. Zaznaczyłam, że to już udało się pomyślnie załatwić.

- Wiem - wtrąciła Ruth. - Dzwonili ze szkoły i zostawili mi wiadomość.

- To dobrze. - Wróciłam do somnambulizmu: podkreśliłam ryzyko związane z nocnymi spacerami oraz ich regularność. Szczegółowo opisałam incydent w kuchni, kiedy Dawn przez sen próbowała zapalić zapalną, po czym nazywała siebie „wstrętnym bachorem" i „podłym, podłym dzieckiem". Przez chwilę myślałam, że Ruth coś powie, bo westchnęła, ale nie zrobiła tego. Więc przesłam do relacji z wizyty u lekarza. Powiedziałam, że doktor, który nawiasem mówiąc, nie otrzymał jeszcze dokumentacji medycznej, zaleca wizytę u psychologa. Ale potrzebujemy zgody Ruth, nim popchniemy sprawę dalej.

- Mają ją państwo - powiedziała. - Jeśli tylko Dawn zechce. Na chwilę umilkłam.

- Twierdzi, że nie chce. Ale to konieczne. My z Johnem jej nie pomożemy.

- Nie można jej zmusić, żeby poszła do terapeuty - stwierdziła oczywistość. - To może być tylko jej decyzja.

- Wiem i dlatego pomyśleliśmy, że pani mogłaby ją do tego skłonić. My nie wiemy o wielu rzeczach z jej przeszłości. Przecież nie kaleczy się bez przyczyny. - Znów urwałam, w nadziei, że Ruth jakoś zareaguje, ale nic z tego. - Rozumiem, że to poufne sprawy - ciągnęłam - ale czy nie moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej, co by tłumaczyło jej zachowanie i pomogło nam w tej sytuacji? Byłoby nam łatwiej.

- Nie mogą państwo zakazać jej wychodzenia - odparła. Unikała tematu (czyżby specjalnie?), skoro wróciła do początku rozmowy. - Ona przywykła do pewnych rzeczy. W przeszłości miała dużo swobody i jeśli zostanie jej pozbawiona, będzie się buntować. A wtedy może się zachowywać jeszcze gorzej.

- Ja wcale nie chcę zakazywać jej wychodzenia. Tylko nie uważam za słuszne, żeby się włóczyła wieczorami po ulicach. Jeśli mamy jej pomóc, powinno się ją trzymać z dala od dawnego towarzystwa. Jak tylko się z nimi spotka, zaraz zaczynają się kłopoty. Trzynastolatka nie może wracać do domu pijana!

Po drugiej stronie zapadła cisza, w końcu Ruth powiedziała:

- No dobrze, czy wystarczy, jeśli się zgodzę, żeby nie dawać jej więcej do ręki pieniędzy na ubranie?

Odniosłam wrażenie, że stara się mnie zbyć i idzie na mało istotne ustępstwa, byle prędzej skończyć rozmowę.

- Tak, to już by było coś. Policja twierdzi, że nastolatkom ze skłonnościami do uciezek nie powinno się dawać dużo pieniędzy. Dawn, zdaje się, miała już kontakt z policją. Czy to prawda? Wiem, że uciekała, kiedy mieszkała z matką, ale czy miała wtedy do czynienia z policją?

Po raz kolejny zapadła - wymowna - cisza, nim Ruth odparła:

- Nie uważam, by musiała pani to wiedzieć. Nie ma to nic wspólnego z państwa opieką. - Przyjęłam więc, że odpowiedź brzmi: tak. - Czy ona dziś jest w szkole? - zmieniła temat.

- T a k .

- I była w poniedziałek i we wtorek?

- T a k .

- To dobrze, prawda? Myślę, że powinni państwo mieć bardziej pozytywne nastawienie. Chwalić ją, gdy wraca do domu punktualnie, i starać się skupić przede wszystkim na postępach. Na pewno po jakimś czasie dobrze zareaguje na tego rodzaju motywację.

Mówiła tak protekcyjnym tonem, że poczułam się wręcz upokorzona. Jakby w ogóle nie wiedziała, co my robimy! Oczywiście, że byliśmy pozytywnie nastawieni, chwaliliśmy Dawn, zachęcaliśmy.

- Właśnie tak robimy - odparłam chłodno.

- Doskonale. W takim razie trzymam kciuki. Jeszcze się wszystko ułoży. A że w życiu miała naprawdę ciężko, nie stanie się to z dnia na dzień.

I na tym koniec. Ruth przekazała pozdrowienia dla Dawn i powiedziała, że musi iść, bo czeka następny telefon.

Pożegnałam się krótko. Byłam wściekła. Czułam się bezradna i nieskuteczna. Wciąż przychodziły mi na myśl różne rzeczy, o których powinnam była jej powiedzieć, oraz takie, których powinnam była od niej wręcz zażądać. Zastanawiałam się nawet, czy nie zagrozić, że zrezygnuję z opieki, jeśli nie dowiem się więcej albo nie dostanę więcej pomocy. Ale byłyby to czcze groźby, ponieważ mimo wszystko oboje tak się emocjonalnie zaangażowali, że wytrwalibyśmy przy Dawn nawet bez wsparcia Ruth.

Wieczorem, kiedy Dawn była u siebie, opowiedziałam Johnowi o rozmowie z Ruth. On też poczuł się, delikatnie mówiąc, dotknięty jej słowami.

- Ależ ma baba tupet - stwierdził. - Chciałbym zobaczyć, jak ona by się zajmowała Dawn! Nic nie chciała powiedzieć? Zupełnie nic?

- Ani słówka. Uznała, że to by nam w niczym nie pomogło.

- Nieprawda. Jakbyśmy wiedzieli, skąd takie zachowanie, byłoby nam dużo łatwiej.

- Może sama nie wie. Przecież podobno nie wiadomo, co się działo z Dawn przez cztery lata.

- Na pewno jest jakaś dokumentacja z czasów, gdy pierwszy raz zainteresowała się nią opieka społeczna. Dawn miała wtedy dziewięć lat. To prawie pięć lat temu!

- Wiem - westchnęłam. - Ale cokolwiek zawiera ta dokumentacja, widocznie nie jest przeznaczone dla naszych oczu. Na szczęście nie muszę jej teraz dawać do ręki pieniędzy na ubranie - dodałam.

John z roztargnieniem pokiwał głową, pogrążony w myślach.

Kiedy po odrobieniu lekcji Dawn przyszła do salonu, przekazałam jej pozdrowienia od Ruth i poinformowałam, że w porozumieniu z nią odtąd nie będę jej dawać pieniędzy do ręki, tylko razem będziemy robić zakupy, tak jak na początku. Dodałam, że bardzo lubię chodzić z nią po sklepach. Milczała, ale widać było, że nie jest zachwycona i że wolałaby dostawać gotówkę. Zignorowałam jej kwaśną minę i zaproponowałam grę w scrabble.

- Nie jestem w tym dobra - jęknęła. - Mam problemy z ortografią.

- To scrabble ci się przyda - odparłam spokojnie. Przyniosłam grę, rozłożyłam planszę i rozdałam płytki z literami.

Choć nie wygrała, przez półtorej godziny dobrze się bawiła i z zaangażowaniem uczestniczyła w tej nieznaney jej dotąd formie życia rodzinnego. Aż miło było patrzeć, jak bardzo się przejmuje. Nie spodziewałam się wprawdzie, że odtąd co wieczór będzie z nami grała, ale przynajmniej przekonała się, że bycie w rodzinie oznacza coś więcej niż posiłki przy stole i kieszonkowe.

\* \* \*

W piątek nie poszła do szkoły. Rano stwierdziła, że źle się czuje, ale nie umiała dokładnie określić, co jej jest. Czoła nie miała gorącego i twierdziła, że nie czuje mdłości ani nic ją nie boli. Postanowiłam potraktować ją poważnie i pozwoliłam zostać w łóżku. Zawiadomiłam szkołę, że Dawn źle się czuje i nie przyjdzie. Sekretarka życzyła jej szybkiego powrotu do zdrowia.

Powrót do zdrowia był wręcz błyskawiczny!

O dziesiątej zeszła na dół, ubrana w dżinsy i bluzę, i powiedziała, że jest głodna. Zrobiłam jej duże śniadanie. Zjadła i oznajmiła, że wychodzi.

- J a k to? - spytałam. - Dokąd?

Wzruszyła ramionami.

- Tak sobie. Zaczerpnąć świeżego powietrza - użyła mojego określenia.

- Nie ma mowy. Nie poszłaś do szkoły. Jesteś chora. Jeśli czujesz się na tyle dobrze, żeby wyjść z domu, to w takim razie możesz iść do szkoły.

- Nikt mnie nie zobaczy - zapewniła spieszenie.

- Owszem, kochanie, bo nigdzie nie pójdziesz.

Wzruszyła ramionami, jakby się z tym pogodziła, a ja wróciłam do codziennych zajęć. Zaproponowałam, żeby mi pomogła, ale nie odniosła się do tego pomysłu entuzjastycznie. Jakiś czas później zabrałam Adriana na górę, żeby go przewinąć, i wtedy usłyszałam, że drzwi wejściowe się otwierają. Obejrzałam się i zanim się zatrzasnęły, zdążyłam jeszcze zobaczyć plecy Dawn.

Dosłownie zbaraniałam. Nie mogłam uwierzyć, że mnie nie posłuchała. Z Adrianem na rękę zbiegłam na dół i wypadłam z domu na ulicę.

- Dawn! - zawołałam za nią. - Dawn! Wracaj natychmiast!

Odwróciła się na chwilę, po czym przyśpieszyła kroku. Wbiegłam do domu i ze stolika w przedpokoju porwałam kluczyki do auta. Stało zaparkowane na podjeździe. Wsadziłam Adriana do fotelika i ruszyłam. Po kilku sekundach dogoniłam ją. Była już w połowie ulicy i zmierzała w stronę centrum. Miała mocno zaskoczoną minę, gdy mnie zobaczyła.

Otworzyłam okno.

- Dawn! Mówiłam ci, że masz nie wychodzić. Wsiadaj do samochodu! Wracamy do domu!

Szła dalej. Jechałam wolno na pierwszym biegu, dokładnie na jej wysokości.

- Słyszysz? - zawołałam znowu. - Nigdzie nie pójdziesz! Wracasz ze mną do domu! - Adrian piszczał wesoło; uważał widocznie, że to taka nowa zabawa.

- Natychmiast wsiadaj do samochodu! Nie wrócę bez ciebie!

Wyraźnie było jej głupio, zwłaszcza gdy naprzeciwko pojawiło się dwóch trochę starszych od niej chłopców.



- Dawn! - wrzasnęłam. - Natychmiast do samochodu! Nie poszłaś do szkoły, więc nigdzie teraz nie pójdziesz!

Kiedy ich mijała, odwróciła się i pochyliła głowę. Patrzyli na mnie, jeden coś powiedział do drugiego i obaj się zaśmiali. Jeśli to było dla niej krępujące, na głównej ulicy, którą przechodziło mnóstwo ludzi, czekały ją jeszcze gorsze tortury. A ja się zawzięłam, gotowa byłam urządzić nie wiem jakie sceny i jechać za nią na koniec miasta.

Nagle przeszła tuż przed maską. Zmierzała na przystanek. Teraz znalazła się po tej samej stronie ulicy co ja. Wychyliłam się, jeszcze bardziej opuściwszy szybę.

- Nie wrócę bez ciebie! - zawołałam znowu. Adrian się zaśmiewał. Nigdy nie słyszał, jak krzyczę, ani nie wożono go samochodem tak, by się co chwila zatrzymywać.

Dawn doszła do końca ulicy i stanęła obok ludzi czekających na przystanku. Patrzyła na samochód i jakby się wahała. Uznałam, że to dobry moment na wielki finał. Zatrzymałam się i otworzyłam drzwi.

- Wskakuj natychmiast! - rozkazałam. - Nigdzie nie idziesz. Masz siedzieć w domu, jesteś chora!

Ludzie gapili się na nas, ale to jej było głupio, nie mnie. I nie wiem, czy to dlatego, że się wstydziła, czy też zrozumiała, że rzeczywiście jej nie odpuszczę, bo zawahała się raz jeszcze i spojrzawszy w stronę głównej ulicy - pewnie czy nie nadjeżdża autobus - szybko wsiadła i zamknęła drzwi. Adrian aż zapisał z uciechy.

- Zapnij pas - poleciłam, ruszając. Mały gaworzył wesoło. Serce biło mi mocno ze zdenerwowania, ale mimo wszystko potrafiłam dostrzec pewien komizm tej sytuacji.

Skreśliłam w lewo i potem jeszcze dwukrotnie w lewo, dojechałam w ten sposób z powrotem do naszej ulicy. Samochód zostawiłam na podjeździe. Nie odzywałam się, dopóki nie weszliśmy do domu. Dawn z ponurą miną zdjęła buty.

– Nigdy więcej tak nie rób - powiedziałam. - Jak mówię, że masz nie wychodzić, to masz nie wychodzić. Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową. Była wściekła, od razu pobiegła do swego pokoju i trzasnęła drzwiami. Nie miałam własnych dzieci w tym wieku ani doświadczenia z nastolatkami i nie wiedziałam, czy dobrze postąpiłam. Działałam instynktownie. Uznałam, że najważniejsze to wymóc na niej posłuszeństwo, bo wyraźnie mnie sprawdzała. Gdyby jednak nie wsiadła do samochodu, mój autorytet znacznie by zmalał. Od znajomych mających starsze dzieci nasłuchiwałam się wystarczająco dużo, by wiedzieć, że dziecko w każdym wieku potrzebuje wyznaczenia granic - nie tylko ze względu na bezpieczeństwo, ale także by nauczyć się właściwie budować więzi społeczne. Takie stawianie granic to nieraz orka na ugorze, ale też daje się w ten sposób dziecku znak, że się je kocha. Bardzo istotne było, żeby Dawn, którą dotąd zostawiano samą sobie, wiedziała, iż naprawdę mi na niej zależy. Chciałam też, by do niej dotarło, że jak coś mówię, to nie po to, żeby tylko mówić. Ponadto zasygnalizowałam, że jest dla mnie na tyle ważna, iż gotowa byłam gonić ją po ulicy, byle tylko bezpiecznie sprowadzić do domu.

Po godzinie wyszła ze swego pokoju. Przestała się dąsać i była miła jak zwykle.

- Cathy - powiedziała, wchodząc do salonu, gdzie się bawiłam z Adrianem. - Nie zagrałabyś w scrabble?

Wprawdzie powinnam robić inne rzeczy, **ale** nie chciałam odrzucać tej gałązki oliwnej.

- Chętnie. Chodźmy do ogrodu. Jest taki ładny dzień.

Pomogła mi wynieść na trawnik stół i wystawiła z komórki dwa ogrodowe krzeselka. Ja rozłożyłam dla Adriana matę w cieniu i przyniosłam zabawki. Bardzo przyjemnie spędziłyśmy następne dwie godziny, grając z wielką pasją i na zmianę odbierając Adrianowi przysmaki, takie jak grudki ziemi, puste skorupki ślimaków oraz suche liście, które z zapalem pakował sobie do buzi.

Wieczorem, kiedy przygotowywałam kolację, Dawn zajrzała do kuchni. Od razu się domyśliłam, w jakim celu.

- Dziś jest piątek. - Patrzyła na mnie czujnie.

- Zgadza się, kochanie. Piątek.

- A ja w piątki zawsze wychodzę.

- Owszem.

- Cathy, czy mogę wyjść?

- Nie, kochanie. Nie byłaś w szkole. **Źle** się czułaś.

- J u ż czuję się lepiej.

- Wiem i bardzo się cieszę, że tak szybko wyzdrowiałaś. Jednak to niedobrze, żebyś wychodziła, jeśli nie byłaś w szkole. Gdyby ktoś z nauczycieli cię spotkał, mógłby pomyśleć, że udawałaś.

Chwilę patrzyła na mnie, po czym bez słowa podeszła do Adriana i zaczęła się z nim bawić. Kto wie, może jednak w końcu uznała, że nie jestem taka głupia.

Kiedy John wrócił, opowiedziałam mu o pościgu. Też uznał to za zabawne. Po kolacji wszyscy razem obejrzelśmy film na wideo przy wielkiej misie popcornu. Czy nastąpił wtedy

przełom? Trudno powiedzieć, ale na pewno ustaliłam pewne zasady i zmusiłam Dawn, żeby ich przestrzegała. Liczyłam więc na to, że następne rzucone przez nią wyzwanie okaże się choć trochę łatwiejsze.

Nie mogłam bardziej się mylić!

## *Placzeqo?*

**M**inał tydzień. Tym razem obyło się bez większych wpadek. Dawn udało się codziennie docierać do szkoły i wracać na czas. Tylko dwa razy sporo się spóźniła - twierdziła potem, że zgubiła pieniądze na bilet i musiała iść pieszo. Podejrzewałam, że je wydała, w końcu teraz miała znacznie uszczuplone finanse. Nic jednak nie powiedziałam, uprzedziłam tylko, żeby bardziej uważała, bo jeśli zbyt często będzie gubić pieniądze na autobus, to zaczęją odwozić samochodem.

W ciągu tego tygodnia tylko raz chodziła we śnie. Zastaliśmy ją w drodze do kuchni, jak zwykle zawróciliśmy ją i odprowadziliśmy do łóżka. Zaczęliśmy już panować na tych nocnych wędrówkami, więc zdawało się nam, że inne sprawy też pomału uda nam się kontrolować, gdy tylko Dawn się do nas przyzwyczai i poczuje się bezpiecznie.

W piątek i w sobotę wyszła, za każdym razem wróciła do domu po dziesiątej. Spokojnie przypominałam jej, o której powinna przychodzić, ale znów zrezygnowałam z reprimendy,

ponieważ w sumie był to całkiem przyzwoity tydzień. W niedzielę za piętnaście szósta pojechała do matki, po czym wróciła o siódmej piętnaście. Nigdy się nie zdarzyło, by spędziła tam pełne dwie godziny - matka zawsze miała w tym czasie pilniejsze sprawy. Tym razem wizyta trwała jeszcze krócej, bo Dawn przyszła, gdy ledwo co zdążyłam położyć Adriana spać. Była u matki najwyżej pół godziny.

Od razu się zorientowałam, że coś jest nie tak, ale w pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi. Oczy miała szkliste i nieprzytomne, źrenice rozszerzone. Trzymała się wprawdzie na nogach i nie bełkotała, ale mówiła bardzo wolno. Nie czuć było od niej alkoholu ani nie wyglądała na pijaną. Jak zawsze spytałam, czy miło spędziła czas i jak się miewa mama.

- Nie wiem - odparła Dawn, wymawiając każde słowo oddzielnie i z wielką precyzją. - Bo wyszła.

- Ach! - westchnęłam ze współczuciem. - W takim razie dobrze, że wróciłaś prosto do domu. - Gdyby poszła włączyć się z dawnym osiedlowym towarzystwem, nic nie mogłabym zrobić. Przyjrzałam się jej uważnie: - Kochanie, dobrze się czujesz? Dziwnie wyglądasz.

Kiwnęła głową, pochyliła się i po chwili zwymiotowała na wykładzinę. John wybiegł z salonu:

- Znowu? No, nie! - wykrzyknął.

- Szybko przynieś wiaderko - zawołałam.

Dawn, zgięta wpół, usiłując złapać oddech, walczyła z silnymi torsjami. John przybiegł z wiaderkiem dosłownie w ostatniej chwili.

- Mój Boże! — wykrzyknął. - Coś ty piła?

- Nic nie piłam - jęknęła między skurczami żołądka. *Znów* wymiotowała.

Chwiała się, więc ją przytrzymałam. Była nie na żarty wystraszona. Odgarnęłam jej włosy z twarzy.

- Już dobrze - powtarzałam, zastanawiając się, co też mogło jej aż tak zaszkodzić. Gdy była pijana, wymiotowała tylko raz, a teraz dosłownie nie mogła przestać. W pewnym momencie spojrzałam do wiaderka i zobaczyłam grubą warstwę białej, podobnej do kredy substancji, która z całą pewnością nie była alkoholem ani też zjedzonym przed wyjściem obiadem. - Dawn - odezwałam się, gdy na chwilę się uspokoiła. - Co jadłaś po obiedzie?

Nie odpowiedziała. *Znów* szarpnął ją skurcz i po chwili ujrzałam w wiaderku kilka małych, białych, nadtrawionych pigulek.

- Dawn - wykrzyknęłam przerażona. - Połknęłaś jakieś tabletki? Mów szybko!

Kiwnęła tylko głową i *znów* wymiotowała. Tym razem pojawiło się około dziesięciu całych pigulek.

- No, nie! - wykrzyknęłam. John też je zobaczył.

- Dzwonię po karetkę. - Sięgnął po słuchawkę.

Musiałam ją mocno trzymać, gdy zaczęły się kolejne torsje. Wymiotowała następne pastylki. Zgięta w pół, przyciskała obie ręce do żołądka i dosłownie co chwila wyrzucała z siebie kolejną porcję tabletek. Trudno było uwierzyć, że aż tyle tego jest. W końcu osłabła.

- Chodź, usiądź. - Staralam się zachować spokój i nie okazywać strachu. Podprowadziłam ją do schodów i postawiłam

przed nią wiaderko. Usiadła na stopniu i od nowa zaczęła wymiotować. Znowu pastylki. Nie mogła złapać tchu i wpadła w panikę.

- Oddychaj wolno i głęboko - mówiłam drżącym z przejęcia głosem. John właśnie tłumaczył, jak do nas dojechać. Poprosił o pośpiech i potwierdził, że chodzi o przedawkowanie leków przez nastolatkę.

Dawn na chwilę oparła się na mnie, kompletnie wyczerpana, po czym pochyliła się do przodu i zaczęło się na nowo. Jeszcze więcej pigułek, w ogóle niestrawionych. Byłam zupełnie bezradna, mogłam ją jedynie trzymać i pocieszać. Z nerwów robiło mi się na przemian to gorąco, to zimno.

- Już jadą. - John odłożył słuchawkę i podszedł do nas. - Będą za dziesięć minut.

Mocniej przytrzymałam Dawn.

- Pojadę z nią do szpitala, a ty zostań z Adrianem.

John ze zgrozą wpatrywał się w zawartość wypełniającego się wiaderka.

- Ile tego połknęłaś?

Była zbyt wyczerpana, żeby odpowiedzieć. Co chwila kładła głowę na moim ramieniu i zaraz ją podnosiła, żeby zwymiotować. W wiaderku było już z pięćdziesiąt tabletek. Te, które pojawiały się teraz, wyglądały na większe niż poprzednie, więc musiała połknąć cały koktajl. Dobry Boże, dlaczego?

Przerwy między torsjami stały się teraz dłuższe. Wyczekiwanie na karetkę ciągnęło się w nieskończoność.

- Co to były za tabletki? - spytałam ją, kiedy zamknęła oczy i znowu oparła mi głowę na ramieniu. Nie odpowiedziała.



Wahałam się, czy jej nie postawić i nie kazać chodzić, żeby nie zasnęła, ale była tak słaba, że nie utrzymałaby się w pionie.

Pięć minut później, po kolejnych dwóch atakach torsji, usłyszeliśmy przybliżający się sygnał karetki. Dawn opierała się ciężko o mnie. Od ostatniego ataku nie poruszała się i wystraszyłam się, że traci przytomność. Potrząsnęłam nią. Jęknęła, ale nie otworzyła oczu. Tak bardzo się bałam, że zapadnie w śpiączkę, która może trwać miesiącami. Znów nią potrząsnęłam i na moment podniosła powieki. „Szybciej!” - zaklinałam w duchu karetkę. John czekał przy drzwiach.

Dźwięk stał się głośniejszy, co oznaczało, że skręciła już w naszą ulicę. Przez szybę w drzwiach zobaczyliśmy migające niebieskie światło. Sygnał ucichł. John otworzył drzwi, ja cały czas podtrzymywałam Dawn. Podniosła głowę, ale oczy miała zamknięte. Jęknęła i znowu zwymiotowała. W tej chwili weszli dwaj ratownicy medyczni. Aby do niej dojść, musieli ominąć wymiociny na podłodze.

- Jak ma na imię? - spytał jeden, kłękając obok i otwierając torbę.

- Dawn.

- Cześć, Dawn. Słyszysz mnie? - Mówił bardzo głośno. Wyjął z torby małą latarkę. - Dawn, ile masz lat?

Tylko jęknęła cichutko.

- Trzynaście - odparłam. - Połknęła jakieś tabletki, i to bardzo dużo.

Ratownik zajrzał do wiaderka.

- Nie wie pani, co wzięła? - spytał, podnosząc jej powiekę i świecąc latarką w oko.

- Nie. Była u swojej matki. Zaraz po powrocie, jak tylko weszła do domu, zaczęły się torsje.

- Państwo nie są jej rodzicami?

- Nie. Jesteśmy rodziną zastępczą. - John podszedł bliżej.

- Czyli nie wiadomo, co mogła zażyć?

- Nie - odparłam. - Tabletki nie pochodzą stąd. U nas jest tylko małe opakowanie paracetamolu, trzymamy je pod kluczem w apteczce.

- Dawn? - Ratownik badał puls. - Co wzięłaś? Pamiętasz?

Jęknęła, uniosła głowę i znów miała odruch wymiotny, ale tym razem na odruchu się skończyło.

- Sporo musiała tego połknąć - powiedziałam. - I raczej po godzinie szóstej. Wtedy mniej więcej dotarła do matki.

- Zabieramy ją. Pani też może pojechać. Weźmiemy wiaderko, bo może trzeba będzie ustalić, co wzięła.

„Proszę cię, Boże - modliłam się w duchu. - Niech wszystko skończy się dobrze”.

Ratownik, który badał Dawn, został z nią, drugi poszedł do karetki po wózek. My staliśmy z boku i patrzyliśmy. Posadzili ją na wózku, przemawiali do niej cały czas, uspokajali. Nagle znów jęknęła i otworzyła oczy. Patrzyła na mnie, wyraźnie się bała.

- W porządku, kochanie - pogłaskałam ją po ręce. - Pojadę z tobą. Zabierzemy cię do szpitala.

- Zadzwoń, jak już będzie coś wiadomo - poprosił John. - Weź torebkę, masz tam drobne na telefon.

Zabrałam też wiaderko. Ratownicy przenieśli wózek przez próg i ruszyli w stronę karetki.

- Dzwonił jak najszybciej - zawołał jeszcze raz John.

- Jestem Dave - przedstawił się ratownik, który wsiadł z nami z tyłu.

- Cathy. - Spojrzałam na siną twarz dziewczynki. - Czy ona z tego wyjdzie? Większość tabletek musiała zwymiotować. W wiaderku jest ich sporo.

- Ma szansę - odparł i przyłożył elektrody do ciała Dawn. Podłączył przenośny monitor stojący obok.

W czasie jazdy milczałam, monitor pikał jednostajnie, syrena wyła. Dawn miała zamknięte oczy, ale kiedy karetka podskoczyła na wyboju, jęknęła i na momentje otworzyła.

- Zdarzało się to już przedtem? - spytał Dave.

- Nie mam pojęcia, Teraz też nie wiem, czemu to zrobiła. Nic takiego się nie działo. W szkole ostatnio szło jej całkiem nieźle. Dlaczego do mnie nie przyszła, jak miała problemy? Ciąglej to powtarzałam, obiecywała, że tak zrobi, a tu... - urwałam, bo pod powiekami poczułam łzy. Dave pokiwał głową i pochylił się nad nią.

Dziesięć minut później wjechaliśmy na teren szpitala. Syrena ucichła, niebieskie światło zgasło i gdy tylko karetka się zatrzymała, zaraz otworzyły się tylne drzwi. Za nimi czekał już pielęgniarz z noszami na kółkach.

Ratownik podniósł dziewczynkę.

- No, wysiadamy. - Posadził ją, a potem z pielęgniarzem wynieśli ją z karetki i położyli na noszach. Gdy tylko znalazła się w pozycji leżącej, od razu zamknęła oczy. - Ma na imię Dawn - powiedział Dave do pielęgniarza. - Trzynaście lat, połknęła tabletki. Nie wiemy co, ale mamy ze sobą wiaderko, do którego wymiotowała. Tojej matka zastępcza, Cathy.

*Zabrałam* wiaderko, wysiadając z karetki. Ruszyliśmy na oddział pomocy doraźnej, Dave po chwili zniknął, a nas przejęła pielęgniarka i zaprowadziła do oddzielonej zasłoną części, gdzie już czekał lekarz.

- Może pani pozwoli na chwilę ze mną do rejestracji, muszę wpisać dane dziewczynki - powiedziała. Spojrzałam na Dawn, którą właśnie przenoszono z wózka na łóżko. Doktor zakładał stetoskop. - To nie potrwa długo - zapewniła. - Ona będzie tu pod dobrą opieką.

Wróciliśmy tym samym korytarzem. Pielęgniarka przystanąła pod jakimiś drzwiami.

- Poproszę wiaderko. Damy próbkę do analizy, jeśli będzie trzeba.

Weszła na chwilę do tamtego pomieszczenia, po czym udałyśmy się do poczekalni, gdzie była też rejestracja. Pielęgniarka zalogowała się do komputera. W głowie mi się kręciło, sama miałam mdłości. Odpowiadając na pytania, musiałam opierać się o blat. Poprosiła o imię i nazwisko Dawn oraz jej datę urodzenia. Zapisała nasz adres i numer telefonu. Pytała też o rodziców Dawn, ale jedyne, co wiedziałam, to jak ma na nazwisko matka.

- Skontaktujemy się z jej kuratorem - powiedziała, cały czas stukając w klawiaturę. Podałam nazwisko Ruth.

- Powód przyjęcia do szpitala - przeczytała następne pytanie z ekranu. - Przedawkowanie leków - odpowiedziała sobie, a mnie zapięкло pod powiekami. Czułam się tak, jakbym się znalazła za grabą szybą i nie bardzo nadążała za tym, co się dzieje. Pielęgniarka poprosiła mnie o nazwisko i telefon naszego

lekarza pierwszego kontaktu. Spytała, czy Dawn bierze jakieś leki. Odparłam, że nie.

- Dziękuję - powiedziała. - Może pani już do niej wracać.

Ruszyłam w drogę powrotną. Było mi trochę słabo, oddech miałam przyśpieszony. Gdy doszłam do zasłony przedzielającej pomieszczenie, pielęgniarka odsunęła ją, bym mogła wejść. Po jednej stronie łóżka stał lekarz, po drugiej inna pielęgniarka. Dawn była podłączona do monitora, linie na ekranie pokazywały puls i ciśnienie krwi. Odpowiadała na pytania lekarza. Co chwila zamykała oczy.

- Pani się nią opiekuje? - spytał doktor.

- Tak. Ona wyzdrowieje, prawda?

- Z tego, co mówi, wynika, że wzięła dużo tych tabletek. Koniecznie jest płukanie żołądka. Dzięki temu zresztą żyje, że połknęła ich aż tyle. Żołądek nie przerobił takiej ilości i większość zwróciła. Gdyby zażyła mniej albo dłużej by do nas jechała, dużo więcej toksycznych substancji przedostałoby się do krwi. – Spojrzał bardzo surowo na Dawn, aż poczułam się nieswojo.

Dał znak pielęgniarce i ta natychmiast wyszła, pewnie po sprzęt potrzebny do płukania żołądka.

- Czy powiedziała, co połknęła? - spytałam. Modliłam się w duchu, aby to nie był paracetamol wykradziony z naszej apteczki, choć znajdowało się tam zaledwie kilka tabletek.

- Valium matki - odparł lekarz. - I całe opakowanie słodzika, który w takich ilościach jest równie niebezpieczny.

- Wyjdzie z tego?

- Miejmy nadzieję - odparł krótko, nie odrywając wzroku o monitora.

Tymczasem pielęgniarka przyniosła kilka małych sterylnych pakunków i plastikowe wiaderko. Gdy podeszła do łóżka, Dawn otworzyła oczy, ale zaraz je zamknęła.

- Muszę zawiadomić męża, co się dzieje. Czy potem mogę tu jeszcze wrócić? Chciałabym być przy niej.

Doktor skinął głową.

- Zaraz przyjdę - powiedziałam do Dawn, choć nie wiedziałam, czy mnie słyszy.

Wróciłam do recepcji, gdzie był automat telefoniczny. Po chwili powtórzyłam Johnowi, co powiedział doktor.

- To znaczy, że będzie dobrze? - upewnił się.

- Wygląda na to, że tak.

- Jak długo ją zatrzymają?

- Nie mam pojęcia. Dowiem się i jeszcze zadzwonię. Ale nie czekaj, tylko kładź się, bo przecież jutro idziesz do pracy. Wróć taksówką.

John stwierdził, że pewnie i tak nie zaśnie. Po rozmowie wróciłam do Dawn. Lekarza już nie było, zostały przy niej dwie pielęgniarki. Leżała na lewym boku z pochyloną głową. Jedna pielęgniarka przytrzymywała ją od tyłu, druga siedziała na krześle naprzeciwko. Z nosa Dawn wychodziła cienka rurka, z której dobiegały odgłosy ssania i bulgotania. Drugi koniec rurki znajdował się w wiaderku.

Stałam z boku, żeby nie przeszkadzać, i patrzyłam w milczeniu. Najgorsze, czyli wprowadzanie rurki przez nos, miała już za sobą. Samo płukanie żołądka było niczym w porównaniu z tym, jak się męczyła, gdy wstrząsały nią torsje. Pojękiwała tylko cichutko. Zawartość wiaderka nie przypominała

rozpuszczonej w wodzie kredy, co chyba było dobrym znakiem. W pewnym momencie pielęgniarka wstrzyknęła do rurki przezroczystą ciecz. Znów rozległy się bulgoty i ssanie, do wiaderka pociekł płyn. Zabieg został powtórzony.

- J u ż jest czysto - stwierdziła.

- To znaczy, że wszystko zostało wypłukane?

- Oprócz tego, co uległo strawieniu. Ciśnienie ma niskie, puls trochę przyspieszony. Zostanie u nas na noc na obserwacji.

- Dziękuję - powiedziałam. - Dziękuję bardzo.

Po wyjęciu rurki Dawn zakaszła i znów miała odruch wymiotny.

- To nic takiego - uspokoiła siostra. - Tylko podrażniony przełyk.

Wytała dziewczynce usta i obie pielęgniarki wyszły. Usiadłam na krzeselku przy łóżku. Dawn leżała na boku, jakby spała. Była taka młodziutka i bezbronna. Trzynaście lat, pomyślałam, trzynaście krótkich lat. Co ją takiego w życiu spotkało? Dlaczego tak bardzo nienawidziła siebie, że aż musiała się kaleczyć, a teraz próbowała odebrać sobie życie? W książkach pisano, że okaleczanie się jest mechanizmem radzenia sobie ze stresem, a nie próbą samobójczą. Jednak liczba połkniętych tabletek świadczyła, że naprawdę usiłowała się zabić. Uratowało ją to, że wzięła ich zbyt wiele i organizm je odrzucił, oraz że wróciła do domu na tyle wcześnie, byśmy zdążyliśmy wezwać karetkę. Dobry Boże, pomyślałam, gdyby połknęła ich mniej albo nie przyszła na czas, identyfikowałabym teraz jej ciało w kostnicy.

## *Wniechciana*

**Z**aczekałam, póki nie przygotowano dla Dawn łóżka w sali. Usiadłam przy niej i przyglądałam się jej bladej buzi. Cały czas spała. Po jakimś czasie przewieziono ją na oddział. Pielęgniarka stwierdziła, że pewnie będzie spać do rana. Ucałowałam więc Dawn na dobranoc i zeszłam do recepcji, skąd zadzwoniłam po taksówkę.

Do domu dotarłam po północy, dosłownie wykończona. John też był bardzo zmęczony. Szybko wszystko mu opowiedziałam, wypiliśmy herbatę, a potem poszliśmy na górę. Przed położeniem się do łóżka popatrzyłam jeszcze na buźkę śpiącego Adriana. Ustaliliśmy, że John weźmie dzień wolny i zajmie się nim, a ja pojedę do szpitala.

Obudziłam się o wpół do ósmej, John wcześniej zabrał Adriana na dół i nakarmił. Szybko umyłam się i ubrałam, po czym spakowałam do torby piżamę Dawn, czyste ubranie i kosmetyczkę. W pośpiechu wypiliśmy kawę, uściskałam męża i synka i pojechałam do szpitala.



Tuż przed dziewiątą wcisnęłam guzik domofonu przy drzwiach oddziału dziecięcego. Odezwał się kobiecy głos.

- Dzień dobry, tu Cathy Glass, matka zastępcza Dawn Jennings - przedstawiłam się. Po chwili drzwi kliknęły. Od razu poszłam do sali, w której leżała Dawn.

Ku mojemu zaskoczeniu i radości siedziała na łóżku i jadła śniadanie. Buzia się jej rozpromieniła na mój widok.

- Cześć, Cathy - zawołała na cały głos.

- Cześć, kochanie. - Ucałowałam ją serdecznie. - Jak się czujesz? Wyglądasz dużo lepiej.

- Tylko gardło mnie boli.

Uśmiechnęłam się i przysunęłam sobie krzesło.

- Pewnie po tych strasznych torsjach. Nie mogli dać ci czegoś delikatniejszego do jedzenia?

- Była owsianka, ale nie chciałam. - Grzankę jednak jakoś jadła, więc pewnie aż tak bardzo gardło jej nie bolało.

- Dobrze spałaś? - spytałam, spoglądając na innych pacjentów w czteroosobowej sali.

- Raczej tak. Nic nie pamiętam. Obudziłam się dopiero, jak przyszli mi zmierzyć temperaturę.

W kącie, na wysokim stelażu, stał telewizor i Dawn, podobnie jak inne dzieci, ciągle tam popatrywała. Na łóżku obok leżał mały, dziewięcio- czy dziesięcioletni chłopaczek, do którego przyszedł ojciec, a naprzeciwko dziewczynka mniej więcej w tym samym wieku co Dawn, która była sama. Przy czwartym dziecku, pięcio- lub sześciolletniej dziewczynce, siedziała matka. Uśmiechnęłam się do kobiety, a ona odpowiedziała mi tym samym.

- Niedługo będzie obchód - oznajmiła Dawn tonem osoby wszytkowiedzącej. - A potem wypuszczą mnie do domu.

- Świetnie! - odparłam. - W takim razie nie będzie ci potrzebna piżama. Wzięłam ją na wszelki wypadek.

Z roztargnieniem kiwnęła głową, wpatrzona w telewizor. Zaczęłam oglądać razem z nią. Na razie nie miałam zamiaru zaczynać rozmowy o wczorajszych wydarzeniach. Na to jeszcze przyjdzie pora. Najważniejsze było, żeby doszła do siebie.

Kwadrans później do sali przyszła pielęgniarka, sprzątnęła po śniadaniu i powiedziała, że zaczął się obchód. Trochę się denerwowałam, czekając na przyjście lekarza. Nie tylko ja. Pielęgniarka gorączkowo robiła porządki i wygładzała kołdry. Pół godziny później pojawił się doktor w asyście dwóch pielęgniarek i trojga młodych studentów-praktykantów. To nie był lekarz, który nas przyjmował wczoraj. Od razu podszedł do łóżka Dawn i nie przywitawszy się nawet, wziął do ręki kartę i zaczęła ją studiować. Praktykanci otoczyli go kołem. Z napięciem czekałam, co powie. Dawn dużo mniej się przejmowała, czasem zerknęła na nich kątem oka, ale w zasadzie wpatrywała się w telewizor.

Lekarz podniósł wreszcie głowę znad karty i spojrzał na Dawn.

- J a k się czujesz? - spytał.
- Dobrze – odparła, nie odrywając wzroku od ekranu.
- Pani jest jej matką? - zwrócił się do mnie.
- Matką zastępczą.

Jedna z pielęgniarek powiedziała cicho coś, czego nie dosłyszałam, a potem lekarz zwrócił się cicho do studentów, a ja

znów niczego nie usłyszałam. Odwiesił kartę i podszedł bliżej do pacjentki.

- Miałaś, dziecko, szczęście - stwierdził. - Następnym razem może się skończyć gorzej. - Dawn wreszcie oderwała wzrok od telewizora. Moim zdaniem nie był to zbyt fortunny pomysł, aby wspominać przy niej o możliwości „następnego razu”.

- Zrobimy wypis dla twojego lekarza pierwszego kontaktu i puścimy cię do domu - dodał już łagodniej. - Dostaniesz skierowanie do psychiatry. - Zwrócił się do mnie. - To normalna procedura po próbie samobójczej. Tym bardziej że jest jeszcze problem samookaleceń.

Pewnie pielęgniarki zauważyły blizny, kiedy przebierały Dawn w szpitalną koszulę. Chciałam coś powiedzieć, ale lekarz odwrócił się i ruszył dalej. Rozejrzał się jeszcze po sali, po czym wyszedł, a świta za nim. Myślałam, że pomówię z nim i coś mi doradzi, ale najwyraźniej trzeba było z tym poczekać do wizyty u psychiatry. Ten lekarz sprawiał wrażenie mało komunikatywnego. W dodatku jakby był zły na Dawn za to, że próbowała się zabić, podczas gdy jego zadaniem jest tarowanie ludzkiego życia. Jedna dobra rzecz z tego wynikała, a mianowicie skierowanie na konsultację psychiatryczną. Może dzięki temu dziewczynka wreszcie uzyska tak bardzo potrzebną jej pomoc.

\* \* \*

Godzinę później, gdy Dawn umyła się i ubrała, podziękowałam pielęgniarkom i wyszłyśmy ze szpitala. Jednak nie od razu pojechałyśmy do domu.

- Dawn - patrzyłam nie na nią, lecz przed siebie. - Czy ktoś w szpitalu pytał cię, dlaczego... to zrobiłaś? - Nie mogło mi przejść przez gardło „nałykałaś się leków” albo „próbowałaś popełnić samobójstwo”.

- Nie - odparła, zapinając pas. - Cały czas spałam. Aż do śniadania.

Zawahałam się.

- A ja mogę cię o to zapytać? Powiesz mi dlaczego?

Odwróciłam się i spojrzałam na nią. Wzruszyła lekko ramionami.

- Przez mamę. Chciałam jej dać nauczkę.

- Czemu? Co takiego zrobiła? - Dość brutalna nauczka, pomyślałam. Mogło się to naprawdę smutno skończyć.

Znow wzruszyła ramionami.

- Teraz wydaje się to głupie, ale wtedy byłam na nią bardzo zła, nawet wściekła. Zaraz po moim przyjsciu wyszła, bo koniecznie musiała się spotkać z tym swoim Mikiem.

- Ale może miała wyjść na krótko, a potem resztę czasu spędzić z tobą?

- Nie. Dlatego byłam taka zła. Zawsze może się z nim widzieć, a dla mnie ma tylko jedną godzinę w tygodniu. Jechałam do niej taki kawał, a ona po prostu sobie z nim poszła do kina. Nie pierwszy raz. Już się zdarzało, że wychodziła, jak u niej byłam. - Urwała i spojrzała na swoje ręce, splecione ciasno na kolanach. - Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Godzina na tydzień to nie jest chyba jakaś wielka rzecz. Nie zabieram jej dużo czasu.

- Nie, Dawn. Na pewno nie - powiedziałam cicho. - Rozumiem cię doskonale.

Zamilkła znowu. Nie odrywała wzroku od rąk.

- Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale pomyślałam, że jak połknę te tabletki i ona po powrocie mnie znajdzie, to jej się zrobi przykro. Pożałuję, że nie spędzała ze mną więcej czasu. Chciałam ją ukarać.

Słuchałam uważnie.

- Rozumiem. Dziękuję, że mi powiedziałaś. - Widziałam wyraźnie, o co jej chodzi, ale cóż to za sposób dawania matce nauczki! Chwilę siedziałyśmy w milczeniu. - Dawn - odezwałam się znowu. - Czy rzeczywiście chciałaś się zabić, czy raczej nastraszyć mamę i zmusić ją, żeby się więcej tobą zajmowała?

Zacisnęła mocniej dłonie.

- Z początku zamierzałam się zabić, bo mi było strasznie smutno, że ona mnie nie chce. Ale jak połknęłam te tabletki i poczułam się naprawdę źle, to się wystraszyłam. Dlatego wróciłam do ciebie. Żebyś mnie ratowała.

- Bogu dzięki, że tak zrobiłaś. - Poglaskałam ją po ramieniu. - I w samą porę. Kochanie, nie rób tego więcej, dobrze? Są inne sposoby rozwiązywania problemów, również takich, które wydają się nie do rozwiązania. Nie trzeba od razu działać aż tak drastycznie.

- Więcej tego nie zrobię - zapewniła. - Okropne były te wymioty. Naprawdę się bałam. Czy mama już wie?

- Pewnie tak. - Ciekawe, czy pytała, bo wciąż liczyła na to, że matka „dostała nauczkę” i jest jej przykro. - Szpital miał zawiadomić opiekę społeczną, więc Ruth pewnie już telefowała do twojej mamy. Później zadzwonię do Ruth. Trzeba przemyśleć jeszcze raz kwestię twoich odwiedzin u mamy. Nie ma sensu, żebyś tam jeździła, jak jej nie ma w domu.

- Tak - odparła Dawn cichutko. - Sama nie wiem, czy chcę jeszcze do niej jeździć.

Włączyłam silnik i wolno wyjechałam z parkingu, opuszczając po drodze szybę. Dawn też otworzyła okno po swojej stronie. Minęła jedenasta i upał dawało się już we znaki, zapowiadał się kolejny gorący czerwcowy dzień. W czasie jazdy moje myśli cały czas krążyły wokół Dawn i jej problemów; ostatnio niemal wyłącznie albo myślałam o niej, albo martwiłam się jej sprawami. Tak bardzo chciałam znaleźć klucz, którym dałoby się otworzyć jej przeszłość. Może zrozumielibyśmy wreszcie, skąd biorą się jej zachowania, a wtedy skuteczniej można by było jej pomóc. Na pewno odbiło się na niej odrzucenie przez oboje rodziców, ale to nie wyjaśniało wszystkiego - zwłaszcza w świetle wydarzeń ubiegłego wieczoru. Stale też powracała do mnie pewna myśl.

- Dawn - odezwałam się, kiedy stałyśmy na czerwonym świetle. - Ruth powiedziała mi, że w twoim życiu była przerwa i że nikt nie wie, co się wtedy z tobą działo. Jak miałaś od pięciu lat do dziewięciu. - Dawn pokiwała głową i znów wbiła wzrok w kolana. - Pamiętasz cokolwiek z tego czasu? Gdzie byłaś? Z kim mieszkałaś? Pewnie Ruth zadawała ci takie pytania.

- Tak - odparła głucho. - Pytała też o to mamę i tatę.

- I? - zachęciłam ją po dłuższej chwili milczenia.

- Mama mówi, że mieszkałam u taty, a tata, że u mamy. - Dokładnie to samo powiedziała Ruth. Przypomniało mi się wypracowanie Dawn o tym, jak miała pięć lat. Wszystko zmyśliła, bo nie potrafiła sobie nic przypomnieć. Wydawało się to nedorzeczne: przecież rodzice musieli wiedzieć, co się z nią wtedy działo.

- A ty nic nie wiesz? - spytałam. - Nie pamiętasz, gdzie mieszkałaś? To wcale nie było tak dawno. Może coś sobie przypominasz? - Światło zmieniło się na zielone.

Patrzyłam na drogę, ale w pewnym momencie rzuciłam okiem na Dawn i zobaczyłam, że posmutniała i płacze.

- Och, kochanie, przepraszam. Nie chciałam ci zrobić przykrości. - Natychmiast zjechałam na bok i wyłączyłam silnik. Przytuliłam ją serdecznie. - Już dobrze, skarbie. Proszę cię, nie smuć się.

- Cathy, ja nie wiem. Naprawdę nie wiem - łkała. - Nic nie pamiętam. Absolutnie nic. - Podałam jej chusteczkę. - Kiedy byłam mała, mieszkałam z mamą i z tatą. I tata odszedł. A potem jest pustka. Następne, co pamiętam, to że znów mieszkam z mamą. Jakbym się nagle obudziła u niej. Miałam wtedy dziewięć lat i poszłam do szkoły. Trochę czasu spędzałam u taty, trochę u mamy. Tak na zmianę, bo byłam nieznośna i nie mogli ze mną długo wytrzymać. Wiedziałam, że jestem niedobra. Czułam się niedobra i robiłam niedobre rzeczy... sama nie wiem dlaczego. Natomiast wszystko przedtem to jedna wielka czarna dziura. Czasem mam dziwne sny i wydaje mi się, że coś sobie przypominam. Ale te sny są okropne. Boję się potem i mam jeszcze większy mętlik w głowie.

Przytuliłam ją.

- Już dobrze, kochanie. Przepraszam. Nie płacz, proszę. - Zaczekałam, aż wytrze nos i oczy. - Wiesz co? Koniecznie opowiedz o tym psychiatrze. On ci pomoże. Zgoda?

Kiwnęła głową i głośno wytarła nos. Potem spojrzała na mnie. Policzki i oczy miała zaczerwienione.

- To naprawdę straszne, jak się nic nie wie. Jakbym zgubiła część siebie. Im bardziej się staram to sobie przypomnieć, tym jest gorzej. Mam wspomnienia, jak na początku jestem z mamą i tatą. Potem znikam i po kilku latach nagle się pojawiaam. Wtedy zaczęłam być niedobra. Nie wiem dlaczego, po prostu tak jest i już. Może stało się coś, co mnie odmieniło. Coś okropnego, a ja tego nie pamiętam.

Przytuliłam ją znów i pomyślałam, że pewnie ma rację. Sądząc z jej słów, cierpiała na rodzaj amnezji. Przypomniał mi się przeczytany kiedyś artykuł o ludziach, którzy stracili pamięć wskutek traumy wywołanej tragicznymi przeżyciami. Nazywa się to amnezją dysocjacyjną. Mózg usuwa z pamięci informacje, które są dla człowieka zbyt bolesne. Ale to było wszystko, co na ten temat wiedziałam.

- Bardzo ci współczuję, kochanie. Psychiatra na pewno ci pomoże.

- Naprawdę tak sądzisz? - Spojrzała na mnie z iskierką nadziei.

- Na tym polega jego praca. Pomaga pacjentom dotrzeć do wydarzeń z przeszłości i lepiej zrozumieć siebie. A więc zostawmy to jemu, dobrze? Na razie nie przypominaj sobie niczego na siłę. Skupmy się na tym, co jest teraz. - Uśmiechnęłam się, a ona odpowiedziała mi uśmiechem.

- Dziękuję, Cathy. Możemy już jechać? Umieram z głodu. Czy będę mogła dostać jajecznicę?

- Oczywiście, kochanie. Co tylko chcesz.

Dojechaliśmy tuż przed południem. John powitał nas w drzwiach.



- Witaj w domu - powiedział serdecznie do Dawn i ucałował nas obie.

Dziewczynka uśmiechnęła się i od razu poszła do Adriana, który już pędził na czworakach przez przedpokój.

Do Johna oczywiście zadzwonili z pracy z jakimś problemem, więc skoro wróciliśmy, zdecydował się pojechać tam na popołudnie. Poszedł na górę się przebrać i pół godziny później wyszedł. Ja zrobiłam Dawn jajecznicę. Kiedy jadła, zadzwoniła Ruth i powiedziała, że w związku z tym, co się stało, po południu przyjdzie do niej. Przekazałam tę wiadomość Dawn. Wzruszyła ramionami.

- I rak nic więcej jej nie powiem.

- Wiem, kochanie, ale ona chce się upewnić, że już się dobrze czujesz.

Popołudnie spędziliśmy we trójkę w ogrodzie, w cieniu drzew. Pogadałyśmy sobie, potem Dawn przyniosła z pokoju walkmana i słuchała muzyki, a ja czytałam gazetę. Obie pilnowałyśmy Adriana, który co jakiś czas ponawiał wyprawy na kwiatowe grządki. Ruth zjawiała się po trzeciej i już od progu oświadczyła, że chce pomówić z Dawn w cztery oczy. Zaprowadziłam ją do ogrodu i zabrałam małego do domu. Drzwi na taras zamknęłam za sobą.

Widziałam je przez okno. Ruth usiadła na moim miejscu i z bardzo poważną miną cały czas perorowała zawzięcie. Dawn wyraźnie nie była tym zachwycona i tylko kiwała głową albo wzruszała ramionami. Mniej więcej po dwudziestu minutach Ruth przyszła do domu. Otworzyłam jej drzwi.

- Wszystko w porządku? - spytałam w nadziei, że może wreszcie się czegoś dowiem.

Westchnęła.

- O tyle, o ile - odparła, kierując się do drzwi.

Odprowadziłam ją. Adrian został w salonie, ale widziałam go przez cały czas. Oczywiście Ruth znów nic nie powiedziała. W ogóle nie miała takiego zamiaru.

- Dobrze się stało, że dostała skierowanie do psychiatry. - Próbowałam jakoś zacząć rozmowę.

- Jeśli tam pójdzie - odparła sucho, już z ręką na klamce. - Porozmawiam z matką i spróbuję ją przekonać, żeby jednak nie wychodziła, kiedy Dawn przychodzi.

- A jeśli się nie uda? - Uważałam, że Ruth powinna być bardziej stanowcza wobec Barbary. - Czy w ogóle warto, żeby tam jeździła? Sama mi powiedziała, że nie wie, czy chce odwiedzać matkę, jeśli ma jej nie być w domu.

- Teraz tak mówi, a w niedzielę pewnie zmieni zdanie - westchnęła znów Ruth. - Pomówię z Barbarą, ale oczywiście nie zmuszę jej do siedzenia w domu i zajmowania się córką, - Otworzyła drzwi i wyszła. - Proszę do mnie zadzwonić, jak będzie już ustalony termin wizyty u psychiatry. Chcę z nim przedtem porozmawiać.

- Dobrze. - Była już w połowie drogi do furtki. - Aha, jeszcze jedno - zawołałam za nią.

Zatrzymała się i odwróciła.

- T a k ?

Dogoniłam ją.

- Czy wie pani o czymś, co mogłoby nam pomóc? Oboje z Johnem bardzo się o nią martwimy. Rozumiem doskonale,

że to poufne sprawy, ale nam jest naprawdę trudno. Dawn potrafi być taka grzeczna i miła, a potem ni stąd, ni zowąd zachowuje się dziwnie. Czytałam...

- Nie miała w życiu lekko - przerwała Ruth. - Proszę mnie poinformować, jak będzie znany ten termin. Od tego zaczniemy.  
- Odwróciła się i poszła.

Wróciłam do domu. Mimo wszystko postanowiłam się nie zniechęcać jej niegrzecznym zachowaniem. Zabrałam Adriana, który grzebał w doniczce, i wyszłam z nim do ogrodu. Dawn cały czas siedziała pod drzewem, z walkmanem i słuchawkami na kolanach.

- W porządku? - spytałam z uśmiechem. - Rozmowa z Ruth ci pomogła?

- Niespecjalnie - wzruszyła ramionami. - Wiecznie mnie poucza i zawsze trzyma stronę mamy.

- I co? W tej wczorajszej sprawie też była po jej stronie?

- Nie tylko. W innych też. - Wstała i zostawiwszy walkmana, poszła pobawić się z Adrianem na trawniku.

Ewidentnie nic mi nie chciała powiedzieć o tej rozmowie, podobnie zresztą jak Ruth, a za bardzo nie mogłam się dopytywać. Niedobrze się stało, że Dawn uważała, iż Ruth jest po stronie matki. W tej walce najważniejsze dla wszystkich powinno być dobro Dawn. Moim zdaniem należało postawić Barbarze ultimatum: ma być w domu albo córka przestanie przychodzić. Ale widocznie była to tylko moja opinia i przy kolejnej wizycie Dawn pewnie znów się boleśnie rozczaruje. Jak to biedne dziecko miało nauczyć się akceptować siebie, skoro własna matka spotykała się z nią tylko wtedy, kiedy nie miała nic

lepszego do roboty albo w kinach akurat nic ciekawego nie grali.  
A poza tym, skoro ich relacje były aż tak złe, to po co w ogóle się widywały? Jednak, z drugiej strony, Barbara była matką Dawn, więc z pewnością istniała między nimi silna więź.

## Tajna broń Dawn

**B**yłoby dobrze napisać, że po wyznaczeniu terminu wizyty u psychiatry Dawn rozpoczęła terapię i pomału zaczęło być lepiej. Ale tak się nie stało. Sytuacja wcale się nie poprawiła, a wręcz było gorzej.

Nazajutrz po wyjściu ze szpitala Dawn z uporem twierdziła, że czuje się dobrze i nie ma potrzeby odwozić jej do szkoły. Dzień wcześniej, w poniedziałek, gdy tam nie przyszła, zadzwoniła sekretarka i John powiedział, że Dawn jest chora. Nie wdał się w szczegóły, nie mówił, że się nałykała leków i zabrano ją do szpitala. Wolał, żeby Ruth ich zawiadomiła, jeśli to będzie konieczne. Kiedy żegnałam się z Dawn we wtorek rano, nie miałam powodu przypuszczać, że nie dotrze do szkoły, a że sekretarka nie dzwoniła, byłam pewna, że wszystko jest w porządku. Ta sytuacja powtórzyła się w środę i w czwartek. Dawn wychodziła z domu za piętnaście ósma, wracała za piętnaście czwarta.

W piątek w porze obiadowej zadzwonił telefon. Dziewczęcy głosik poprosił Dawn.

- Jest w szkole - odparłam. - Może coś jej przekazać? -  
Byłam mile zaskoczona, że Dawn podała nasz numer koleżance. Pierwszy raz ktoś do niej dzwonił. Pomyślałam, że wreszcie zaczyna nas traktować jak rodzinę.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza. Wreszcie dziewczynka się odezwała:

- Nie, nie ma jej.

- J a k t o?

- Nie przyszła. Mówi Natasha, ja chodzę z nią do klasy. Chciałam spytać, jak ona się czuje. Nie było jej cały tydzień. Pani powiedziała, że jest chora.

- Jesteś pewna, że jej nie ma? - spytałam z bijącym sercem.

- Tak. Na ogół siedzimy razem.

- Nic nie rozumiem. Kiedy Dawn nie przychodzi, sekretarka dzwoni do mnie. Była chora w poniedziałek, ale od wtorku czuje się dobrze i co dzień wychodzi do szkoły. Na pewno jej nie widziałaś?

- Muszę już iść na obiad - odparła spieszenie, najwidoczniej z poczuciem winy, że wyspała koleżankę. Rozłączyła się.

Ja też odłożyłam słuchawkę i chwilę stałam nieruchomo. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie było telefonu ze szkoły. Naprawdę dziwne. Zadzwoiłam do sekretariatu.

Odebrała sekretarka. Od razu spytałam, czy Dawn dotarła.

- Nie - odparła zdziwiona moim pytaniem. - Pani mąż powiedział, że jest chora.

- Była chora w poniedziałek, ale przez resztę tygodnia wychodziła normalnie do szkoły.

- Oj, to bardzo przepraszam. Pewna byłam, że jeszcze choruje. Dlatego nie dzwoniłam.

- Rozumiem. - Dopiero w tym momencie pojęłam, co się stało, i bardzo mnie to zmartwiło. - To nie pani wina. Powin-  
nam była zadzwonić we wtorek i powiedzieć, że jest już zdrowa.

Przeprosiła raz jeszcze i pożegnałyśmy się.

Muszę przyznać, że było to spore zaskoczenie. Sekretarka nie dzwoniła, ponieważ myślała, że Dawn nadal jest chora, a ja nie dzwoniłam do szkoły w przekonaniu, że ona tam codziennie przychodzi, bo przecież inaczej daliby mi znać. Tymczasem panienka sprytnie wykorzystała sytuację. Bardzo się na niej zawiodłam, ale też niepokoiłam się, gdzie jest i co robi. Co dzień wychodziła do szkoły i normalnie wracała do domu. Z miłym uśmiechem odpowiadała na pytanie, jak minął dzień, zawsze grzecznie dziękując za zainteresowanie. „Dobrze, Cathy, dziękuję”. A więc na nic się zdały wszystkie nasze rozmowy i obietnice, że następnym razem powie mi o swoich problemach. Zranił mnie ten brak zaufania, czułam się tak, jakby mnie zdradziła, a poza tym martwiłam się o nią. Co zrobić, żeby przemówić jej do rozsądku? Zupełnie nie miałam pojęcia.

Jak zwykle wróciła do domu za piętnaście czwarta, rzuciła torbę w przedpokoju i zdjęła buty.

- J a k było? - spytałam jak zawsze.

- Dobrze, Cathy, dziękuję - uśmiechnęła się.

Nienawidzę fałszu i udawania, ale tym razem od tego musiałam zacząć.

- Coś ciekawego robiliście dzisiaj?

- Zwykle lekcje. - Znów się uśmiechnęła, po czym nachyliła się nad Adrianem, który usiłował wstać, przytrzymując się jej spódnicy.

- A jakie przedmioty mieliście?

Zawahała się. Pewnie wyczuła, że tym razem nie jest to zwykła wymiana uprzejmości. Nie mogłam dłużej udawać.

- Dzwoniła Natasha. Pytała, co się z tobą dzieje.

Dawn puściła Adriana i wolno się wyprostowała.

- Przepraszam, Cathy. - Przepraszanie zawsze przychodziło jej bez trudu. - Ale po tym wszystkim nie mogłam pójść do szkoły.

- Dlaczego mi w takim razie nie powiedziałaś, zamiast uciekać? Przecież ustaliłyśmy, że jak będziesz mieć kłopoty, to ci pomogę. A ty zachowałam się dokładnie tak samo jak przedtem. Po prostu zniknęłaś!

Patrzyła na mnie bez większych emocji.

- Wiem, że znowu się na mnie zawiodłaś - stwierdziła rzeczowo. - Przepraszam, ale nie mogłam inaczej. Mówiłam ci, że jestem niedobra. Teraz może mi uwierzysz.

Złościło mnie to jej wieczne przypisywanie wszystkiego temu, że jest „niedobra”.

- Nie jesteś niedobra, tylko idziesz na łatwiznę. Nie rozumiem, dlaczego nic mi nie powiedziałaś. Nie zmuszałabym cię do niczego nazajutrz po wyjściu ze szpitala. Ale nie. Ty uznałaś, że najlepiej będzie uciec na węgry. Nieładnie, Dawn. Tym razem rzeczywiście zawiodłam się na tobie. I jeszcze wyszłam na idiotkę, jak wmawiałam Natashy, że jesteś w szkole.

- Przepraszam - powiedziała znowu, ale bez większego przekonania.

- Cóż, przeprosiny przyjęte, ale ten weekend spędzisz w domu. Nie wyjdiesz ani dzisiaj, ani w sobotę. Będziesz przez ten czas nadrabiać zaległości.



Spojrzała na mnie wyraźnie zdziwiona.

- Nie wiem, co było - burknęła, odwróciła się na pięcie i poszła do siebie.

Zostawiłam ją w spokoju przez pół godziny, później jednak do niej zajrzałam - bałam się, że jeśli się zdenerwowała, to znów się okałeczy albo nie daj Boże ponowi próbę samobójczą. Zapukałam, potem wsunęłam głowę przez uchylone drzwi. Dawn leżała na łóżku i słuchała muzyki. Nic nie powiedziałam, wróciłam na dół. Zawołałam ją dopiero na kolację.

Przedtem opowiedziałam Johnowi o wagarach. Po wyjątkowo ciężkim, pełnym problemów tygodniu w pracy potrzebne mu to było do szczęścia jak dziura w moście.

- Porozmawiam z nią - obiecał.

Kolacja minęła w nienaturalnej ciszy. Nawet Adrianowi, urzędującemu w dzieciennym krzeselku, udzieliła się ciężka atmosfera, bo szczebiotał mniej niż zwykle. Po jedzeniu wzięłam się za sprzątanie, a John udał się z Dawn do salonu na rozmowę. Poszła bez słowa. Przez otwarte drzwi słyszałam wszystko. Kazał jej usiąść, po czym dał niezłą reprimendę - jak ojciec córce. Milczała, a on grzmiał, że sama sobie szkodzi, a nam sprawia zawód. Spytał, co robiła przez cały ten tydzień, a ona, jak to było do przewidzenia, odparła:

- Spotykałam się ze znajomymi.

- Koniec z tym! - zapowiedział. - W tygodniu masz być w szkole, a nie ze znajomymi. Rozumiesz?

Cichutkim głosem odpowiedziała, że rozumie, raz jeszcze przeprosiła za wszystko i obiecała, że więcej tego nie zrobi. Brzmiało to szczerze. John wyraził zadowolenie i dodał, że nie

będzie już do tego wracać, żeby nie psuć w domu atmosfery. Powtórzył, że przez najbliższe dwa dni ma nigdzie nie wychodzić, po czym kazał jej przyjść do mnie i przeprosić. Przeprosiny przyjąłem i podobnie jak John powiedziałam, że na tym kończymy sprawę. Cóż jeszcze mogliśmy zrobić?

W sobotę była ładna pogoda, więc urządziliśmy sobie grilla w ogrodzie. Bardzo chciałem, żeby Dawn zobaczyła, jak przyjemnie rodzina może wspólnie spędzać czas. Liczyłem, że ją to do nas zbliży i poczuje się bardziej jak w domu. W niedzielę wieczorem wyraziła chęć pojechania do matki, ale obiecała, że jeśli jej nie zastanie albo matka znów wyjdzie podczas jej wizyty, to do razu wróci.

Przyszła o wyznaczonej porze. Matka była cały czas. Spytałam, czy rozmawiała o pobycie w szpitalu. Odparła, że nie, że tylko oglądały telewizję. Nie mogłem wprost uwierzyć, że córka próbowała popełnić samobójstwo, a matka nie tylko z nią poważnie nie porozmawiała, ale nawet nie poruszyła tego tematu.

O drugiej w nocy Dawn wstała i wyszła z pokoju. Nie wiem, jak wyczuliśmy, że znów chodzi we śnie: może szósty zmysł nam podpowiedział albo usłyszeliśmy ją przez sen, bo oboje obudziliśmy się jednocześnie i od razu wiedzieliśmy dlaczego. Była w przedpokoju i zmierzała w stronę kuchni. Jak zwykle zawróciliśmy ją i odprowadziliśmy do łóżka. Spała spokojnie do rana, dopóki nie obudziłem jej do szkoły.

Nie każdej nocy wstawała, zdarzało się to średnio dwa razy w tygodniu. Czasem przyczyna była oczywista, jak w ostatnią niedzielę, kiedy widziała się z matką. Ale zdarzało się, że robiła

to bez widocznego powodu, albo przynajmniej my o niczym nie wiedzieliśmy. Pocieszaliśmy się, że kiedy *zacznie* terapię, psychiatra zaradzi i temu.

Zawiadomienie o terminie wizyty przysłano nam pod koniec następnego tygodnia w kopercie zaadresowanej do pani Cathy Jennings (moje imię i nazwisko Dawn), co świadczyło o tym, że w szpitalu pomieszczyli w komputerze nasze dane. Wizyta została wyznaczona na trzeciego sierpnia, czyli za dwa miesiące. Bardzo niedobrze, że kazali tyle czekać nastolatce, która próbowała się zabić, ale pewnie były długie kolejki do specjalisty. Wpisałam tę datę do kalendarzyka i zawiadomiłam Dawn, kiedy wróciła ze szkoły.

- Dobrze - skwitowała, a mnie przyszło nagle do głowy, że ma na myśli nie tyle fakt wyznaczenia terminu, ile raczej to, że jest on tak odległy.

Chodziła do szkoły przez cały tydzień, więc wolno jej było wyjść w piątek i w sobotę. Jak zwykle nie wiedzieliśmy, dokąd poszła. Domyślaliśmy się jedynie, że te wieczorne wypadki odbywają się w dawnym towarzystwie. W piątek przyszła o wpół do dziesiątej, za co ją pochwaliłam. W sobotę nie wróciła wcale. Siedzieliśmy w salonie do późna, nerwowo spoglądając na zegar. Baliśmy się o nią, a poza tym byliśmy autentycznie wściekli, że tak totalnie nas lekceważy i nie dotrzymuje obietnic.

O wpół do jedenastej zadzwoniłam do opieki społecznej.

- Trzeba zaczekać do jedenastej - powiedział dyżurny pracownik. - Jeśli się do tej pory nie zjawi, proszę zgłosić zaginięcie na policji.

Tak też zrobiłam - znów musiałam odczekać dziesięć minut, nim odezwie się oficer dyżurny, a potem po raz drugi przez pół godziny podawałam jej dane oraz relacjonowałam okoliczności zaginięcia. Każde zgłoszenie traktowano jak nową sprawę, bo widocznie nikomu się nie chciało zaglądać do kartoteki. Tym razem miałam przygotowane zdjęcie Dawn. Nauczeni doświadczeniem, postanowiliśmy się nie kłaść. Policjanci mogli przyjść w każdej chwili.

Dochodziło wpół do pierwszej. Drzemaliśmy w salonie przy cicho nastawionym telewizorze, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Nareszcie! - John podniósł się z fotela i poszedł otworzyć. Po chwili usłyszałam jego zdziwiony głos: - Dawn!

Zerwałam się z kanapy i wybiegłam do przedpokoju. W progu, w towarzystwie dwóch policjantów, stała kompletnie pijana i rozchichotana Dawn. Wisiała uczepona ramienia jednego z nich. Nie sprawiali wrażenia specjalnie zbulwersowanych jej zachowaniem.

- Cz-cześć, John. Cz-cześć, Cathy - wymamrotała. - Jak się macie? Przpraszam za spóź-żnienie. Pwinnm dzdzwonić.

Kiedyś ją poprosiliśmy, żeby zatelefonowała, gdyby miała z jakiegoś powodu wrócić później; dzięki temu nie będziemy się denerwować.

- Rychło w czas. - Byłam naprawdę zła.

Otarła się jak kot o ramię policjanta i uśmiechnęła się do niego głupkowato.

- Dzięki... m-miło, że pn pp-omógł. - Czknęła i ciężko westchnęła.

- Chyba nie będziesz wymiotować? - Odciągnęłam ją szybko od policjanta.

- N-nnie. Spoko - odparła i znów czknęła.

- Możemy chwilę porozmawiać? - spytał uwolniony policjant.

John poprosił ich do salonu, ja prowadziłam Dawn. Ciągłe przepraszała i szczyrzyła zęby w tym idiotycznym uśmiechu.

- P-przpraszam. Bardzo p-przpraszam. - Chichotała, a w salonie natychmiast zaczęła głośno śpiewać: - „Co zrobimy z pijanym żeglarzem...”.

- Siadaj - rozkazał ostro John. Posadziłam ją na kanapie. Od razu przyniosłam z kuchni plastikowe wiaderko i na wszelki wypadek postawiłam przy niej.

- N-nie będę... rzygać - oświadczyła. - Jest... mi... dbrze.

- Cicho bądź! - huknął na nią John.

Gdy policjant zaczął mówić, jeszcze mniej nam było do śmiechu.

- Znaleźliśmy ją pół godziny temu, po otrzymaniu zgłoszenia, pod pubem Queens Head. - Była to spelunka na peryferiach, miejsce słynące z rozrób. Regularnie pisano o tym pubie w lokalnej prasie, gdyż mieszkańcy od lat domagali się jego zamknięcia. - Dwóch młodych ludzi zabrano do szpitala z pociętymi twarzami - ciągnął policjant. - Dawn stała wśród gapiów i nie brała udziału w awanturze, ale zachęcała walczących. Niezbyt odpowiednia rozrywka w tym wieku - zakończył sucho.

To był dla mnie szok. Przede wszystkim poczułam się odpowiedzialna za to, że tam się znalazła.

- Miała wrócić do domu o wpół do dziesiątej - zaczęłam tłumaczyć, - Też uważamy, że nastolatki nie powinny się włóczyć po pubach, zwłaszcza takich jak Queens Head.

Policjant spojrział na mnie poważnie, a jednocześnie z wyraźnym współczuciem,

- Zajmujemy się zwalczaniem pijaństwa wśród nieletnich i już raz zgarnęliśmy ją w pubie. Ostrzegliśmy ją wtedy.

- J a k to? - spytał z niedowierzaniem John.

- Zdaje się, Dawn, że lubisz tam bywać, prawda?

Pokiwała głową i głośno czknęła.

Byłam przerażona.

- Więc tam chodziłaś w piątki i w soboty?

- Czsami - wybełkotała.

- To się musi skończyć! - oświadczył John, po czym zwrócił się do policjantów. - Bardzo przepraszam. Na pewno macie panowie poważniejsze sprawy niż odwożenie do domu pijanych nastolatek.

Policjant ze stoickim spokojem pokiwał głową.

- Czy potem Dawn będzie mieszkać u matki? - Policja widocznie nie знаła je obie, bo przedtem tam odwożono dziewczynkę.

- Jeszcze nie wiadomo.

W tym momencie włączył się radiotelefon drugiego policjanta:

- Patrol numer pięć na Dusmore Close. Zgłoszenie zakłócenia porządku na ulicy.

- To do nas. - Wstali, my z Johnem również. - Uprzedziliśmy Dawn, że jeszcze raz, a dostanie kolejne ostrzeżenie - dodał. - Chyba byś tego nie chciała?

Uśmiechnęła się i czknęła, po czym pokręciła przecząco głową, strojąc przy tym głupie miny. John tylko unióśł brwi ostrzegawczo. Odprowadziliśmy policjantów do drzwi. Dawn siedziała na kanapie i usiłowała stłumić czkanie i powstrzymać chichot.

- J a k będzie ci niedobrze, to tam jest wiaderko - powiedziałam na wszelki wypadek.

- Ile ma już tych ostrzeżeń? - spytał John.

- Zdecydowanie za dużo. - Policjant widocznie nie chciał lub nie mógł podać szczegółów. - Niewiele brakuje, żeby sprawa skończyła się w sądzie.

„Jaka sprawa? - pomyślałam. - Za co Dawn zbierała ostrzeżenia?” Policjanci tymczasem wyszli, bo śpieszyli się do wezwania. Wróciliśmy do salonu, gdzie Dawn nadal walczyła z czkawką i chichotem. Nie wymiotowała, ale i tak zabraliśmy na górę wiaderko. John postawił je obok łóżka i wyszedł. Pomogłam jej włożyć nocną koszulę. Zupełnie jakbym rozbierała duże dziecko; Adrian był łatwiejszy do przebierania niż ona, gdy tak chichotała i czkała. Po zdjęciu dżinsów zobaczyłam blizny - nie jedną, jak się spodziewałam, ale cztery. Jasnoróżowe, równoległe biegnące linie miały długość około pięciu centymetrów. Ostatnia wyglądała na całkiem świeżą.

- Dawn! Znowu się cięłaś - stwierdziłam z przerażeniem. - Mówiłaś, że przestałaś to robić.

- Przpraszm - wymamrotała tym samym tonem, jakim przeproszała za wszystko tej nocy. - Nie umiem się odzwyczaić.

- Jak to odzwyczaić? I kiedy to zrobiłaś? Znów nic mi nie powiedziałaś. - Z rozpaczą wpatrywałam się w złowieszcze kreski na jej skórze.

Usiadła na łóżku ze spuszczoneymi nogami, zaczęła pokazywać blizny palcem i objaśniać okoliczności ich powstania, jakby się chwaliła karbami na lufie broni.

- To jak mama była dla mnie niedobra - dotknęła tej najwyżej, w połowie uda. - Ta kiedy Mike nazwał mnie wścibską gówniarą - przesunęła palec niżej. - O tej wiesz. Kiedy Natasha nie chciała być moją przyjaciółką i zabrudziłam krwią poduszkę. A ta - pokazała czwartą - jak zabroniliście mi wychodzić.

Byłam w szoku, myślałam, że się rozplaczę.

- Aż taką złość do nas czułaś? Nie mogłaś po prostu przyjąć kary? To przecież normalne, że gdy nastolatki nie słuchają starszych, dostają szlaban na wychodzenie z domu. - Uważałam, że postąpiliśmy słusznie, a jednak nie mogłam się oprzeć poczuciu winy.

Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o okaleczeniu, słuchała mnie i zaklinała się, że więcej tego nie zrobi. Teraz, gdy była pijana, usiłowała mnie zbyć.

- Nie ma sprawy - odparła z uśmiechem. - Nie przejmuj się tak. W końcu to moja noga, a ja lubię się ciąć. Robi mi się wtedy lepiej.

- To przerażające, co mówisz. I bardzo smutne. Naprawdę tego nie rozumiem.

- Nie twoja wina. Nie przejmuj się - powtórzyła. Położyła się i zwinęła w kłębek. Powieki jej opadły, zasnęła niemal natychmiast. Popatrzyłam na nią przez chwilę, po czym zgasiłam światło i wyszłam.

Na dole powiedziałam Johnowi o najnowszych odkryciach. Był równie zszokowany i przerażony jak ja.



- Co mamy teraz robić? - pytał przygnębiony. - W ogóle nie zwracać jej uwagi? Niczego nie wymagać, bo będzie się kaleczyć? To emocjonalny szantaż.

Niezupełnie tak było. Dawni nas nie szantażowała. Nie mówiła: jak mi zabronicie wyjść, to się potnę. Nie szantażowała też matki, Mike'a czy Natashy. Bez protestu przyjmowała wyznaczoną karę, a potem w tajemnicy się cięła. Nie miałam pojęcia, jak rozwiązać ten problem, i po raz kolejny kurczowo uczepliłam się myśli, że psychiatra na pewno jej pomoże. Tylko ta jedna nadzieja mi została, bo już zupełnie nie wiedziałam, co robić.

## Przykta niespodzianka

**W** następnym tygodniu Dawn udało się być trzy dni w szkole, a tydzień później - dwa. Za każdym razem o jej nieobecności informowała mnie szkolna sekretarka i kiedy Dawn przychodziła do domu za piętnaście czwarta, wygłaszałam kolejną reprimendę. Ale moje słowa brzmiały równie mało przekonywająco jak przeprosiny Dawn i jej obietnice, że więcej nie będzie wagarować. Obie już zbyt wiele razy wygłaszałyśmy swoje kwestie.

- Staram się, Cathy - powiedziała raz. - Ale jak tylko wyjdę z domu, zaraz mnie coś podkusi.

- Och, kochanie - odparłam bezradnie. - Powiedz, jak ci mogę pomóc?

- Nie wiem - wzduszyła ramionami.

Ja też nie wiedziałam!

Zbliżał się koniec czerwca. Zarezerwowaliśmy - jeszcze w grudniu, nim Dawn się u nas zjawiała - tygodniowy pobyt

w Kornwalii. Mieliśmy jechać na początku lipca, czyli przed końcem roku szkolnego. Zamówiliśmy pięcioosobowy domek, a więc przy nas dwojgu i Adrianie (który spał w swoim łóżeczku) bez problemu znalazłoby się dla niej miejsce. Uważałam, że taki wyjazd dobrze jej zrobi - tydzień odpoczynku z dala od nieodpowiednich miejsc i złego towarzystwa. John był tego samego zdania. Jednak wówczas Dawn straciłaby tydzień szkoły, a ponieważ i tak dużo opuściła, obawiałam się, że kuratorka nie wyrazi zgody na wyjazd. Na razie nic nie mówiłam Dawn, tylko zadzwoniłam do Ruth i spytałam, czy dziewczynka może z nami jechać.

Zgodziła się bez problemu.

- Tak, jeśli tylko zechce. Może jej to dobrze zrobi.

Byłam pewna, że Dawn będzie skakać z radości, chociażby dlatego, że się urwie na tydzień ze szkoły. Ale kiedy wieczorem, pełni entuzjazmu, zaprosiliśmy ją na wspólne wakacje, odmówiła.

- Bardzo mi miło, że o mnie pomyśleliście, ale nie chcę tracić więcej szkoły.

Wymieniliśmy zdumione spojrzenia.

- Ale ty przecież nie lubisz chodzić do szkoły - zauważył John. - Znacznie częściej wagarujesz.

- Wiem. I mam teraz mnóstwo zaległości. A za dwa tygodnie są końcowe egzaminy. Muszę się uczyć.

- Weź książki ze sobą - zaproponowałam. - Będziesz się uczyć wieczorami albo nawet na plaży.

- Nie będę mogła się skupić. Jedźcie beze mnie. Ja tu zostanę.

- Nie ma mowy - odparł John.

- Jesteś za młoda - dodałam. - Ruth się nie zgodzi.

„My też nie” - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

Przez cały wieczór usiłowaliśmy ją namówić do zmiany zdania. Roztaczaliśmy przed nią kuszące wizje wszelkich możliwych atrakcji wybrzeża Kornwalii, ale uparła się, że nauka przede wszystkim i nie może sobie pozwolić na dalsze opuszczanie szkoły. Miałam dziwne podejrzenie, iż nagły zapal Dawn do nauki brał się raczej stąd, że nie miała ochoty oddalać się od pewnych miejsc i pewnych osób - wyjścia w piątkowe i sobotnie wieczory były jej ulubionym punktem programu całego tygodnia.

Swoją odmową nie tylko nas rozczarowała, ale i postawiła w niezręcznej sytuacji. Przecież nie mogła zostać sama w domu, jak proponowała. Nazajutrz zadzwoniłam do Ruth.

- Spróbuję znaleźć dla niej opiekę na ten czas, ale nie będzie to łatwe. - Westchnęła. - A może by zamieszkała przez tydzień z matką?

Moim zdaniem to nie było najlepsze rozwiązanie, zważywszy zupełny brak zainteresowania i rodzicielskiej kontroli ze strony Barbary. Nie mówiąc już o tym, że Dawn czuła się przez nią odrzucona, gdy ta wiecznie gdzieś wychodziła.

- A matka się zgodzi? - spytałam. - Poza tym, czy Dawn będzie chciała do niej iść?

- Proszę ją spytać - zaproponowała Ruth. - Jeśli się zgodzi, pogadam z matką.

Tak zrobiłam. Od razu rozbłysły jej oczy.

- Świetny pomysł. Mogę mieszkać u mamy.

Za tym entuzjazmem nie kryła się wcale niespodziewana poprawa stosunków z matką, tylko nadzieja na więcej swobody.

- Ale twojej mamy ciągle nie ma w domu. Pracuje do późna - powiedziałam. - A co będzie, jak wieczorem przyjdzie Mike?

- Wyjdę do koleżanek. - Była wyraźnie zadowolona.

Minimalny dozór lub też całkowity brak dozoru, do tego wiecznie pusty dom, a wtedy hulaj dusza. Moim zdaniem nie wróżyło to nic dobrego. Wskutek właśnie takiej sytuacji Dawn znalazła się w ośrodku opiekuńczym, a od tamtej pory raczej niewiele się zmieniło. Spytałam ją raz jeszcze, czy nie wolałaby pojechać z nami; argumentowałam, że tydzień to nie tak długo i że mogłaby stamtąd dzwonić do przyjaciół.

- Wolę zostać - odparła. - Obiecuję nie pić i wracać do domu o wpół do dziesiątej jak u was.

O nauce jakoś już więcej nie wspominała.

Nazajutrz zawiadomiłam Ruth, że Dawn zgodziła się przeprowadzić do matki na kilka dni. Wyraziłam jednak obawy co do tego, jak może się tam zachowywać.

- Nie gorzej niż u państwa - stwierdziła sucho. Obiecała, że zadzwoni do Barbary. - Tak będzie prościej niż szukać nowych osób - dodała. Już dawno przestało mnie dziwić jej podejście.

Dwa dni później zadzwoniła i poprosiła Dawn do telefonu. Po rozmowie dziewczynka była wniebowzięta, że matka zgodziła się ją wziąć. I choć z jednej strony cieszyłam się, że Barbara nie odrzuciła córki, z drugiej obawiałam się kłopotów.

Nazajutrz przygotowałyśmy jej walizkę i szkolną torbę, a John pomógł mi spakować rzeczy na wakacje. Zawiadomiłam szkołę, żeby przez najbliższy tydzień kontaktowali się z Barbarą, jeśli Dawn się nie zjawi. W piątkowy wieczór dałam Dawn kieszonkowe, serdecznie ją ucałowałam i odprowadziłam do samochodu. John odwiózł ją do Barbary, a ja w tym czasie

dokończyłam pakowanie. Po powrocie powiedział, że matki nie było i Dawn otworzyła sobie drzwi kluczem zostawionym pod wycieraczką. Nie chciał jej zostawiać samej w domu, ale zapewniła, że sobie poradzi, a poza rym zaraz wychodzi. To nas jeszcze bardziej zaniepokoiło, ale od tej chwili nie my byliśmy za nią odpowiedzialni i przez najbliższy tydzień nie musieliśmy żyć w nerwach, że znów coś może zmalować. Nie było innego wyjścia, jak tylko zaufać im obu i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Mimo pewnej ulgi, że chwilowo odpoczniemy od problemów z Dawn - zwłaszcza tych związanych z chodzeniem we śnie, które pewnie by się nasiliło w obcym miejscu - smutno nam było, że z nami niejedzie. Wprawdzie ciągle się coś przez nią działo, jednak stała się częścią naszej rodziny i szczerze się do niej przywiązaliśmy.

- Mam nadzieję, że pojedzie z nami na następne wakacje - powiedziałam, gasząc wieczorem lampkę przy łóżku.

John zgodził się ze mną.

- Będzie już w trakcie terapii, a to jej pomoże.

Domek, który wynajęliśmy, stał przy piaszczystej zatoczce w okolicy Gorran Haven. Wakacje szkolne jeszcze się nie zaczęły i na brzeg przychodziło tylko kilka rodzin z całkiem małymi dziećmi. Adrian buszował w drobnym, złocistym piasku. Szturczał go paluszkami, rozcierał w rączkach, posypywał sobie nim główkę i usiłował brać do buzi. Rączkowanie w jego wykonaniu osiągnęło poziom wyrafinowanej sztuki i nie można go było ani na chwilę spuścić z oka. Był zafascynowany morzem.

Stawaliśmy we troje na brzegu i gdy napływały fale, podnosiliśmy go z Johnem za rączki; krzyczał wtedy głośno z radości. Interesowało go też wszystko, co morze zostawiało na piasku, a więc wodorosty, muszelki, które próbował jeść, oraz bąbelki piany po cofających się falach. Te ostatnie z wielką ochotą przebijał paluszkami.

Pogoda była wspaniała. Po południu i wieczorem spacerowaliśmy nad morzem po obu stronach zatoki oraz zwiedzaliśmy miejscowe zabytki. Pod koniec tygodnia byliśmy opaleni, wypoczęci i bardzo nie chciało się nam pakować i wracać. Dużo rozmawialiśmy o Dawn, zastanawialiśmy się, jak też ona daje sobie radę. Jednocześnie nie spoczywała na nas bezpośrednia odpowiedzialność za nią ani nie dręczyły nas obawy, co tym razem wymyśli. W końcu i tak nie mogliśmy nic zrobić, nawet gdyby coś zbroiła.

W sobotę o wpół do dziesiątej rano byliśmy w drodze powrotnej do domu. Ruch był większy, niż gdy jechaliśmy w tamtą stronę, toteż podróż się przeciągała. Adrian, unieruchomiony w foteliku, zaczął marudzić, więc John na chwilę zatrzymał samochód, a ja przesiadłam się do tyłu, żeby malca czymś zająć; wtedy wreszcie usnął. Dobrze nam było na wakacjach, ale cieszyłam się z powrotu do domu i do własnego łóżka. I pewnie cieszyłabym się znacznie dłużej, gdyby nie włamanie.

Nie od razu zauważyliśmy, że coś się stało. Zamówiona butelka mleka stała na progu, drzwi były zamknięte na klucz, nie było żadnych podejrzanych śladów, żadna szyba nie została wybita. Dopiero gdy weszliśmy do kuchni, nastawić wodę na herbatę, zobaczyliśmy, że szafki są otwarte. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak.

- Na pewno je zamknęłam. - Stwierdziliśmy, że brakuje ciastek, chipsów oraz soku w kartonie. Jednak jeszcze nie do końca to do mnie dotarło, dopóki nie okazało się, że pusta jest miseczka, do której wrzucałam drobne. W tym momencie przeciąg poruszył klapką przy wyjściu dla kota.

- A to co? - zdziwił się John. Otwór z ruchomą klapką został zainstalowany przez poprzedniego właściciela. U nas była zamknięta na głucho, bo nie mieliśmy kota.

Serce zaczęło mi mocno walić. John podszedł do kuchennych drzwi i stwierdził, że są otwarte. Wyszedł na dwór.

- Boczna furtka też jest otwarta. - Wyraźnie się zdenerwował. Wzięłam Adriana na ręce i poszliśmy do salonu. Telewizor był na miejscu, sprzęt grający w pokoju od frontu również. Ale ktoś wyraźnie grzebał w kasetach, ponieważ zamiast leżeć na półce, walały się na podłodze. Trudno było na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy którejś brakuje.

Sprawdziliśmy na górze. Drzwi do wszystkich pokoi były otwarte, a zamykaliśmy je na pewno, chociażby dla bezpieczeństwa pożarowego. Jedyne cenne rzeczy - dwa pierścionki, które odziedziczyłam po babci - znajdowały się w naszej sypialni. Na szczęście nadal leżały w szkatułce z biżuterią. Za to została opróżniona stojąca obok szkatułki skarbonka Adriana, w której mogło być ze trzydzieści funtów. Wrzucaliśmy tam po funcie, z myślą o koncie, które chcieliśmy w przyszłości mu założyć.

W pokoju Dawn drzwi szafy były otwarte. Nie umiałam powiedzieć, czy coś zginęło, ponieważ sama pakowała swoje ubrania, więc nie wiedziałam, co ze sobą wzięła.

- Czy zabrała walkmana? - spytał John.



- Tak. Na pewno. - Na szczęście Dawn nie rozstawała się z walkmanem, więc z pewnością miała go przy sobie.

Trzeci pokój, gdzie miał w przyszłości spać Adrian, wyglądał na nietknięty. Do łazienki i ubikacji też nikt nie wchodził. Ale choć nie zginęło nic cennego, bardzo niemiłe było samo uczucie, że ktoś obcy chodził po domu i dotykał naszych rzeczy. Dodatkową przykrość stanowiło opróżnienie skarbonki; jakby złodziej rozmyślnie okradł małe bezbronne dziecko. Po męczącej, sześciogodzinnej podróży była to naprawdę ostatnia rzecz, jakiej potrzebowaliśmy. Bardzo szybko uczucie odprężenia po tygodniowym wypoczynku wyparowało bez śladu.

John zadzwonił na policję. Potem sprawdziliśmy, czy jeszcze czegoś nie brakuje. Zdziwiło nas, że zabrano jedzenie i picie, a nie wartościowe rzeczy. Po dokładnym sprawdzeniu kuchennych szafek okazało się, że nie ma też butelki whisky. Był to jedyny alkohol w domu, oprócz - nienaruszonej przez włamywaczy - butelki czerwonego wina. Następnie stwierdziliśmy, że brakuje trzech z sześciu kryształowych szklanek do whisky, których używaliśmy, kiedy mieliśmy gości. Zupełnie jakby złodzieje zaopatrzyli się u nas w drodze na imprezę.

Listę tego, co zginęło, daliśmy policjantowi, który się u nas zjawił. Przez całe moje życie ani razu nie było u nas w domu policji, a w ciągu ostatniego pół roku zdarzyło się to aż trzy razy. Był to inny policjant niż ten, który przyszedł w sprawie Dawn. Pomyślałam sobie, że niedługo cały posterunek przewinie się przez nasz salon.

- To zrobili smarkacze - stwierdził, patrząc na spis. - Mają państwo szczęście, że nie pomazali ścian i nie nasikali do łóżka. Potrafią zostawić dużo większy bałagan.

Jakoś nie cieszyliśmy się z takiego „szczęścia”, choć niewątpliwie docenialiśmy, że intruzi (zdaniem policjanta było ich kilku) nie narobili więcej szkód.

- Radzę zlikwidować wejście dla kota - powiedział, gdy tylko wszedł do kuchni. - Tak się dostali.

Z niedowierzaniem spojrzeliśmy na drzwi.

- Przecież jest za małe. Kto tędy przejdzie? - wyraziłam wątpliwości. Nawet Adrian nie wcisnąłby się w tak mały otwór.

- Nie mówię, że weszli tędy - wyjaśnił policjant. - Tylko dzięki tej dziurze. Zaraz zademonstruję.

Wyszedł na zewnątrz, ukląkł i zamknął drzwi. Po chwili w otworze pojawiła się jego ręka. Bez większego trudu udało mu się dosięgnąć zasuwki na dole oraz przekręcić klucz w zamku. Aby nam unaocznic, jakie to proste, kilkakrotnie otworzył i zamknął drzwi.

- Skąd wiedzieli, że tędy da się wejść? - spytał John, kiedy policjant wrócił do kuchni.

- Próbują różnych dróg - odparł. - Włamywacze bardzo lubią wejścia dla kotów, otwarte okna i szczeliny na listy w drzwiach. Na przyszłość lepiej zamykać furtkę na klucz i zlikwidować wejście dla kota. Można go przecież wypuszczać drzwiami.

Nie przyznaliśmy się, że nawet nie mamy kota, gdyż to by nas jeszcze bardziej pogrzyżyło w jego oczach.

- Czy ktoś tu jeszcze mieszka oprócz państwa i dziecka? - spytał policjant.

- Dziewczynka, dla której jesteśmy rodzicami zastępczymi, ma na imię Dawn - odparł John.

- Ile ma lat?

- Trzynaście. - W tym momencie zobaczyłam wyraz twarzy policjanta. - Nie, ona by tego nie zrobiła. Na pewno nie. Nie jest to aniołek, ale bez przesady.

- Rozumiem. Czy zgodzą się państwo, żebym z nią porozmawiał?

- Teraz jej nie ma - wyjaśnił John. - Ponieważ wyjechaliśmy, przeniosła się na kilka dni do matki. Wraca jutro.

- Dobrze. W takim razie jeszcze do państwa zajrzę. Jutro wieczorem mam służbę. Może na samym początku. O siódmej.

Musieliśmy się zgodzić - nie mieliśmy wyboru. Bardzo nie chciałam, żeby Dawn poczuła się dotknięta tą wizytą i odebrała ją jako brak zaufania z naszej strony. Policjant obiecał, że od razu przyniesie zaświadczenie dla agencji ubezpieczeniowej. John podziękował mu i odprowadził go do drzwi.

- Nie zrobiłaby tego - powtórzyłam, kiedy wrócił. - Nie włamałaby się do własnego domu!

- Ona nie - potwierdził John w zamyśleniu. - Ale mogła powiedzieć swoim kolegom spod ciemnej gwiazdy, że dom stoi pusty i że można wykorzystać wejście dla kota, żeby się dostać do środka.

Trudno było zaprzeczyć, że istniała taka możliwość.

John zaparzył herbatę, ja szybko ugotowałam makaron z sosem na kolację. Potem przyszykowałam Adriana do snu. Sprawdziłam pościel w naszym łóżku i w łóżeczku Adriana, żeby się przekonać, czy nikt nie „nasikał”. Była czysta i sucha. Gdy Adrian zasnął, przejrzelśmy pocztę z całego tygodnia, a potem John przybił gwoździem klapkę od kociego wejścia, a ja dokończyłam rozpakowywanie rzeczy. Dochodziła dziesiąta.

Pooglądaliśmy jeszcze trochę telewizję i poszliśmy na górę. Ani razu nie padło imię Dawn, choć cały czas miałam wrażenie, że temat wisi nad nami jak gradowa chmura.

- Na pewno nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałam, kiedy szykowaliśmy się do snu.

- Ona może nie, natomiast jej kolegów nie byłbym taki pewien. Trzeba przyznać, że to dziwny zbieg okoliczności. Ktoś musiał wiedzieć, że wyjechaliśmy i że mamy wejście dla kota. Chyba że to rzeczywiście przypadek. Ale czemu zniknęły ciastka i alkohol, a zostały rzeczy cenne? Kompletnie bez sensu.

Następnego dnia nastawiłam pranie, a John w tym czasie pojechał po Dawn. Miał ją odebrać w południe. Wrócił sam. Został tylko Barbarę, która oświadczyła, że Dawn nie ma, bo nocowała u koleżanki. Średnio zachwycony daremną jazdą, zwrócił jej uwagę, że umawiali się na dwunastą. Barbara nie wiedziała, kiedy Dawn wróci, wyraziła tylko przypuszczenie, że pewnie późnym popołudniem. Okazało się, że Dawn tylko jedną noc spędziła u matki. Na pytanie Johna, jak było z chodzeniem do szkoły, Barbara odpowiedziała, że nie ma pojęcia, czy Dawn się tam zjawiała, czy nie.

Pojechał więc po raz drugi o piątej. Dawn zdążyła już wrócić i trafił w sam środek awantury z Mikiem, który pomógł jej zapakować rzeczy, a raczej wepchnął ją wraz z nimi do samochodu, a kiedy odjeżdżali, wrzasnął:

- I krzyżyk na drogę!

- No i jak było? - spytał John, a potem powiedział jej o włamaniu.

- Ależ to straszne! - wykrzyknęła.

Cieszyła się z powrotu do nas. Ucałowała mnie serdecznie i przytuliła się. Ale kiedy otworzyłam jej walizkę, okazało się, że wszystkie rzeczy są brudne.

- W ogóle nic nie prałaś? - spytałam ze zdziwieniem. - Nawet bielizny?

- Mama nie pozwala mi się dotykać do pralki.

Pomyślałam, że nic by się matce nie stało, gdyby sama zrobiła córce pranie. Nie powiedziałam tego jednak. Miałam większe zmartwienie. Za godzinę powinien przyjść policjant, a ja bardzo nie chciałam urazić Dawn, bo to by mogło źle wpłynąć na nasze relacje.

## *Autobus się popsuł*

**D**obry wieczór, Dawn. - Zgodnie z zapowiedzią policjant przyszedł o siódmej. - Pamiętasz mnie? Coś czułem, że to będziesz ty. Jak się miewasz?

Wymieniliśmy z Johnem spojrzenia. Ciekawe, skąd się znają.

Usiedliśmy w salonie. Uprzedziłam wcześniej Dawn o tej wizycie - powiedziałam, że policja chce porozmawiać o włamaniu z nami w s z y s t k i m i .

- Dobrze - odpowiedziała mu z nieśmiałym uśmiechem.

- Czy państwo Glass powiedzieli ci, dlaczego tu jestem? - Usiadł naprzeciwko niej.

Dawn przytaknęła i znów się uśmiechnęła, ale tym razem odniosłam wrażenie, że się czegoś boi.

- Wiesz, że w zeszłym tygodniu było tu włamanie? - ciągnął.

- J o h n mi powiedział. Ale to nie ja. - Odpowiedź padła tak szybko, że aż się zaniepokoiłam.

- Nie twierdzę, że to ty - odparł spokojnie. - Ale może mogłabyś nam pomóc. Niezbyt przyjemnie tak wrócić z wakacji

i zastać splądrowany dom. To jest też twój dom. Pewnie chciałybyś, żebyśmy ujęli sprawców.

Bardzo dyplomatycznie z nią rozmawiał. Dawn milczała i tylko przyglądała mu się czujnie. My z kolei obserwowaliśmy ją.

- Czy masz klucz do domu? - spytał policjant.

Pokręciła przecząco głową.

- Uznaliśmy że jeszcze do tego nie dorosła - wtrąciłam, bo poczułam, że powinnam uzasadnić naszą decyzję. - A poza tym zawsze tu jestem, kiedy wraca.

- Czy potrzebowałaś czegoś z domu, kiedy państwa Glass nie było?

- Nie! - odparła stanowczo. - Nawet nie byłam w pobliżu. Mieszkałam u mamy.

- Chyba nie cały czas - odparł spokojnie. - Rozmawiałem z twoją mamą. Twierdzi, że rzadko cię widywała przez ostatni tydzień.

Zapadła cisza. Dawn spuściła oczy, a my wymieniliśmy wymowne spojrzenia.

- A twoi znajomi? Ciągłe się widujecie?

- Z niektórymi - odparła Dawn niemal bezgłośnie.

- Z Batesem i pannami Melson też? - spytał unosząc brwi.

- T a k .

Najwyraźniej dobrze się orientował w towarzyskich kontaktach Dawn. Miał przy tym taką minę, jakby nie były powodem do dumy. Patrzył na nią bardzo poważnie.

- To nie jest odpowiednie towarzystwo. Już raz cię wpędzili w kłopoty, pamiętasz?

Dawn nic nie powiedziała.

- Jakie kłopoty? - spytał John.

- Najlepiej niech sama państwu opowie. - Spojrzał na Johna znacząco. Zrozumiałam, że obowiązuje go tajemnica służbowa, podobnie jak Ruth. - Chciałbym wiedzieć, kto tu się włamał - zwrócił się do Dawn. - Może twoi koledzy nam coś niecoś wyjaśnią?

Dawn milczała, wzruszyła tylko ramionami.

- No, dobrze - westchnął. - W takim razie będziemy kontynuować tę rozmowę w komisariacie. A po drodze wstąpimy do Batesów i do Melsonów.

- Nie! - wykrzyknęła, wyraźnie przestraszona. - Nie miałam z tym nic wspólnego!

- Więc kto to zrobił? Mówiłaś im, że dom stoi pusty?

- Nie. - Po chwili dodała: - Chyba nie.

- Dawn... - Policjant zmienił ton na bardziej stanowczy. - Włóczyłaś się z nimi cały tydzień. Pewnie się dziwili, że nagle wolno ci wychodzić z domu wieczorem. Nie wypytywali, co się stało?

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy. W końcu Dawn powiedziała:

- Faktycznie mogłam powiedzieć, że wyjechali.

- Podawałaś im adres?

Zaprzeczyła.

- Wiedzieli, gdzie mieszkasz? - nalegał. - Może kiedyś im mówiłaś?

Kolejna chwila milczenia.

- Nie wiem. Może...

Policjant spojrzał na nas.

- Zapytam ich. Będę tam dzisiaj. Wiem, gdzie się przeważnie kręca.



- Proszę nie mówić, że coś powiedziałam - wtrąciła szybko Dawn.

- To chyba nie są dobrzy przyjaciele, skoro się ich boisz.

- Nie boję się - zaprzeczyła. - Tylko nie chcę wyjść na kapusia.

Policjant wstał, wyjął złożony na pół dokument i podał Johnowi.

- Zaświadczenie dla firmy ubezpieczeniowej.

John podziękował, choć nie mieliśmy zamiaru zgłaszać włamania. Szkody były w sumie niewielkie: złamana klapka przy wejściu dla kota, trzydzieści funtów ze skarbonki Adriana, sok, ciastka i chipsy.

- Do widzenia, Dawn - powiedział policjant. - I uważaj. Masz miły dom i dobrych opiekunów. Trzymaj się z dala od kłopotów.

Kiwnęła głową i się uśmiechnęła. Zostałam z nią, a John poszedł odprowadzić policjanta do drzwi.

- To nie ja - odezwała się poważnym tonem, jak tylko wyszli. - Nie włamałabym się do własnego domu. Po co miałabym to robić.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. - Mogłam się jedynie domyślać. Jeśli rzeczywiście brała w tym udział, zrobili to raczej dla zabawy: pusty dom, łatwo się dostać do środka, a tu alkohol i zakąska. Głupia szczeniacka brawura. Pewnie potem dobrze się bawili, siedząc po ciemku w parku i rozpijając whisky. Dawn raczej nie była prowodyrem, ale też nie potrafiła się im przeciwstawić.

- A co się stało ze szklankami? - Myślałam na głos.

- My... - zaczęła. - Jakimi szklankami? - poprawiła się szybko, co tylko potwierdziło moje przypuszczenia.

- Zginęły trzy szklanki z najlepszego kompletu.

Wzruszyła ramionami i nic więcej nie powiedziała.

John wrócił do salonu i z westchnieniem usiadł na kanapie.

- Ci twoi znajomi to sami chłopcy?

- Nie, są też siostry bliźniaczki. Sandy i Patsy Melson.

John sięgnął po pilota i włączył telewizor.

- Pamiętaj, że jeśli coś ci przyjdzie do głowy, to powiedz nam albo policji. Dobrze?

- Oczywiście - odparła. Na tym zakończyliśmy sprawę, reszta należała do policjantów. Nie chcieliśmy drażnić tematu, żeby nie popsuć sobie relacji z Dawn.

Przez godzinę oglądaliśmy telewizję, potem ona poszła się wykąpać. Kiedy już leżała w łóżku, powiedziałam jej „dobranoc” i przypomniałam, że następnego ranka zaczyna się szkoła. Wyraziłam nadzieję, że będzie chodzić codziennie. Obiecała mi to.

Po tygodniowym odpoczynku nie został nawet ślad. Nie wiele spaliśmy tej nocy, oczywiście przez Dawn. Wprawdzie tym razem nie wstawała z łóżka i nie chodziła po domu, za to ciągle krzyczała przez sen. Na zmianę chodziliśmy ją uspokajać. Za każdym razem siedziała na łóżku i przeżywała na nowo jakiś koszmar.

- To nie ja! - krzyczała. - Uwierzcie mi! Nie zrobiłabym czegoś takiego! Lubię dzieci. Byłam tam, ale tego nie zrobiłam!

Cały czas pogrążona była we śnie i nie zdawała sobie sprawy z naszej obecności.

Wysnuliśmy z tego wniosek, że gryzie ją sumienie, a słowa o dzieciach odczytaliśmy jako potwierdzenie, że pomagała

opróżnić skarbonkę Adriana. Histeryczne zapewnienie: „Byłam tam, ale tego nie zrobiłam” zabrzmiało jak przyznanie się do udziału we włamaniu - zapewne wymuszonego przez tamtych. Teraz pewnie tego żałowała. Stawiało nas to w niezręcznej sytuacji: wiedzieliśmy, że jest winna, choć otwarcie się nie przyznała. Wprawdzie znów mocno zawiedliśmy się na niej, ale zdecydowaliśmy, że nie będziemy informować policji. Nie był to w końcu żaden dowód, a my nie chcieliśmy przysparzać jej jeszcze większych kłopotów.

Po nieprzespanej nocy John poszedł do pracy wykończony. Ja również czułam się nie najlepiej. Długo też trwało, nim dobudziłam Dawn. Jedynie Adrian, który przespał smacznie do rana, był jak zwykle w doskonałym humorze. Dawn serdecznie się z nim przywitała, choć widziała go poprzedniego wieczoru.

- Tęskniłam za nim, jak was nie było. - Poglaskała go pod brodą.

- Trzeba było jechać z nami.

- Wiem. Może i szkoda, że nie pojechałam. Byłoby inaczej.

- Te słowa upewniły mnie w podejrzeniach, że uczestniczyła we włamaniu, a teraz tego żałuje.

Przez cały tydzień zachowywała się bez zarzutu, tak jakby chciała okazać skruchę. Chodziła grzecznie do szkoły, wracała punktualnie, po czym uczyła się do egzaminu na koniec roku. W piątek wieczorem wyszła i wróciła o czasie. W sobotę za to spóźniła się pół godziny i choć nie była pijana, oddech czuć było alkoholem i papierosami. Pouczyliśmy ją o szkodliwości obu używek, mocno podkreślając, że w jej wieku picie i palenie jest sprzeczne z prawem.

Jednak gdy w poniedziałek zadzwoniła Ruth i spytała, czy z Dawn wszystko w porządku, moja zdecydowana odpowiedź brzmiała: tak. Opowiedziałam jej o włamaniu i o tym, że Dawn została przesłuchana przez policję w naszej obecności. Uznałam, że kuratorka powinna o tym wiedzieć. Ruth nie wypowiedziała się, wyraziła tylko zadowolenie z naszego powrotu oraz z tego, że Dawn jest znów u nas i że chodzi do szkoły. Podczas naszej nieobecności tylko raz tam się pojawiła. Ponieważ sekretarce nie udawało się skontaktować z Barbarą, za każdym razem telefonowała do Ruth.

- Nie wiem, czego się po mnie spodziewała - zakończyła kwaśno.

„Pewnie niewiele” - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

Do końca semestru zostały trzy tygodnie, a potem zaczynały się długie wakacje. Na piętnaście dni szkoły Dawn udało się zaliczyć dziesięć. Część egzaminów zdała, ale nie wszystkie. W tym okresie dwa razy wróciła do domu pijana i w jedną sobotę musiałam zgłosić jej zaginięcie, ale ponieważ pojawiła się przed przybyciem policji, odwołałam zgłoszenie. We wszystkie trzy niedziele poszła do matki. Barbarę zastała tylko dwa razy i spędziły wtedy ze sobą zaledwie godzinę.

U nas była miła i posłuszna, ale nadal zupełnie nie miałam pojęcia, co porabia, gdy znajdzie się poza domem. Musieliśmy się z tym pogodzić, co nie było łatwe. Do tego dochodził jeszcze jej somnambulizm. Byliśmy jednak zdecydowani wytrwać - oboje wierzyliśmy, że w którymś momencie nastąpi przełom

i zwrot ku lepszemu. Od policji nie było żadnych wieści na temat włamania. John wstawił nowe tylne drzwi, zamiast demontować drzwiczki dla kota i zabijać dziurę deską.

Czekały nas sześciotygodniowe wakacje. Dawn spytała, czy może wychodzić w ciągu dnia i spotykać się z koleżankami. Niby nie było w tym nic zdrożnego - tak właśnie młodzież spędza lato - ale z drugiej strony zwiększało się ryzyko, że znów wpadnie w tarapaty.

- Z którymi koleżankami chcesz się spotykać? - Znałam jedynie Natashę.

- Z dziewczynami ze szkoły.

- Ale nie z Batesem i bliźniaczkami? - Uświadomiłam sobie, że przybieram takim samym tonem jak tamten policjant.

- Nie - odparła Dawn. - Oni wychodzą tylko wieczorem.

- Jak wampiry?

Zaśmiała się z żartu.

- Dobrze, ale nie codziennie - zastrzegłam. - Chcę, żebyśmy czasem też razem wychodzili. I muszę wiedzieć, z kim się spotykasz i gdzie.

Zgodziła się, ale miała zwyczaj zgadzać się na wszystko, a potem i tak robiła zupełnie co innego.

Pierwszego sierpnia przypominałam jej, że za dwa dni ma umówioną wizytę u psychiatry. Zaproponowałam, że z nią pojedę, bo sąsiadka obiecała zaopiekować się Adrianem, od którego trudno było wymagać, żeby przez godzinę grzecznie siedział w poczekalni.

- Nie rób sobie kłopotu - odparła. - Mogę pojechać sama.

- Żaden kłopot - zapewniłam. - Chętnie cię zawiozę. -  
Przyszło mi do głowy, że może się boi, że wejdę z nią do gabinetu. - Zaczekam, aż wyjdiesz od lekarza. Na pewno będzie ci różniej.

- Nie, naprawdę, poradzę sobie - uparła się. - Wolę pojechać autobusem. Ale bardzo dziękuję.

Nie mogłam jej narzucać swojego towarzystwa. W dniu wizyty jeszcze raz spytałam, czy na pewno nie chce, bym z nią pojechała, i dostałam taką samą odpowiedź. Dałam jej skierowanie oraz pieniądze na autobus i wytłumaczyłam, gdzie dokładnie jest przychodnia przyszpitalna.

- Powodzenia! - zawołałam, stojąc w progu, a Dawn się odwróciła i mi pomachała.

W ogóle się tam nie zgłosiła.

O jedenastej trzydzieści, pół godziny po planowanym rozpoczęciu wizyty, zadzwoniła recepcjonistka i poprosiła panią Jennings do telefonu.

- Nazywam się Glass - odparłam. - I jestem matką zastępczą Dawn.

- A, rozumiem. Dawn miała dziś wyznaczoną wizytę o jedenastej i jeszcze jej nie ma.

- Wyszła z domu pół godziny temu - zdziwiłam się. - Powinna już być. Bardzo przepraszam. Pewnie za moment się zjawi.

Recepcjonistka wyjaśniła, że doktor Gibbons ma o dwunastej następnego pacjenta, ale przyjmie Dawn, choćby na parę minut, jeśli się do tego czasu zgłosi. Podziękowałam jej,

przeprosiłam *raz jeszcze* i poprosiłam, żeby zawiadomiła mnie, kiedy Dawn przyjdzie.

Nie oddzwoniła, więc o dwunastej dziesięć ja zadzwoniłam do niej. Dawn w ogóle nie przyszła. Znów przeprosiłam, tłumaczyłam się, że naprawdę nie rozumiem, co się stało, tym bardziej że wiedziała, jak ważna jest dla niej ta wizyta. Recepcjonistka wykazała dużo cierpliwości, biorąc po uwagę fakt, że przez Dawn lekarz zmarnował godzinę swojej pracy, kiedy to mógł przecież przyjąć innego pacjenta. Spytała mnie, czy chcę się zapisać na inny termin, na który trzeba było czekać trzy miesiące. Doszłam do wniosku, że najpierw porozmawiam z Dawn i zapytam, czy tym razem pójdzie. Inaczej zapisywanie jej nie miało sensu.

Martwiłam się, dokąd poszła, choć nie aż tak, jak przejmowałabym się w przypadku dziecka, które nie ucieka z domu i nie jest już z tego powodu znane policji. Sprawiała mi dużą przykrość, a przede wszystkim rozczarowała, ponieważ bardzo liczyliśmy na to, że terapia stanie się momentem przełomowym. Gdyby wreszcie zaczęła mówić o swoich problemach, znacznie zwiększyłaby szanse na ułożenie sobie życia. Byłam też na nią zła - wzięła ode mnie pieniądze na autobus, choć wcale nie miała zamiaru iść do lekarza. Chyba że rzeczywiście pojawiły się jakieś poważne przeszkody.

- Autobus się zepsuł - oświadczyła, zjawiwszy się w końcu po dwóch godzinach. - Nim przysłali następnego, zrobiło się późno, więc wróciłam do domu piechotą.

Teoretycznie było to możliwe. Autobusy często się psuły na wiejskich drogach, zwłaszcza na tej prowadzącej do szpitala,

która miała stromy spadek. A Dawn mówiła tak szczerze, że prawie jej uwierzyłam.

- Następnym razem zawiozę cię samochodem, żeby mieć pewność, że dotarłaś bezpiecznie - powiedziałam. - Nie będę wchodzić, jeśli nie chcesz.

- Aha, dobrze. - W oczach miała jednak lekki niepokój. - A kiedy to będzie?

- Za trzy miesiące - odparłam, przyglądając się jej uważnie. - Kochanie, to bardzo ważne, żebyś poszła do psychiatry. Ze mną nie rozmawiasz o swoich sprawach, z tego, co wiem, z innymi też nie. Wizyta u lekarza jest poufna. Doktor Gibbons nikomu nie powie... ani mnie, ani twojej mamie, ani Ruth. A ty naprawdę powinnaś opowiedzieć komuś o swoich problemach.

- A co z policją? - Kucnęła obok Adriana. - Jak oni go pytają, co mówiłam?

- Też nie powie.

- Na pewno?

- Tak. Psychiatra jest zobowiązany do zachowania tajemnicy lekarskiej tak samo jak każdy lekarz. To, o czym mówicie, zostaje między wami. — Zawahałam się. — Czy na pewno nie chciałabyś porozmawiać o czymś, co cię niepokoi? W końcu nie bez powodu się kaleczysz, i jeszcze ta próba samobójcza. Może zamiast czekać trzy miesiące, powiedz mi o tym. Ja naprawdę umiem słuchać i na pewno nikomu nie powiem. Obiecuję.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Adriana. Potem powiedziała cicho, nie patrząc na mnie.

- Nie umiem, Cathy. Chyba trzeba zaczekać do wizyty u doktora Gibbonsa.



Teraz miałam pewność, że żaden autobus się nie zepsuł, a Dawn nie poszła na wizytę specjalnie, bo się bała, że policja dowie się czegoś od lekarza. Nie wiedziałam, jaki ciężar dźwiga na swoich barkach, ale bardzo żałowałam, że nie przyszło mi wcześniej do głowy, by jej powiedzieć, że przebieg konsultacji u psychiatry jest poufny. Powinnam też była zawieźć ją tam samochodem. Ale przynajmniej miała do mnie tyle zaufania, by przyznać, że coś ją trapi, i to coś poważnego. Uznałam to za spory postęp, który może zaowocować w przyszłości.

Po południu zadzwoniłam do przychodni i jeszcze raz przeprosiłam. Powiedziałam, że autobus się zepsuł. Zapisałam ją na wizytę dopiero na czwarty listopada.

## Ostatnia deska ratunku

Ustałam z Dawn, że w czasie wakacji oprócz dotychczasowych wyjść w piątkowe i sobotnie wieczory będzie się spotykać we wtorki i w czwartki z koleżankami ze szkoły. Sprytnie usiłowała mi wmówić, że jeśli z koleżankami spotykałaby się w piątek, a nie w czwartek, to zaoszczędzi na bilecie autobusowym, bo wtedy wyjdzie rano i wróci dopiero wieczorem.

- Jeszcze mnie stać na autobus - odparłam. - Nie ma mowy, żeby cię nie było od dziewiątej rano do wpół do dziesiątej wieczorem. Wolę, jak więcej czasu spędzasz z nami. - Naprawdę tak uważałam, a poza tym im krócej przebywała poza domem, tym mniej miała okazji do wpakowania się w kłopoty.

I tak wyglądało nasze codzienne życie w wakacje. Dawn widywała się z koleżankami - podobno szkolnymi, nie z dawnym towarzystwem - we wtorki i czwartki od dziesiątej do czwartej, a poniedziałki, środy i piątki spędzała z Adrianem i ze mną. Często razem gdzieś szłyśmy. Zachowywała się dużo swobodniej w towarzystwie Adriana i moim niż w weekendy, gdy

był z nami John - jeśli nie odrzuciła propozycji wspólnego wyjścia. Nie rozumiałam, dlaczego tak jest, bo poza tym bardzo dobrze dogadywała się z moim mężem. Może czuła się nielojalnie wobec własnego ojca? Trudno powiedzieć. W tygodniu chodziliśmy do muzeów, do parku, na basen, na łyżwy i jeździliśmy za miasto. Podobało się jej; większość tych rzeczy była dla niej nowością. W dzieciństwie nie miała takich atrakcji. Raz zawiozłam ją i Adriana nad morze - wyjechaliśmy o ósmej rano, z prowiantem na cały dzień, i wróciliśmy późnym wieczorem. Była równie szczęśliwa i podekscytowana jak Adrian. Dowiedziałam się ze zdumieniem, że dopiero drugi raz w życiu jest nad morzem, a przecież nasze miasto leżało zaledwie sześćdziesiąt parę kilometrów od wybrzeża. Z tego pierwszego razu zachowała dość mgliste wspomnienie - był to rodzinny wyjazd jeszcze przed rozwodem rodziców.

Piątkowe i sobotnie wieczory wyglądały tak samo jak podczas toku szkolnego. W piątki wracała o wpół do dziesiątej, w soboty później (często pijana). Nie była głupia i doskonale wiedziała, że jeśli się spóźni w piątek, to za karę nie wyjdzie w sobotę. Trudno byłoby stosować jako sankcję zakaz niedzielnych wizyt u matki i w końcu uprzedziłam, że jeśli w sobotę nie wróci na czas (i trzeźwa), nici z wyjścia z koleżankami w następnny wtorek. Poskutkowało na jeden tydzień, ale już w następnym tygodniu zdążyła zapomnieć. Nie chcieliśmy toczyć z nią ciągłej walki, postanowiliśmy zostawić jej pewien margines swobody i przymykaliśmy oko na to, że stale usiłuje przeciągać strunę. Gdybyśmy traktowali ją z większą surowością i zakazywali wychodzenia za każdym razem, gdy złamała reguły, łatwo mogłoby dojść

do otwartego buntu. A tak, zachowując elastyczność i tylko w niewielkim stopniu kontrolując jej zachowanie, osiągnęliśmy tyle, że przynajmniej deklaracyjnie z nami współpracowała.

Podczas wakacji zaobserwowałam dziwną zmianę w jej zachowaniu, jeśli chodzi o Adriana. W ogóle nie mogłam tego zrozumieć. O ile przedtem ciągle się nad nim roztkliwiała i mogła się z nim bawić bez końca (podobnie zachowywała się w stosunku do wszystkich małych dzieci), o tyle teraz nie zbliżała się do niego w ogóle, a wręcz jakby przed nim uciekała. Doszło do tego, że nie tylko się nim nie zajmowała, nie brała na ręce ani nie bawiła się z nim, ale zaczęła go unikać. Malec chodził już całkiem sprawnie i większość czasu biegał po całym domu. Czasem prosiłam, żeby go przypilnowała, kiedy szłam na chwilę do innego pokoju, czy też otworzyć komuś drzwi, albo gdy rozmawiałam przez telefon lub chciałam pójść na górę do toalety. Kiedyś zgodziłaby się chętnie i jeszcze by się z nim pobawiła. Teraz najczęściej mówiła:

- A nie możesz go zabrać ze sobą?
- Przecież ja tylko na chwilę - dziwiłam się.

Gdy tylko wyszłam, Adrian biegł za mną, wyraźnie przez nią namówiony.

- On woli iść do ciebie - mówiła.

Nie chciała brać go na ręce, czy choćby potrzymać za rączkę.

- Mogłabym mu zrobić krzywdę. Jest taki malutki.

To właśnie było najdziwniejsze. Za siedem tygodni Adrian miał skończyć rok, był sporym i silnym chłopcem. Kiedy Dawn się do nas sprowadziła, ciągle chciała go nosić, choć wtedy był o wiele mniejszy i delikatniejszy.

Zapewniałam, że nic mu się nie stanie. Podejrzywałam, że ten nagły brak zaufania do siebie ma coś wspólnego z jego skarbonką. Możliwe, że czuła się winna współuczestnictwa w kradzieży jego oszczędności. Uważała, że z nieczystym sumieniem nie powinna go pieścić i tulić. Choć cały ten incydent z włamaniem był dla nas bardzo przykry, nie chciałam, by się nim zbyt długo dręczyła. I bez tego miała moc problemów. Zależało mi, by zrozumiała, że jej wybaczyłam.

Pewnego słonecznego popołudnia, gdy karmiłyśmy kaczki w parku, zaczęłam rozmowę na ten temat.

- Widzisz, Dawn, wszystkim nam zdarza się popełnić błąd. Później żałujemy i gdyby tylko można było cofnąć czas, zrobilibyśmy to inaczej albo nie zrobilibyśmy wcale. Nikt nie jest idealny. Ale na błędach człowiek się uczy. Trzeba sobie wybaczyć i żyć dalej. Nie ma sensu karanie siebie bez końca.

Milczała i odłamawszy kawałek chleba, z roztargnieniem wrzuciła go do sadzawki. Pomogłam Adrianowi oderwać kawałek od jego kromki i rzucić kaczkom; był tak przejęty, że o mało nie wpadł do wody.

- Ale jak sobie wybaczyć, gdy zrobiło się coś naprawdę złego? - powiedziała cicho, nie patrząc na mnie. - Od tego się nie ucieknie.

- Wiem, że to trudne. Ogarniają cię wyrzuty sumienia. Zła jesteś na siebie za to, co zrobiłaś. Ale w końcu musisz sobie wybaczyć. Inaczej zniszczy cię poczucie winy, będziesz nieszczęśliwa, możesz nawet wpaść w depresję.

Znów zapadło milczenie.

- Nawet jeśli to było coś wyjątkowo podłego? - spytała. - Takiego, że każdy, kto by się o tym dowiedział, zniechęciłby

mnie? - Patrzyła na chleb trzymany w ręku, ale nie odrywała następnego kawałka.

- Tak, nawet wtedy - odparłam z pełnym przekonaniem. - Ale nie wierzę, byś mogła zrobić coś aż tak złego. Teraz tak ci się tylko wydaje. W twoim wieku to normalne.

- To było coś bardzo złego. - Nadal na mnie nie patrzyła. - Nie przysłoby wam to nawet do głowy, bo wy jesteście dobrzy i niczego takiego byście nie zrobili.

W czymkolwiek Dawn zawiniła, na pewno nie było warte takiego rozdrapywania duszy. U dzieci i nastolatków lęki i inne emocje narastają lawinowo, a wtedy łatwo jest stracić właściwą perspektywę.

- Wiesz, mnie też się zdarzało mówić i robić rzeczy, które wtedy wydawały mi się straszne i niewybaczalne.

- Ale nie rzeczy podłe - upierała się.

- Jestem pewna, że nie zrobiłaś nic podłego.

W milczeniu oderwała kolejny kawałek chleba i rzuciła kaczkom.

Liczyłam na to, że skoro już raz poruszyliśmy ten temat, w którymś momencie sama do niego wróci i powie mi, co budzi w niej taki niepokój. Ale tak się nie stało. Do Adriana nadal odnosiła się wręcz chłodno, jakby narzucony przez nią dystans miał go przed czymś chronić.

John również zauważył zmianę w jej zachowaniu i uważał, podobnie jak ja, że przyczyną jest splądrowanie skarbonki. Ale dostrzegł też pewne dobre strony.

- Jeśli nieczyste sumienie powstrzyma ją przed dalszymi wybrykami, tym lepiej - powiedział.

Jednak nie powstrzymało. W czasie wakacji policjanci trzykrotnie przyprowadzali ją do domu w stanie upojenia alkoholowego. Za każdym razem zgarniano ją pod niesławny pubem Queen's Head, gdy kibicowała bójce. A nieczyste sumienie przejawiało się głównie w ten sposób, że znów chodziła w nocy, często powtarzając na głos, że jest zła i podła.

\* \* \*

Szkoła zaczęła się czwartego września, Dawn nadal chadzała tam nieregularnie. Tylko przez pierwszy tydzień miała stuprocentową frekwencję, co nie było specjalnym wyczynem, bo zaczynała od czwartku. W następnym tygodniu zaliczyła cztery dni.

Kiedy we wtorek sekretarka zadzwoniła z informacją, że Dawn nie przyszła, przywitała się ze mną jak ze starą znajomą.

- Witam, pani Glass. Jak się udały wakacje? - I dopiero wtedy powiedziała, że Dawn nie ma w szkole. Poprosiła też, żebym podpisała i odesłała oświadczenie, że widziałam świadectwo na koniec roku.

- Obawiam się, że nie dotarło do mnie. Spytam Dawn.

- Pewnie wylądowało w koszu na śmieci - powiedziała ze śmiechem. - Nie tylko zresztą w jej przypadku. Nic nie szkodzi, przyślę pocztą kopię.

Podziękowałam jej i się pożegnałyśmy.

Kiedy za piętnaście czwarta Dawn wróciła, spytałam ją o to świadectwo.

- Zgubiłam w autobusie - przyznała. - I tak nie było najlepsze.

- Ale i tak chciałabym je zobaczyć. A poza tym miałam coś podpisać.

- Przepraszam, to więcej się nie powtórzy.
  - Na szczęście sekretarka przysłała mi kopię.
  - O! - wykrzyknęła.
  - No właśnie: o! - Urwałam i spojrzałam na nią poważnie.
- Jesteś całkiem mądrą dziewczynką, czemu więc nie chcesz się uczyć? Gdzie byłaś dzisiaj?

Jak zawsze wzruszyła ramionami i dała zwykłą odpowiedź:

- Chodziłam trochę tu, trochę tam. Jakoś odrzucało mnie od szkoły. - Pomyślałam sobie, że gdybym unikała wszystkiego, co mnie odrzuca, to w szafach nie byłoby czystych, wyprasowanych ubrań i nie mielibyśmy co jeść. Ale ja nie byłam trzynastolatką z problemami.

Zapowiedziałam, że jeśli jeszcze raz opuści szkołę, to w piątek nigdzie nie wyjdzie. Chodziła grzecznie do końca tygodnia.

Dwa tygodnie po rozpoczęciu semestru nasiliło się chodzenie we śnie, i to bez żadnego widocznego powodu. Na siedem nocy cztery mieliśmy nieprzespane. Raz ją zastaliśmy w kuchni nad otwartą szufladą ze sztucami. Trzymała nóż, przyciskając ostrze do skóry. John go jej odebrał, po czym obejrzelśmy rękę. Nie pokrwawiła się, bo na szczęście wzięła nóż do ryb, który nie jest ostry. Na skórze został jedynie słaby ślad, który szybko zniknął.

Następnego dnia John kupił kolejny zamek i kiedy Dawn się kąpała, założył go w drzwiach od kuchni. Przed pójściem spać zamknęliśmy kuchnię, a klucz wzięliśmy ze sobą.

Nad ranem obudził nas odgłos dobijania się do kuchennych drzwi.



Zbiegliśmy po schodach. Myślałam, że spróbuję jej wmówić, że właśnie robi to, co chciała zrobić - tak jak sugerowano w książkach i jak już wcześniej próbowałam. Ale okazało się to niemożliwe. Ciężkim od snu głosem Dawn wolno oznajmiła: „Chcę się pociąć”. Nie mogłam przecież powiedzieć: „W porządku, Dawn, właśnie się pocięłaś, krew już kapie, a teraz idź do siebie”. Usпоkoіłam ją tylko: „Już dobrze, kochanie. Nie ma się czego bać. Wracaj do łóżka”. Zaprowadziliśmy ją na górę. Spała do rana, póki nie obudziłam jej do szkoły.

Dwunastego października Adrian obchodził swoje pierwsze urodziny. Urządziłam małe przyjęcie, na które zaprosiłam moich rodziców, brata, paru przyjaciół z dziećmi w podobnym wieku oraz naszą sąsiadkę Sue. Odbywało się w niedzielę. Dawn najpierw była z nami, a o szóstej pojechała do matki. Sporo mi pomagała, częstowała gości kanapkami, dolewała do szklanek, ale cały czas trzymała się z dala od Adriana. Nawet urodzinowy prezent położyła mu na kolanach, a gdy wszyscy patrzyliśmy, jak malec go rozpakowuje, uciekła w kąt pokoju. Kiedy John robił wspólne zdjęcia, z początku w ogóle nie chciała się z nami sfotografować. W końcu, po długich namowach, zgodziła się, ale ustawiła się z dala od Adriana.

Moja mama też zauważyła zmianę w jej zachowaniu i spytała mnie cicho w kuchni:

- Co się dzieje z Dawn? Kiedyś nie dawała się od niego odgonić. A teraz ucieka, jakby się go bała.

Potwierdziłam i przyznałam, że nie wiem, co się dzieje. Mówiliśmy rodzicom o włamaniu, ale nie o podejrzeniach co do współudziału Dawn, bo nie chcieliśmy ich martwić. Zaczęłam

mieć jednak wątpliwości, czy powodem jej dystansu do małego rzeczywiście była kradzież pieniędzy ze skarbonki. Od tamtej pory minęły cztery miesiące i byłoby to naprawdę dziwne i przerażające, gdyby tak długo karała siebie za stosunkowo niewielkie przewinienie. Ale co innego mogło być przyczyną? Nic nie przychodziło mi do głowy, a Dawn najwyraźniej nie zamierzała mi tego powiedzieć, choć kilka razy usiłowałam wyciągnąć ją na rozmowę i dowiedzieć się, co myśli i czuje.

Pod koniec października odżyły nadzieje na pomyślny obrót spraw, jakiego się spodziewaliśmy po wizycie u psychiatry na początku listopada.

W tym dniu zwolniłam Dawn ze szkoły - nie protestowała - i na trzynastą trzydzieści zawiozłam do szpitala. Rano raz jeszcze spytałam, czy mam zaczekać pod gabinetem, ale nie chciała. Podwiozłam ją więc pod główne wejście i odjechałam dopiero, gdy weszła do środka. Wróciłam do domu i po półgodzinie pojechałam po nią. Adrian był ze mną w samochodzie. Czekałam na parkingu. Kiedy nas zobaczyła, pomachała do mnie i uśmiechnęła się, co wzięłam za dobry znak.

- No i jak? W porządku? - spytałam z nadzieją,

- Nie chcę tu więcej przychodzić - odparła bez owijania w bawełnę. A więc przepadło, straciliśmy ostatnią szansę. - Jeśli zmienię zdanie, to mam zadzwonić i zapisać się na wizytę. Doktor kazał mi się jeszcze namyślić. Obiecałam, że się zastanowię.

Musiałam się z tym pogodzić.

Choć miała tylko trzynaście lat i trafiła do psychiatry po próbie samobójczej, do niej należała decyzja, czy podejmie dalszą

terapię. Ja ze swej strony nie mogłam nic więcej zrobić, żeby ją przekonać. Wywieranie nacisku mogło odnieść wręcz przeciwny skutek i utwierdzić ją w postanowieniu, żeby nie iść.

Następnego dnia był piąty listopada, Święto Prochowe\*. Adrian był jeszcze za mały na pokaz sztucznych ogni, mógłby się przestraszyć huków i oślepiających błysków. Za to Dawn chciała to zobaczyć. Pokaz odbywał się w parku, piętnaście minut piechotą od naszego domu. Wstęp kosztował cztery funty. Dałam jej te pieniądze, dołożyłam też na hamburgera i coś do picia. Odprowadziłam ją do drzwi, życzyłam dobrej zabawy i przypomniałam, żeby była w domu najpóźniej o wpół do dziesiątej. Pokaz miał skończyć się o dziewiątej.

Dawn wróciła wcześniej, już za piętnaście dziewiąta - za to radiowozem. Przywieźli ją ci sami funkcjonariusze co ostatnio. Wraz z dwoma kolegami została zatrzymana za chuligańskie wybryki na ulicy przy parku. Wrzucali zapalone fajerwerki do pojemników na śmieci i przyglądali się, jak pokrywy strzelają w górę. Przeprosiliśmy policjantów, a po ich wyjściu daliśmy jej solidną reprimendę. Tłumaczyliśmy też, jak niebezpieczne jest niewłaściwe obchodzenie się z fajerwerkami. Okazało się, że kupiła je za pieniądze, które dostała ode mnie. Bardzo przepraszała za to, że znów się na niej zawiedliśmy. Czyli wszystko było jak zwykle. Przeprosiny zostały przyjęte, ale zabroniliśmy jej wyjść w sobotę, co przyjęła bez słowa protestu.

\* Rocznicą wykrycia spisku z 1605 r., mającego na celu wysadzenie w powietrze brytyjskiego parlamentu. Odbywają się wtedy pokazy fajerwerków; w ogrodach rozpala się ogniska (przyp. tłum.).

Męczące były te ciągle z nią korowody. W dodatku nie podtrzymywała już nas na duchu perspektywa wizyty u psychiatry. Ale wciąż wierzyliśmy że kiedy się rzeczywiście przekonają, iż jesteśmy po jej stronie, przestanie się wreszcie buntować, pogodzi z bolesnymi przeżyciami z przeszłości i uporządkuje swoje życie.

Zbliżało się Boże Narodzenie, wyczekiwane przeze mnie niecierpliwie z wielu powodów. Przede wszystkim czekały nas pierwsze świadomie przeżyte święta Adriana. Podczas ubiegłorocznych miał zaledwie dziesięć tygodni, więc nie mógł nic pamiętać. W duchu też liczyłam na to, że rodzinna gwiazdka spodoba się Dawn. Z tego, co mówiła, wynikało, że tak jak w przypadku wyjazdu nad morze, ostatnie prawdziwe Boże Narodzenie spędzała przed rozwodem rodziców, czyli zanim skończyła pięć lat.

Niestety, już na początku grudnia, gdy dopiero zaczynała się przedświąteczna gorączka, kres moim nadziejom położył telefon od Ruth.

Matka życzy sobie, żeby Dawn spędziła z nią święta - poinformowała na wstępie. - Od Wigilii do pierwszego stycznia.

## Święta przed świętami



ak to? - spytałam zszokowana. - Dlaczego?

- Mike wyjechał, a ona nie chce być sama w Boże Narodzenie i Nowy Rok - wyjaśniła Ruth.

Niechęć do spędzania świąt w samotności była całkiem zrozumiała, niemniej przeżyłam bolesne rozczarowanie. Boże Narodzenie to święta rodzinne, a w moim odczuciu Dawn należała do naszej rodziny. Musiałam jednak uszanować to, że Barbara miała prawo żądać, by córka była z nią.

- Proszę spytać Dawn, co woli - zaproponowała Ruth. - Jeśli wybierze święta u państwa, powiem matce, że odwiedzi ją tylko w pierwszy dzień.

To znacznie ograniczało moje rozległe plany, zamierzałam bowiem urządzać dla Dawn najprawdziwsze święta, Ale i tak krótsze święta były lepsze niż żadne.

- A co z ojcem? - spytałam. - Czy do niego też pojedzie?

- Nie. Ojciec spędza święta ze swoją partnerką i z dzieckiem.

- No, dobrze - westchnęłam smutno. - Porozmawiam z Dawn.

Kiedy jej powiedziałam, że matka chce ją wziąć na święta, była wyraźnie rozdarta między lojalnością wobec matki a chęcią bycia z nami.

- Wiesz, co? - Postanowiłam jej pomóc. - To twoja mama i jeśli uważasz, że powinnaś spędzić z nią święta, to urządzę ci u nas gwiazdkę wcześniej.

- Naprawdę? - wykrzyknęła z wyraźną ulgą. - I nie będzie ci przykro, jak do niej pojedę?

- Będzie mi przykro, ponieważ nie będzie cię z nami, ale doskonale cię rozumiem, kochanie.

- Dzięki, Cathy, jesteś super! - Zarzuciła mi ramiona na szyję i wycisnęła na policzku siarczystego całusa.

Tak zrobiliśmy. W weekend przed świętami urządziliśmy mini-Boże Narodzenie. Zaczęły się już ferie, choinka była ubrana i sobotni wieczór (dwudziestego pierwszego grudnia), zamiast włączyć się nie wiadomo gdzie i rozrabiać, Dawn spędziła w domu. Na poręczy łóżka powiesiła przygotowaną powłoczkę. Gdy zasnęła, zabrałam powłoczkę i po cichutku, starając się nie obudzić Adriana, włożyłam do niej prezenty, które trzymałam schowane w szafie. Wypełnioną po brzegi oparłam o łóżko, tak żeby Dawn się o nią nie przewróciła, jeśli wstanie we śnie.

Tej nocy spała spokojnie, a rano nie musiałam jej budzić. Już za piętnaście siódma, kiedy Adrian zaczął się kręcić, usłyszeliśmy radosny okrzyk.

- Cathy! John! Chodźcie prędko i popatrzcie! Był święty Mikołaj.

Uśmiechaliśmy się do siebie porozumiewawczo, wkładając szlafroki. Zabraliśmy Adriana i poszliśmy do pokoju Dawn.

Już nie wierzyła w świętego Mikołaja, ale mimo to całą sobą chłonęła magię świąt i cieszyła się jak dziecko. Jej twarz jaśniała radością i szczerym zachwytem. Każdą paczkę najpierw dokładnie ze wszystkich stron oglądała, by przedłużyć moment rozkosznego wyczekiwania na to, co też może być w środku, po czym powoli odwijala papier. Podobnie jak dla wielu dzieci (i dorosłych), rozpakowywanie było dla niej równie ekscytujące jak sam podarek.

Przysiadłam na łóżku, John stał z boku z Adrianem na rękę, i oboje przyglądaliśmy się jej z uśmiechem. W większości nie były to rzeczy drogie, raczej drobiazgi, ale kupiłam jej również zegarek oraz dżinsową koszulę i dżinsową torbę na ramię, o jakich marzyła. Poza tym dostała kasety do walkmana, czekoladki, płyn do kąpeli, album na zdjęcia i bransoletkę, której się zupełnie nie spodziewała. To był wzruszający widok, gdy wielkimi z zachwytu oczami wpatrywała się najpierw w zapakowany, a potem odpakowany prezent, po czym kładła go na łóżku delikatnie, jakby nie wierzyła własnemu szczęściu. Co chwila nam dziękowała, powtarzała, że ma niesamowity fart, i dziwiła się, skąd ten święty Mikołaj wiedział, o czym ona marzy. Kochana, słodka, niewinna Dawn! W tym momencie gotowa byłam wiele jej wybaczyć i żalowałam bardzo, że nie trafiła do mnie pięć lat wcześniej, bo wtedy wszystko mogłoby wyglądać całkiem inaczej.

Kiedy poszewka została opróżniona i wszystko rozpakowane, wniebowzięta Dawn usiadła na łóżku i dumnie spojrzała na otaczające ją prezenty. Spytałam, czy mogę jej zrobić zdjęcie do naszych albumów - mojego i jej. Zgodziła się. Przyniosłam aparat i gdy spojrzałam na nią przez obiektyw, uśmiechnęła się

tak radośnie, że zapragnęłam, by taki właśnie jej obraz pozostał na zawsze w mojej pamięci.

- Wesołych świąt, kochanie - powiedziałam i pstryknęłam zdjęcie.

- Wesołych świąt - odpowiedziała i zaśmiałyśmy się porozumiewawczo. Reszta świata musiała czekać jeszcze trzy dni na Boże Narodzenie.

Ubraliśmy się, zrobiłam śniadanie na ciepło. Potem przeszliśmy do salonu, gdzie pod choinką czekało więcej prezentów. A kiedy byłam w kuchni, doszły trzy nowe, o których dotąd nie miałam pojęcia.

- Wygląda na to, że święty Mikołaj również tu zajrzał - zauważyłam.

Dawn się uśmiechnęła.

- Wesołych świąt i dziękuję za wszystko. To drobiazgi, ale mam nadzieję, że się wam spodobają.

- Kochana z ciebie dziewczyna. Na pewno będą świetne. Dziękujemy, skarbie.

John podał Adrianowi prezent od Dawn. Zrobiłam zdjęcie, kiedy mały go otwierał. Nie usiadła obok i nie pomagała mu, jak zrobiłaby to dawniej, ale też nie uciekała od niego aż tak wyraźnie. Adrian w końcu uporał się z papierem i pokazał się pluszak.

- To panda - powiedziała Dawn. - Podoba ci się?

Roześmiany malec pokiwał główką.

- Kuję - powiedział, ocierając policzek o miękką zabawkę.

- Bardzo mu się podoba - zapewniłam, a ona się rozpromieniła.

Teraz my rozpakowaliśmy nasze prezenty - ja dostałam perfumy, a John wodę po goleniu.



- Bardzo jesteś kochana. - Podeszłam i ucałowałam ją. -  
Dziękujemy, skarbie. Będziemy ślicznie pachnieć.

John też jej podziękował.

- Mam nadzieję, że się nie gniewacie - odezwała się niesmiało. - Ale kupiłam je za pieniądze, które dostałam na ubranie.

- Oczywiście, że się nie gniewamy, kochanie - odparłam.  
- To naprawdę ładnie z twojej strony, a poza tym dużo lepiej wydać na to niż na piwo.

Rzuciła mi spod oka spojrzenie, jakby nie była pewna, czy to rzeczywiście żart. Gdy się upewniła, że tak, zaśmiała się.

Po choinką były też prezenty od moich rodziców, brata, od naszej sąsiadki Sue i mojej przyjaciółki Pat, która kilka razy spotkała Dawn u nas. Adrian nie rozumiał, dlaczego nie może ich rozpakowywać - w wieku czternastu miesięcy trudno mu było pojąć koncepcję wcześniejszych świąt dla Dawn. Zabawialiśmy go kolorowymi papierami, podczas gdy ona znów cieszyła się jak dziecko. Dostała jeszcze zestaw kosmetyków do makiżażu w ładnym etui, komplet powieści dla nastolatków, talon do sklepu z płytami, a od moich rodziców džinsową spódnicę, którą ja wybrałam, żeby pasowała do koszuli i torby od świętego Mikołaja. Dawn zapowiedziała, że podziękuje wszystkim przy najbliższej okazji, czyli dopiero w nowym roku. Inne prezenty (dla Johna, Adriana, dla mnie i naszych świątecznych gości) miały czekać pod choinką do dwudziestego piątego grudnia.

Potem graliśmy w gry, tak samo, jak byśmy to robili w pierwszy dzień świąt. Od czasu do czasu zaglądałam do piekącego się w kuchni kurczaka. Później nastawiłam warzywa, a John i Dawn nakryli do stołu.

O drugiej, w obowiązkowych papierowych czapeczkach, zasiedliśmy do stołu nakrytego świątecznym obrusem i z trzaskiem otwieraliśmy tradycyjne crackery, z drobiazgiem-niespodzianką w środku. Następnie zabraliśmy się za świąteczny obiad z wszystkimi klasycznymi dodatkami – był faszerowany kurczak, pieczone ziemniaki i pasternak, marchewka, groszek, kukurydza oraz zawieszisty sos. Nastawiliśmy świąteczne melodie, a John opowiadał, jak w dzieciństwie spędzał święta w Norwegii, gdzie pracował jego tata. Czapeczka Adriana, za duża na niego, zsuwała mu się coraz bardziej na nos, aż wreszcie zasłoniła buzię i nie mógł jeść. Zdjęłam ją wtedy. Siedział w swoim wysokim krzeselku i całkiem samodzielnie wypychał jedzenie do buzi małym widelczykiem, tylko trochę pomagając sobie palcami. Nie podaliśmy jedynie wina, uznawszy, że nie należy dawać Dawn takiego przykładu, a zresztą i tak była za młoda, żeby pić alkohol.

Po głównym daniu przeszliśmy znów do salonu, by odpocząć trochę od jedzenia. Mały zasnął na kanapie, a my najpierw graliśmy w karty, a potem w cluedo i Dawn wygrała. Adrian obudził się, gdy dawałam jej czekoladkę z choinki jako nagrodę, i musiałam jedną dać też jemu.

Była niedziela. Dawn uprzedziła matkę, że wieczorem nie przyjdzie, ponieważ i tak miała zostać u niej przez tydzień. Dzięki temu spędziła z nami cały weekend od wieczornego powrotu do domu w piątek. Nie był to wprawdzie zwykły weekend, tylko specjalny, ale Dawn tak się odprężyła w serdecznej domowej atmosferze, że żałowałam, iż nie mogę częściej ograniczać jej wychodzenia oraz kontaktów z towarzystwem, które moim zdaniem było główną przyczyną jej kłopotów.

Na podwieczorek zjedliśmy kanapki z kurczakiem, a po położeniu Adriana spać zabraliśmy się wszyscy troje za zmywanie. Aż trudno było uwierzyć, ile naczyń zabrudziły zaledwie cztery osoby. W kuchni było ciepło i przytulnie. John zmywał, Dawn wycierała, a ja odkładałam na miejsce garnki, patelnie, sztucce i talerze - panowała iście rodzinna atmosfera, która wyraźniej jej służyła. Pomyślałam sobie, że w przyszłości koniecznie trzeba coś takiego powtórzyć.

Po sprząnięciu kuchni wróciliśmy do salonu, każdy z filiżanką herbaty i kawałkiem świątecznego ciasta - specjalnie kupiłam na ten dzień małe ciasto; większe wraz z bożonarodzeniowym puddingiem czekało w szafce na pierwszy dzień świąt, kiedy miało przyjść do nas jedenaście osób.

Na koniec Dawn podziękowała nam gorąco.

- Było świetnie! - Serdecznie ucałowała nas oboje. - To najpiękniejsze święta w moim życiu!

Zrobiło mi się ciepło na sercu. Aż żal brał, że dotąd nie miała tego, co inne dzieci. Adriana co roku czekało prawdziwe Boże Narodzenie; radość ta powinna być trwale wpisana w czas dzieciństwa.

Gdy poszłam powiedzieć Dawn dobranoc, okazało się, że prezenty ułożyła na podłodze, by na nie patrzeć z łóżka.

- Dobranoc, kochanie — powiedziałam. - I wesołych Świąt.

- Wesołych Świąt i dziękuję za przepiękny dzień. Teraz łatwiej zniosę te prawdziwe.

- Tak trudno ci było? - spytałam ostrożnie, siadając na skraju łóżka.

Pokiwała głową i spochmurniała.

- Nie chcę o rym myśleć, bo zrobi mi się smutno. Teraz jest mi dobrze i niech ta chwila trwa i trwa. - Zarzucała mi obie ręce na szyję i mocno się przytuliła.

W Wigilię rano John odwiózł Dawn do marki. Barbara czekała na nią i nawet szczerze się ucieszyła - może dlatego, że Mike wyjechał. Tak przynajmniej uważał John. Życzyła mu wesołych Świąt i powiedziała, że może odebrać Dawn o dowolnej porze pierwszego stycznia, byle nie za wcześnie, bo razem będą witać Nowy Rok.

Bez Dawn dom był dziwnie cichy i pusty. Zająłem się teraz przygotowaniami do naszego drugiego Bożego Narodzenia - trzeba było jeszcze odebrać zamówionego wcześniej indyka, kupić świeże warzywa. Żeby nie patrzeć na puste łóżko, zamknęłam drzwi od jej pokoju. Adrian też za nią tęsknił. Ciągłe powtarzał: „Daw? Daw?“, biegał i szukał jej wszędzie. Choć w ciągu ostatnich pięciu miesięcy nie zajmowała się nim wcale, stanowiła część jego świata i to nagłe zniknięcie było dla malca zupełnie niezrozumiałe.

- Dawn niebawem wróci - pocieszałam jego i siebie.

Nasze Boże Narodzenie przebiegło zgodnie z planem. Rano w pierwszy dzień Świąt przyszli moi rodzice, brat, starsza samotna ciocia oraz brat Johna z rodziną. Najpierw podałam drinki i świąteczne babeczki. Złożyliśmy sobie życzenia i wręczyliśmy prezenty, podczas gdy indyk dochodził w piekarniku. Po obfitym obiedzie graliśmy w różne dziecięce gry: kalambury, sardynki, głuchy telefon. Bawiliśmy się doskonale i w miarę upływu czasu coraz głośniej.

Tego dnia wiele myślałam o Dawn. Bardzo chciałam, żeby święta z matką spędziła jak najprzyjemniej. Nasi goście wyszli dopiero po północy, ale warto było posiedzieć dłużej, tak było miło. Podczas tej pierwszej gwiazdki Adriana zrobiliśmy aż dwie rolki zdjęć.

Między świętami a Nowym Rokiem John wziął tydzień wolnego i głównie udzielaliśmy się towarzysko - spotykaliśmy się z rodziną i przyjaciółmi, na co w ciągu roku normalnie nie było czasu. Przyjęliśmy też zaproszenie na zaimprovizowanego sylwestra u Sue. Było nas około dwudziestu osób, przeważnie z dziećmi, czasem całkiem małymi, które sukcesywnie odnosiliśmy na górę do sypialni, gdy nie wytrzymały ze zmęczenia. Dorośli wraz ze starszymi dziećmi powitali Nowy Rok sztucznymi ogniami i głośnym odśpiewaniem tradycyjnej pieśni Auld Lang Syne. Zaraz po pierwszej zabrałam śpiącego synka, podziękowaliśmy Sue, pożegnaliśmy się i poszliśmy do domu, odprowadzani gromkimi okrzykami „Szczęśliwego Nowego Roku” niosącymi się przez całą ulicę.

Szybko położyłam Adriana. Byłam zmęczona, ale zadowolona. Poszliśmy spać, już ósmą noc z rzędu bez zamykania drzwi sypialni na klucz. Liczyliśmy na to, że się porządnie wyśpimy.

Jednak nie dane nam było pospać długo.

Tuż po piątej obudził nas dzwonek do drzwi. Narzuciliśmy śpiesznie szlafroki i zeszlismy na dół, zastanawiając się, co też takiego mogło się stać. Na progu czekała Dawn z walizką. Towarzyszył jej policjant.

- W Nowy Rok! - wykrzyknął John ze zdumieniem.

- Mnie pan to mówi? - odparł policjant sucho. - Czy ta młoda osoba mieszka u państwa?

- Tak - potwierdziłam. - Wejdz, Dawn. Co się stało?

Dziewczynka była wyraźnie bardzo zmęczona i w dodatku pod wpływem alkoholu. John wniósł jej walizkę.

- Co się stało? - powtórzyłam pytanie, spoglądając to na policjanta, to na Dawn, która od razu ruszyła na górę.

- Muszę się położyć - oświadczyła.

Spojrzałam pytająco na policjanta.

- Godzinę temu zadzwoniła matka i zapowiedziała, że ją wyrzuci z domu. Dużo wypily i pokłóciły się. Pewnie mała powie państwu coś więcej, jak się wyśpi. Muszę iść. Ciężka noc, a to nie koniec.

- I nic więcej nie potrafi nam pan powiedzieć?

- Przykro mi. Sam wiem tylko tyle.

Podziękowaliśmy mu i wrócił do czekającego radiowozu.

- Szczęśliwego Nowego Roku - mruknął John ironicznie, zamykając drzwi.

Poszłam na górę. Dawn rzuciła płaszcz na podłogę i położyła się na łóżku w ubraniu i w butach.

- Bardzo chce mi się spać - wymamrotała i natychmiast zamknęła oczy.

Wypytywanie o cokolwiek nie miało najmniejszego sensu. Zdjęłam jej tylko buty, nakryłam kołdrą i wyszłam, zostawiając drzwi lekko uchylone.

Niezły finał Bożego Narodzenia, myślałam sobie, leżąc w łóżku i patrząc w sufit. I co za początek nowego roku! Strasznie żal mi było Dawn. Wyszła od nas szczęśliwa, promieniejąca magią świąt, a wróciła pijana, po kłótni z matką.

## *A teraz dlaczego?*

**P**ierwszego stycznia Dawn przespała prawie cały dzień. Wstała dopiero wieczorem na kolację, po czym od razu wzięła prysznic i wróciła do łóżka. Zaproponowałam, żebyśmy porozmawiały, ale nie chciała. Spytałam ją, jak spędziła święta i co jeszcze dostała, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Było okej - stwierdziła lakonicznie.

Widać było jak na dłoni, że przeżyła kolejne rozczarowanie. A tak się cieszyłam, że dzięki świętom urządzonym specjalnie dla niej będzie miała miłe wspomnienia! Przez awanturę z matką cały trud poszedł na marne. Pocieszałam się, że zaczął się nowy rok i trzeba przyjąć pozytywne nastawienie. Nie oglądać się za siebie, tylko żyć dalej.

Wyciągnęłam Dawn na styczniowe wyprzedaje. Zazwyczaj nie potrzebowała specjalnej zachęty, żeby pochodzić po sklepach, a teraz, nawet w jej ulubionych, cały czas była zamknięta w sobie i zgaszona. Niemal siłą musiałam ją zmuszać do przymierzania ubrań. Niewiele mówiła, unikała mego wzroku i trzymała się

z dala ode mnie. Taki sam dystans utrzymywała po powrocie do domu i przez następne dwa dni. Miałam wrażenie, że ucieka ode mnie, tak jak poprzednio od Adriana, i zupełnie nie mogłam zrozumieć dlaczego. Na wszelkie pytania czy aluzje reagowała wzruszeniem ramion albo zdawkowym kiwnięciem głową. To było do niej niepodobne. Kiedyś, nawet jak narozrabiała, szybko wracała do dawnej siebie i stawała się na powrót miłą i rozmowną dziewczynką. Rozumiałam doskonale, że tydzień spędzony u matki okazał się totalną katastrofą, ale przecież nie mogła mnie za to winić.

- Czy wszystko jest w porządku? - spytałam nazajutrz przy śniadaniu. - Odkąd wróciłaś od mamy, jesteś taka cicha.

Wzruszyła ramionami.

- Raczej tak.

- Może chciałabyś o czymś porozmawiać? - Po raz kolejny zadałam to pytanie.

Pokręciła przecząco głową.

- N i e .

- Szóstego stycznia są twoje urodziny. - Pomyślałam, że może w ten sposób wyrwę ją z apatii. - Już za trzy dni. Jak chcesz je uczcić? To twoje święto, więc ty decydujesz.

Wzruszyła ramionami,

- Wszystko jedno.

- Moglibyśmy gdzieś razem wyjść albo zamówić jedzenie na wynos. - Nie zraziłam się tak łatwo. - Na przykład chińszczyznę, którą tak lubisz. A w weekend, jak będzie więcej czasu, możesz zaprosić przyjaciół i urządzimy małe przyjęcie.

- Wszystko mi jedno - powtórzyła, nadal bez cienia entuzjazmu.



- A może szóstego spędzimy tutaj, a potem pomyślisz, co chciałabyś robić w weekend?

Kiwnęła tylko głową.

Przyjrzałam się jej bacznie.

- Jesteś pewna, że nic nie chcesz mi powiedzieć? Nie podoba mi się, kiedy taka jesteś.

Znów pokręciła głową.

- Dobrze, możemy zamówić chińszczyznę. - Ale stłumiony, obojętny głos i przygarbiona sylwetka świadczyły, że wcale nie jest dobrze.

Szkoła zaczęła się piątego stycznia. Po powrocie Dawn od razu zamknęła się w swoim pokoju. Zeszła dopiero na kolację, zjadła w milczeniu. Kiedy poszłam na górę powiedzieć jej dobranoc, znów spytałam, czy czymś się martwi. Odparła jak zwykle.

- N i e .

- Kochanie, jutro są twoje urodziny. Bardzo chciałabym, żebyś je przyjemnie spędziła i była szczęśliwa.

- Dobrze - odparła. - Obiecuję, że jutro będę szczęśliwa.

Uśmiechnęłam się.

- Cieszę się. A prezenty chcesz dostać rano przed szkołą, czy jak wrócisz i będzie więcej czasu?

- Jak wrócę - odparła z pewnym ożywieniem.

Uważnie się jej przyjrzałam, ucałowałam w czoło na dobranoc i wyszłam.

Nazajutrz, zaraz po obudzeniu, złożyłam jej życzenia. Uśmiechnęła się nawet. Gdy zeszła na dół, życzenia złożył John,

a Adrian dołączył swoje: „wisińskiego lepszego” co wywołało jej kolejny uśmiech.

Kiedy odprowadzałam ją do drzwi, miałam wrażenie, że jest w nieco lepszym nastroju. Wydawała się bardziej ożywiona i pogodniejsza. Po jej wyjściu ubrałam Adriana i pojechaliśmy do miasta odebrać zamówiony wcześniej tort. Polukrowany na biało, udekorowany białymi i różowymi różami, miał fantazyjny napis „Na 14. urodziny dla Wspaniałej Dziewczyny”. Po powrocie nadmuchałam balony i powiesiłam je obok urodzinowego transparentu - dzień wcześniej John specjalnie pozdejmował świąteczne dekoracje, żeby zrobić miejsce. Postawiłam tort na stoliku w salonie, obok ułożyłam kartki z życzeniami i prezenty, między innymi od moich rodziców i brata. Wszystko było gotowe. Ponieważ urodziny wypadają zaraz po świętach, trudno było wymyślić kolejny prezent. W końcu zdecydowałam się na szkatułkę i srebrny wisiołek na łańcuszku, a do tego talony na zakupy, żeby wybrała to, co zechce. Nie wiedziałam, co przygotowali rodzice i brat.

O wpół do czwartej byłam w pełni gotowa na powrót Dawn. Chińskie dania mieliśmy zamówić, jak tylko wróci John. Adrian z zapalem i wielkim przejęciem ćwiczył swoje „wsińskiego lepszego, Daw”, bo mu tłumaczyłam, że to właśnie powiemy, kiedy otworzymy jej drzwi. Miałam nadzieję, że dziewczynka zareaguje na życzenia malucha tak samo ciepło jak rano. Kiedy się odpręży i przestanie zamykać w sobie, może zniknie ten dystans, jaki się między nami wytworzył. Bardzo tego chciałam.

Za dwadzieścia czwarta zajęliśmy z Adrianem posterunek przy oknie w pokoju od frontu, żeby zobaczyć, jak Dawn będzie

szła. Na ogół, gdy przychodziła, zajęta byłam w kuchni i musiałam się odrywać od pracy, żeby ją wpuścić. Wymyśliłam, że w dniu urodzin, jak tylko się pojawi na ścieżce, otworzę szeroko drzwi i razem z Adrianem głośno zawołamy „Wszystkiego najlepszego, Dawn”. Za dziesięć czwarta wciąż jej wypatrywaliśmy; mogła się pojawić lada moment. Na razie przeszło tylko kilkoro uczniów pobliskiej szkoły, w rozpiętych mimo zimna kurtkach. Niebo było szare, zachmurzone, zbliżała się zimowa noc.

O czwartej nadal trwaliśmy na posterunku. Kwadrans po czwartej zaczęłam się niepokoić. Dawn na ogół wracała punktualnie za piętnaście czwarta, niezależnie od tego, czy była w szkole, czy wagarowała. Kilka razy zdarzyło się jej spóźnić najwyżej pół godziny, ale dziś wiedziała, że czekają na nią prezenty i życzenia.

O wpół do piątej musiałam zająć czymś Adriana, który zaczął się nudzić. Denerwowałam się, a jednocześnie byłam zła. Ściemniało się już, a jej nadal ani śladu. Gdzie mogła się podziać? Zapaliłam światło w przedpokoju, żeby było widać teren przed wejściem. Nie mieściło mi się w głowie, że w swoje urodziny nie wróciła prosto do domu - przecież wiedziała, że czekamy na nią i że razem będziemy je obchodzić. Zastanawiałam się gorączkowo, co mogło być przyczyną takiego spóźnienia. Różne myśli przychodziły mi do głowy: zepsuł się autobus, musiała zostać dłużej w szkole, wstąpiła do matki po prezent. Ale z drugiej strony, zgodnie z naszą umową, powinna wtedy zadzwonić. Pomyślałam też, że może po szkole poszła gdzieś z koleżankami. W końcu to jej urodziny. Ale i tak powinna zadzwonić.

O piątej piętnaście, kiedy nadal jej nie było, zasunęłam zasłony w oknie i zabrałam Adriana do salonu, gdzie miał swoje zabawki. Byłam rozczarowana i niespokojna. Jeśli nie wróci do szóstej, znów trzeba będzie dzwonić do opieki społecznej, a potem zgłosić zaginięcie. W dniu urodzin! Patrzyłam na stół z tortem, życzeniami i prezentami czekającymi na jej powrót i coraz bardziej się niepokoiłam. Miałam już teraz numer telefonu Barbary. Dawn mi go dała jakiś czas temu, ale dotąd nie było potrzeby, aby z niego korzystać. Zadzwoiłam i dłuższą chwilę wsłuchiwałam się w sygnał. Nikt nie odbierał. Było wpół do szóstej.

John obiecał, że postara się przyjść wcześniej. Spodziewałam się go zaraz po szóstej. Dawn spóźniła się już półtorej godziny. Choć byłoby jeszcze stosunkowo wcześnie, odchodziłam od zmysłów z niepokojem, a jednocześnie złościłam się na nią za niefrasobliwość i niesłowność. Dziesięć minut później ponownie zadzwoniłam do matki - nadal nikt się nie odzywał. O szóstej wrócił John.

- Gdzie nasza solenizantka? - zawołał od progu. Adrian wybiegł mu na spotkanie, ja wyszłam zaraz za nim. Po mojej minie John od razu się zorientował, że coś się stało.

- Nie wróciła ze szkoły.

- Niemożliwe! We własne urodziny?!

- Dzwoniłam do matki, ale telefon nie odpowiada. Zajmij się chwilę dzieckiem, a ja zawiadomię opiekę społeczną, dobrze?

John wziął malca na ręce i poszedł do kuchni zaparzyć herbatę. Wróciłam do salonu. Gdy połączono mnie z dyżurnym pracownikiem, podałam swoje nazwisko, wyjaśniłam, kim

jestem, i powiedziałam, że Dawn nie wróciła ze szkoły, mimo że są jej urodziny. Zasugerował, że może - jak sama wcześniej przypuszczałam - została dłużej z koleżankami. Polecił odczekać jeszcze godzinę i dopiero wtedy, jeśli jej nadal nie będzie ani nie zadzwoni, zgłosić zaginięcie policji.

Poszłam do kuchni i streściłam Johnowi tę rozmowę. Na razie dał Adrianowi tylko herbatnika, bo wciąż liczyliśmy na to, że jednak Dawn zaraz się zjawi i zamówimy chińszczyznę, a potem będziemy świętować zgodnie z planem.

Za piętnaście siódma zrobiłam nam kanapki, bo byliśmy już porządnie głodni, a dziecku usmażyłam jajecnicę. Pora jego podwieczorku dawno minęła i właściwie zbliżał się już czas snu. Zjedliśmy w kuchni, potem usiedliśmy w salonie. John zajął się Adrianem, ja z ciężkim sercem zadzwoniłam na policję. Jak zwykle musiałam poczekać parę minut na połączenie. Kiedy odezwał się oficer dyżurny, przedstawiłam się, powiedziałam, że jestem matką zastępczą Dawn Jennings i chcę zgłosić, że znów zaginęła.

Policjant od razu skojarzył nazwisko.

- Pani już zgłaszała kiedyś jej zaginięcie - powiedział.

- T a k .

Poprosił, żebym zaczekała, a ja pomyślałam, że pewnie poszedł po jej akta. Dotąd nie robiono tego, uznałam jednak, że może zmieniono procedury.

Czekając na jego powrót, nasłuchiwałam dzwonka do drzwi i modliłam się w duchu, żeby Dawn wróciła. Oczywiście należało ją porządnie zbesztać, ale jak już wysłuchamy tłumaczenia i przyjmujemy przeprosiny, to jednak damy jej prezenty i zamówimy

chińskie jedzenie. Do drzwi nikt nie zadzwonił, za to wrócił policjant. Głos miał bardziej oficjalny i dużo poważniejszy.

- Pani Glass?

- T a k .

- Miał się zgłosić do państwa nasz funkcjonariusz, ale jeszcze nie dotarł. Dawn nie zaginęła. Jest w szpitalu. Trafiła tam godzinę temu.

- Co takiego? Dlaczego? - Spojrzałam z przerażeniem na Johna.

- Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że matka po powrocie z pracy znalazła ją nieprzytomną w swoim mieszkaniu. Wezwała karetkę. Dawn próbowała popełnić samobójstwo.

Zamarłam, w uszach miałam dziwny szum, przez który przebijały się słowa policjanta.

- Zabrali ją do szpitala rejonowego. Matka jest przy niej.

Oslupiały wzrok cały czas wbijałam w Johna.

- Dziękuję panu. - Odłożyłam słuchawkę. - Dawn jest w szpitalu. Chciała popełnić samobójstwo.

- J e z u ! - jęknął John. - Jedź tam, ja się zajmę Adrianem.

Już byłam w przedpokoju i wkładałam bury. Po drodze zgarnęłam płaszcz i torebkę.

Kiedy jechałam do szpitala, moje myśli galopowały jak szalone, a serce biło w przyśpieszonym tempie. Kolejna próba samobójcza i znów Dawn jest w szpitalu! Nie mogłam w to uwierzyć. Wprawdzie przez ostatnie dni była cicha i zamknięta w sobie, ale rano wydawało się, że jest w dość dobrym nastroju i że cieszy się z czekających na nią prezentów i urodzinowego przyjęcia.

Do szkoły na pewno dotarła, bo sekretarka nie dzwoniła. Cóż więc mogło się stać? Co ją tak zdołowało, że zdobyła się na ten desperacki krok? Do mieszkania matki ze szkoły było około godziny jazdy autobusem - musiała się tam wybrać prosto po lekcjach. Policjant mówił, że przyjęto ją godzinę temu, co tłumaczyło, dlaczego telefon Barbary nie odpowiadał - były wtedy w karetce. Ale dlaczego? Dlaczego akurat dzisiaj? Co się stało?

Nagle przebiegł mi po plecach lodowaty dreszcz, bo przypomniałam sobie, co mi powiedziała: „Obiecuję ci, że jutro będę szczęśliwa”. Czy to znaczy, że wszystko zaplanowała? Czy już ubiegłej nocy wiedziała, co zrobi? Czy mówiąc, że „będzie szczęśliwa”, miała na myśli to, że pojedzie do matki i popełni samobójstwo? Dobry Boże! Aż się wzdrygnęłam i mocniej zacisnęłam dłonie na kierownicy. Spokojnie powiedziałam wtedy dobranoc i wyszłam, zadowolona, że trochę jej się humor poprawił. Tymczasem ona się przymierzała do samobójstwa!

Kiedy parkowałam pod szpitalem, jeszcze jedna myśl przyszła mi do głowy. Jeśli jest u niej matka, to może nie życzyć sobie mojej obecności. Barbarę widziałam tylko raz, podczas spotkania w opiece społecznej zaraz po tym, jak Dawn zamieszkała u nas. John miał z nią kontakt jeszcze dwa razy: w lecie, gdy odwoził do niej Dawn, a potem w Wigilię. Była wobec niego uprzejma, ale teraz mogło się to zmienić, jeśli mnie obarczała odpowiedzialnością. Miałaby do tego pełne prawo, bo rzeczywiście byłam odpowiedzialna. To ja przegapiłam sygnały świadczące o depresji i nie domyśliłam się, co Dawn zamierza. Owszem, widziałam, że jest przygaszona i smutna, i próbowałam z nią rozmawiać, ale nic to nie dało.

Wyłączyłam silnik. Siedziałam w samochodzie i patrzyłam przed siebie w ciemność. Pomyślałam, że w pierwszym odruchu popędziłam do szpitala, bo sądziłam, że będę potrzebna, ale teraz już nie byłam tego taka pewna. Barbara prawdopodobnie będzie mieć do mnie pretensje, a Dawn może nie życzyć sobie mojej obecności. W takiej chwili chyba woli być z matką. Ale z drugiej strony, jeśli nie pójdę, Dawn pomyśli sobie, że nie jest dla mnie ważna.

Wysiadłam i tłumiąc łzy, ze spuszczoną głową, aby chronić twarz przed nocnym chłodem, szybkim krokiem ruszyłam do wejścia. Nie zabrałam jej ubrań ani kosmetyczki; nie przyszło mi to w ogóle do głowy, kiedy wybiegałam w pośpiechu z domu. Gdyby więc Barbara i Dawn nie życzyły sobie teraz mojej obecności, mogłam wrócić po te rzeczy i je przywieźć. Ale co teraz będzie z Dawn? Najwyraźniej nie udało się nam jej pomóc i być może w ten sposób usiłowała to powiedzieć.



## *Ciężka pomad siły*

Szpitalne drzwi zamknęły się za mną i znalazłam się w blasku jarzeniówek. Zamrugałam, bo w pierwszej chwili nie mogłam się przyzwyczać do światła po ciemnościach panujących na dworze. W dużej poczekalni siedziało kilkanaście osób. Podeszłam do recepcji znajdującej się na drugim końcu pomieszczenia. Recepcjonistka podniosła głowę znad komputera.

- Niedawno przywieziono tu Dawn Jennings - powiedziałam lekko drżącym głosem. - Chciałam ją zobaczyć. Nazywam się Cathy Glass, jestem jej matką zastępczą.

Kobieta przejrzała plik kartek, wyjęła jedną i dokładnie przeczytała.

- Lekarz już ją zbadał. Proszę iść za te podwójne drzwi, potem w prawo. Będzie po lewej stronie.

Podziękowałam i poszłam zgodnie ze wskazówkami. Zaraz za podwójnymi drzwiami skręciłam w prawo. Lewa strona sali składała się z sześciu części wydzielonych zasłonami. Zza jednej z nich wyszła pielęgniarka.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie leży Dawn Jennings?
- spytałam.

Pokazała trzecie łóżko.

Podeszłam bliżej i przystanąłam. Zasłona była zasunięta, nie dochodził zza niej żaden dźwięk. Zawahałam się, czy powinnam wejść, ale w końcu nie po to tu przyjechałam, żeby teraz odejść z kwitkiem. Lekko uchyliłam zasłonę.

- Dawn?

Leżała na łóżku, matka siedziała obok. Odchyliłam zasłonę na ryle, żeby się wsunąć do środka.

Dawn spoczywała w pozycji półsiedzącej, oparta na trzech poduszkach. Spod bandaża na lewej ręce wystawała rurka kroplówki. O mało się nie rozplakałam. Obie ręce miała od łokci do dłoni szczelnie zabandażowane, wystawały tylko końce palców. Domyśliłam się, że podcięła sobie żyły. Była bardzo blada, źrenice miała rozszerzone, pewnie po środkach przeciwbólowych. Kiedy mnie zobaczyła, zdobyła się na słaby uśmiech. Barbara się nie uśmiechnęła.

- Cześć, Dawn, dobry wieczór pani.
- Dobry wieczór - odparła Barbara zdawkowo.

Była równie blada jak córka. Miała na sobie lekki szary kostium i białą bluzkę - pewnie zaraz po powrocie z pracy znalazła Dawn i natychmiast przyjechały tutaj. Siedziała pochylona lekko w jej stronę, jakby rozmawiały. Nie podchodziłam bliżej, nie chciałam przeszkadzać.

- Jak się czuje? - spytałam nieśmiało.

- Będzie żyć. Ale bałaganu mi w łazience narobiła! Krew była dosłownie wszędzie. Już zapowiedziałam, że ma posprzątać,

jak tylko wyjdzie. - Wymówiła te słowa lekkim tonem, widocznie miało to być żart. Nie sprawiała wrażenia wrogo do mnie nastawionej i chyba się przejęła sytuacją. Podeszłam bliżej.

- Co mówi lekarz? - spytałam po chwili.

- Na razie ją pozszywali - odparła. - I chcą zatrzymać na kilka dni. Mam nadzieję, że dostanie wszelką potrzebną pomoc.

Dawn nic nie powiedziała, tylko patrzyła na mnie z tym samym smutnym uśmiechem.

W pierwszej chwili pomyślałam, że „pomoc” oznacza kolejną wizytę u psychiatry, która, owszem, pomoże, ale pod warunkiem że Dawn na nią pójdzie. Jednak Barbara nie to miała na myśli.

- Ja próbowałam - odezwała się cicho, patrząc na mnie. - Pani próbowała, jej ojciec próbował. Ośrodek opiekuńczy kompletnie nic nie dał. Trzeba koniecznie znaleźć dla niej jakieś miejsce, nim znów targnie się na życie i tym razem jej się uda.

W duchu przyznałam jej rację i znów poczułam się odpowiedzialna za to, że Dawn się tu znalazła. Zawiodłam ją tak samo jak rodzice, tylko że rezultaty moich poczynań okazały się dużo gorsze. Spojrzałam na Dawn. Słuchała naszej rozmowy obojętnie.

- Czy kuratorka wie? - spytała Barbara, spoglądając na córkę.

- Zgłosiłam zaginięcie w opiece społecznej, ale nie wiedziałam wtedy jeszcze, że jest w szpitalu. Pewnie policja ich powiadomiła.

Barbara milczała.

- Zadzwoń tam po powrocie do domu. A skoro Dawn ma tu zostać kilka dni, może przywiozę jej koszulę nocną i przybory do mycia.

- Dziękuję - odparła Barbara z lekkim westchnieniem. Nie była już napastliwa w stosunku do córki, jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Stała się wręcz troskliwa. Zapewne przeżyła szok, gdy ją znalazła nieprzytomną. Miałam jednak nieodparte wrażenie, że traktuje całą sprawę trochę jak kolejną pozycję na długiej liście wybryków Dawn.

- Czekają na ciebie prezenty - powiedziałam cicho, patrząc na dziewczynkę. - I tort.

Barbara spojrzała na córkę.

- Ładne urodziny, nie ma co.

Dawn posłała mi kolejny nikły uśmiech. Była spokojna, ale też jakby zagubiona i zdezorientowana. Nie wiedziałam, ani co powiedzieć, ani jak się zachować. Najchętniej usiadłabym na łóżku i przytuliła ją serdecznie, ale w obecności matki wydało mi się to niestosowne. Nie chciałam się narzucać.

- Zostanie pani przy niej? - spytałam.

- Dopóki jej nie przewiozą na salę. Jutro muszę iść do pracy. Przyjdę wieczorem.

- W takim razie może ja wpadnę w ciągu dnia? - zaproponowałam. - Posiedzę z nią.

Obie chętnie przystały na moją propozycję.

Ociągałam się z wyjściem, choć czułam, że powinnam zostać je same.

- Przywiozę twoje rzeczy - powiedziałam. - I może prezenty, skoro już będziesz na zwykłej sali.

Dawn tylko kiwnęła głową. Na tle wielkich poduch i w sztywno nakrochmalonej pościeli wydawała się taka młodziutka i filigranowa.

- Kochanie - nie wytrzymałam w końcu. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się dzieje? Nie miałam pojęcia... - Łzy napłynęły mi do oczu.

Znów się leciutko uśmiechnęła. Odwróciłam się i wyszłam. W tej sekundzie usłyszałam głos Barbary.

- Za parę minut wrócę. - A potem: - Proszę pani... czy możemy chwilę porozmawiać?

Zaczekałam na nią.

- Muszę pani coś powiedzieć, ale nie tutaj. Chodźmy gdzieś, gdzie nas nie będą słyszeć. - Pokazała za siebie, a więc chodziło o to, żeby Dawn nie słyszała.

Poszliśmy do poczekalni i znalazłyśmy wolne miejsca w kącie, z dala od innych. Barbara westchnęła i odgarnęła włosy z twarzy.

- Jest coś, o czym pani nie wie, a moim zdaniem to źle. Ruth uważała, że nie trzeba mówić. Twierdziła, że są to sprawy poufne, które pani nie dotyczą. Nie zgadzam się, zwłaszcza że ma pani małe dziecko. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś się stało.

Z niepokojem czekałam na dalszy ciąg. Barbara miała zmęczoną, napiętą twarz, była poważna, a jednocześnie jakby się czegoś obawiała.

- Poprosiłam o tę rozmowę - ciągnęła - ponieważ wiem, że mogę na panią liczyć. Dawn potrzebuje fachowej pomocy, i to szybko.

Kiwnęłam głową. Zastanawiałam się, co też takiego chce mi powiedzieć. Barbara westchnęła.

- Nie najlepsza ze mnie matka - zaczęła. - Właściwie to chyba jestem najgorszą matką na świecie, a ojciec Dawn nie jest

pod tym względem lepszy. Nasze małżeństwo od początku było nieudane. Pobraliśmy się, bo zaszłam w ciążę. Tylko mężczyli-śmy się ze sobą, zwłaszcza że mieszkaliśmy w klitce. Było coraz gorzej, choć jeśli pani spyta Dawn, okaże się, że były to najpiękniejsze lata jej życia. Po prostu była malutka i nie rozumiała. - Zaśmiała się cicho. - Kiedy miała prawie pięć lat, postanowiliśmy się rozstać. Nie umieliśmy się dogadać, a nieustanne kłótnie nie były dobre dla dziecka. Oboje potrzebowaliśmy czasu, żeby dojść do siebie i na nowo ułożyć sobie życie. Wiem, co Ruth pani powiedziała o następnych czterech latach... Że ja twierdzę, że Dawn była u ojca, a on, że u mnie. To nie jest prawda. - Patrzyłam Barbarze prosto w oczy, a ona mówiła dalej. - Mam w Irlandii rodzinę. Wujostwo zaproponowali, że się zaopiekują Dawn, dopóki nie uporządkuję swoich spraw. Nie byłam z nimi specjalnie blisko, ale wydawało mi się, że to dobry pomysł. Własne dzieci już odchowali. Mój - już wówczas były - mąż zawiózł Dawn do Irlandii. Z początku miało to potrwać tylko kilka miesięcy. Ja zostałam w mieszkaniu, mąż się wyprowadził. Próbowałam znaleźć pracę, ale nie miałam żadnych kwalifikacji. Był to dla mnie bardzo trudny okres, wpadłam w depresję. Ojciec Dawn szybko sobie kogoś znalazł i nie interesował się mną ani moimi problemami - córką też nie. Mieszkał wtedy z inną kobietą, nie z tą co teraz, ale to całkiem inna historia.

Mijały tygodnie, potem miesiące. Tęskniłam za Dawn, choć nie tak jak powinnam - za bardzo pochłaniały mnie własne problemy. Jak tylko miałam trochę pieniędzy, dzwoniłam do niej. Ciotka i wuj niezmiennie twierdzili, że jest jej dobrze i już się do nich przyzwyczaiła. Rzadko jednak udawało mi się

z nią porozmawiać. Ciągle była gdzieś na farmie, bawiła się, a ja nie chciałam jej odrywać od przyjemności. Zaczęła tam chodzić do szkoły i wuj mówił, że doskonale sobie radzi. Nie wiadomo kiedy minął rok. Miałam już wtedy stałą pracę, sprzątanie, i pomału stawałam na nogi. Chciałam sprowadzić córkę, ale kiedy zadzwoniłam w tej sprawie, wuj zaczął mnie przekonywać, że to egoistyczne z mojej strony, bo ona świetnie się u nich czuje. Twierdził, że ma dużo lepsze życie niż u mnie, świeże powietrze i stabilną rodzinę. Nie miałam tyle pieniędzy, żeby do niej pojechać, więc mu uwierzyłam i Dawn została. W ciągu następnych trzech lat dzwoniłam, ale przyznaję - niezbyt często. Zdawało mi się, że wujostwo stali się teraz jej rodziną i głu-  
pio mi było się narzucać.

Barbara urwała i podniosła głowę, bo ktoś przechodził niedaleko nas. Zaczekała, aż będziemy same, nim podjęła wątek.

- Że coś było nie tak, okazało się dopiero, kiedy Dawn miała dziewięć lat. W tym czasie już nie sprzątałam, tylko pracowałam w domu towarowym, tym samym co teraz. Pewnego dnia zadzwonili do mnie z opieki społecznej, że moje dziecko jest u nich. To było totalne zaskoczenie. Powinna być w Irlandii, wujostwo o niczym mnie nie zawiadomili. Później się dowiedziałam, że po prostu wsadzili ją do samolotu, a potem, kiedy nikt jej nie odebrał, obsługa lotniska wezwała policję.

Z przerażeniem słuchałam tej opowieści. Barbara ze smutkiem pokiwała głową.

- Przywieziono ją do mnie jeszcze tego samego wieczoru. W końcu byłam jej matką i nie popełniłam żadnego przestępstwa, więc nie mogli mi jej odebrać. Ale jak tylko ją zobaczy-

łam, wiedziałam, że coś się stało. Bardzo się zmieniła. To znaczy oczywiście zmieniła się fizycznie... minęły cztery lata. Ale poza tym stała się nieznośna i agresywna, zupełnie jak jakiś mały dziłkus. Pluła na mnie, rzucała się z pięściami, wykrzykiwała, że mnie nienawidzi. Kiedy próbowałam dowiedzieć się od niej, co zaszło w Irlandii, cichła i mówiła, że nic nie pamięta.

- Nie mogłam sobie z nią poradzić - mówiła dalej. - W końcu porozumiałam się z jej ojcem. Właśnie zamieszkał ze swoją obecną partnerką i zaproponowali, że część czasu może spędzać u nich. To było jeszcze, zanim urodziło im się dziecko, i pewnie jego przyjaciółka miała ochotę pobawić się w rodzinę. Szybko jej przeszło. Dawni mieszkała trochę u mnie, trochę u nich. Nikt nie potrafił sobie z nią poradzić, stawała się coraz gorsza. W wieku dziesięciu lat robiła, co jej się żywnie podobało. Włóczyła się po mieście, rzadko bywała w szkole, a potem zaczęła mieć kłopoty z policją. W nocy dręczyły ją koszmary, no i chodziła we śnie. To było straszne, nie czułam się bezpiecznie we własnym domu. Myślałam, żeby ją zaprowadzić do lekarza, ale za nic się nie chciała zgodzić. Potem zaczęła się kaleczyć. Z początku wyrwała sobie włosy albo waliła głową w ścianę. Później się przypalała, wbijała sobie szpilki w ręce i w nogi. Pół roku wcześniej, nim trafiła do ośrodka, zaczęła się ciąć. Nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy to odkryłam. Ze spokojem twierdziła, że to jej pomaga.

Pokiwałam poważnie głową.

- Mnie mówiła to samo.

- I w jakimś sensie miała rację - powiedziała cicho Barbara.

- Jej zachowanie znacznie się poprawiło, jakby okaleczanie się



pomagało jej panować nad złością i agresją. Nie rzucała się już na mnie z pięściami, nie obrzucała wyzwiskami, potrafiła być naprawdę miła i grzeczna. Ale kiedy zaczęła się włączyć z tą bandą z osiedla, od razu wiedziałam, że zaczną się kłopoty. Okazało się, że miałam rację. Kuratorka uznała, że dobrze jej zrobi, jak zamieszka u państwa. Ale najwyraźniej to nie pomogło. Proszę sobie tego nie brać do serca... - Barbara urwała. Wyprostowała się i westchnęła. - Nie wiem, co się stało w Irlandii, ale cokolwiek to było, straciłam moją córeczkę, a pojawiła się istota, która nienawidzi mnie, siebie, życia... i to tak bardzo, że chce ze sobą skończyć.

- Nigdy nie powiedziała pani albo ojcu, co się tam stało?

- Nie. - Zdecydowanie potrząsnęła głową. - Kiedy ją pytam, upiera się, że nic nie pamięta z tamtego okresu. Pewnie mówi prawdę. Zdaniem kuratorki przeżycia mogły być tak bolesne, że teraz wypiera je ze świadomości. Chciałam porozmawiać z wujostwem, ale jak tylko słyszą mój głos, odkładają słuchawkę. Ruth uważała, że nie musi pani tego wiedzieć. Sądzę, że jeśli nikt się poważnie nie zajmie Dawn, wkrótce może być za późno na jakąkolwiek pomoc.

Barbara umilkła. Byłam głęboko wstrząśnięta. Zapewne wiele ją kosztowało zebranie się na odwagę, by mi o tym opowiedzieć. Najważniejsze, że na pierwszym miejscu stawiała dobro córki i za wszelką cenę chciała uzyskać dla niej pomoc.

- Szkoda, że kuratorka mi tego wszystkiego nie powiedziała - odezwałam się w końcu. - Byłoby nam dużo łatwiej. A tak tylko martwiliśmy się i zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić.

- Przepraszam państwa za to.

- To nie pani wina, tylko Ruth. Ale co to ma wspólnego z moim synkiem? Mówiła pani, że powinnam wiedzieć ze względu na to, że mam małe dziecko.

Barbara spojrzała mi głęboko w oczy.

- Jak pani wiadomo, Dawn spędza mnóstwo czasu z tymi okropnymi dziewczuchami z osiedla. Wiecznie się gdzieś włóczą, a jak nie ma rodziców, przesiadują u którejś z nich. Nie potrafiłam tego ukrócić. Jakiś czas przedtem, zanim trafiła do opieki społecznej, razem z jedną z nich, niejaką Tiną, piętnastolatką, pilnowały dziecka. Matka tej Tiny urodziła niedawno, a chciała gdzieś wyjść ze swoim facetem, więc zostawiła niemowlę pod ich opieką. Ja nie powierzyłabym dziecka takim smarkulom, ale to już jej sprawa. Nie do końca wiadomo, co się potem stało. Dawn wpada w histerię i nic sensownego nie umie powiedzieć. Najprawdopodobniej bawiły się zapalkami albo paliły papierosy i w mieszkaniu wybuchł pożar. Uciekły w panice i zadzwoniły po straż pożarną. Zanim przyjechała, mieszkanie stanęło w płomieniach. Dziecko miało poparzoną rączkę i pełno dymu w płucach.

Z przerażeniem słuchałam tej historii.

- O włos nie doszło do tragedii. Na szczęście dziecko wyszło z tego cało, z tym że czeka je przeszczep skóry. Policja kilkakrotnie przesłuchiwała Dawn i Tinę. Sprawa nie jest zakończona. Podpalenie to poważne przestępstwo. Tina zwała winę na Dawn, a ona bierze wszystko na siebie, ale nie chce nic więcej powiedzieć. Myślę, że kryje tamtą. Matka Tiny tak się na nią wściekla, że Tina mieszka teraz w ośrodku opiekuńczym. Już po tym pożarze, gdy Dawn nocowała u ojca, zastali ją w kuchni, jak pogrążona we śnie próbowała zapalić zapalną. Bardzo się bała, mówiła

coś o ratowaniu dziecka, jakby się starała odtworzyć tamtą scenę i zmienić przebieg wypadków. Tak przynajmniej oni uważają. Mają małe dziecko, więc sama pani rozumie, dlaczego nie chcą jej u siebie. I z tych samych powodów należało panią uprzedzić.

Teraz zrozumiałam, w jak wielkim byliśmy niebezpieczeństwie, zwłaszcza Adrian. Z przerażeniem przypominałam sobie tę noc, kiedy Dawn w kuchni usiłowała zapalić zapalkę. Zanim John założył zamek w naszych drzwiach, ciągle przychodziła do łóżeczka Adriana. Czy rzeczywiście podświadomie szukała małego dziecka i zapalek, żeby odtworzyć wydarzenia tamtej tragicznej nocy i zmienić ich zakończenie, jak sugerowała Barbara? A gdyby znalazła zapalki i zapaliła? Albo gdyby John nie założył zamka w drzwiach sypialni i kuchni? Co wtedy? Aż zadrżałam na samą myśl.

Uświadomiłam sobie wówczas, jak straszliwy ciężar dźwigała Dawn i jak bardzo musiała cierpieć - nie tylko z powodu tego, co się stało w Irlandii, ale też przez pożar, w którym o mało nie zginęło dziecko i za który wzięła na siebie całkowitą odpowiedzialność.

- Straszne to wszystko - odezwałam się w końcu. - Nic dziwnego, że się tak dziwnie zachowywała. Gdyby tylko potrafiła z kimś porozmawiać.

Barbara pokiwała głową.

- Nie poradzi sobie bez fachowej pomocy. Trzeba się śpieszyć, zanim będzie za późno. Ja nie na wiele się tu zdam. W dodatku mam tak ogromne poczucie winy, że chwilami nie mogę znieść jej obecności.

Spojrzałam na nią uważnie.

- Wie pani, kiedy Dawn u nas zamieszkała, nie można jej wręcz było odpędzić od Adriana. A tego lata nagle odsunęła się od niego. Od tamtej pory unika go, jakby nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Może w ten sposób go chroni - powiedziała smutno Barbara. - Dawn z natury jest bardzo uczuciowa, a w stosunku do młodszych dzieci wyjątkowo opiekuńcza.

- Jestem pewna, że ten pożar to był jakiś wyjątkowo niefortunny wypadek.

Barbara pokiwała głową.

- Kiedy państwo byli na wakacjach, policja ponownie ją przesłuchała. To wtedy się dowiedziałam, że Tina zrzuca winę na nią i że śledztwo nie jest zakończone. Szukają dowodów, żeby ją oskarżyć, i nie odpuszczą łatwo. Nie umniejszam wcale tego, co się stało z dzieckiem, tym bardziej że nadal jest w trakcie leczenia, ale to był wypadek i Dawn nie może się obwiniać bez końca.

- Ma pani rację - zgodziłam się. - Trzeba coś zrobić. Czyli cały czas ją to dręczyło, i Irlandia, i pożar. Karała siebie, tnąc się i próbując odebrać sobie życie. Nic dziwnego, że jest w takim stanie.

- No, właśnie. - Zobaczyłam, że usta jej drżą, a oczy zwilgotniały. - I to w znacznej mierze moja wina.

Dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Na koniec delikatnie dotknęłam jej ramienia; chciałam ją pocieszyć.

- Dziękuję, że porozmawiała pani ze mną otwarcie. Oboje z mężem zrobimy wszystko, żeby pomóc Dawn. Odkąd u nas zamieszkała, przywiązaliśmy się do niej. My ją naprawdę kochamy...

- Wiem - odparła Barbara cicho. - Dlatego pani powiedziałam.

## Pozegnalny uśmiech

**D**o domu wracałam jak nieprzytomna, pochłonięta smutnymi myślami. Przeżywałam raz jeszcze to, co usłyszałam od Barbary. Żal mi było Dawn i zła byłam na Ruth, że nic nam nie powiedziała. Niewiedza mogła nas sporo kosztować. Oczywiście należy przestrzegać poufności pewnych informacji, ale nie powinno się to odbywać kosztem bezpieczeństwa innych. Właściwie uratował nas zdrowy instynkt, który kazał założyć zamki w kuchni i sypialni oraz schować zapalki. To nie była wina Dawn. Jej na pewno bym nie oskarżała. Nie wiadomo, co się zdarzyło w Irlandii i co tak naprawdę kryło się za tym nieszczęsnym pożarem u Tiny. Przypomniałam sobie naszą niedawną rozmowę podczas karmienia kaczek. Byłam wtedy przekonana, że Dawn czuje się winna z powodu skarbonki Adriana, i powiedziałam jej, że człowiek uczy się na błędach, a potem trzeba sobie wybaczyć. Spytała wtedy: „Nawet jeśli to było coś podłego?”, a ja odparłam: „Tak” czym utwierdziłam ją w przekonaniu, że to co zrobiła, było podłe. Dopiero teraz zrozumiałam, że zamiast ją pocieszyć, jeszcze bardziej ją przygnębiłam.

Kiedy wróciłam do domu, Adrian spał, a John był pod prysznicem. Wsunęłam głowę przez drzwi łazienki, żeby powiedzieć, że z Dawn wszystko jest już w porządku i Barbara siedzi przy niej. Dodałam, że przyjechałam tylko po jej rzeczy, bo mają ją zatrzymać na kilka dni, i że zaraz potem wrócę do domu.

- Mam ci mnóstwo do powiedzenia. Długo rozmawiałam z Barbarą. Czy możesz zawiadomić opiekę społeczną, że Dawn jest w szpitalu?

John obiecał, że to zrobi.

Adrian spał spokojnie. Przyglądałam mu się dłuższą chwilę. Mały, niewinny, bezbronny i dla mnie najdroższy na świecie: nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało. Pochyliłam się i pocałowałam go na dobranoc. Potem poszłam do pokoju Dawn. Spakowałam koszulę nocną, kosmetyczkę, walkmana i kasety. Dołożyłam jeszcze kartki z życzeniami, bo pomyślałam, że może je przeczyta razem z Barbarą, a potem ustawiła na szafce przy łóżku - wszyscy będą wiedzieć, że właśnie miała urodziny. Zawieszenie prezentów odłożyłam do następnego dnia.

Kiedy wróciłam do szpitala, okazało się, że jeszcze nie przeniesiono jej na salę i wciąż leży za zasłoną. Spała, Barbara siedziała przy niej. Przekazałam jej rzeczy Dawn. Podziękowała mi.

- Tyle pani dla niej zrobiła - powiedziała, a oczy znów jej zaszczyły łzami. - Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby nie trafiła na panią.

Uśmiechnęłam się smutno.

- Miło, że pani tak mówi. Ale wcale nie jestem pewna, czy rzeczywiście się jej przysłużyliśmy.

Spojrzałam na Dawn. Leżała oparta na poduszkach, oczy miała zamknięte, twarz spokojną. Tylko te zabandażowane nadgarstki... Spała głęboko, jakby nie miała żadnych zmartwień. Pomyślałam sobie w duchu, że dopiero koszmary tkwiące w podświadomości wtrącały ją w otchłanie piekieł.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - pocieszyłam Barbarę. - Biedne dziecko, trzeba jej pomóc.

Jeszcze raz mi podziękowała. Obiecałam, że nazajutrz przyjdę znowu, i wróciłam do domu.

John był w salonie i właśnie nalał sobie whisky. Prezenty i tort ze świeczkami nadal czekały na stoliku, który wyglądał trochę jak domowa kapliczka. Usiadłam ciężko na kanapie i westchnęłam.

- Chcesz drinka? - zaproponował mi mąż.

Pokręciłam przecząco głową.

- Nie, dzięki. Może później. Muszę ci najpierw wszystko opowiedzieć. To będzie smutna historia.

Zaczęłam od moich podejrzeń, że Dawn wcześniej planowała samobójstwo, bo już przed urodzinami powiedziała mi, że następnego dnia będzie szczęśliwa. Po szkole pojechała do matki, a kiedy ta wróciła z pracy, znalazła ją w kuchni na podłodze, z podciętymi żyłami. Opowiedziałam Johnowi o rozmowie z Barbarą - o Irlandii, gdzie Dawn zmieniła się nie do poznania, i o pożarze w mieszkaniu Tiny. Gdy John usłyszał, że Tina zrzuca winę na nią, a ona bierze wszystko na siebie i milczy, aż pobladł z gniewu.

- Boże! - wykrzyknął. - Wszystkie kawałki tej przerażającej układanki zaczynają teraz do siebie pasować. Chodzenie we

śnie do Adriana, odtwarzanie pożaru... jakby próbowała oczyścić sumienie. Ale co stało się wtedy w Irlandii? Czy ktoś próbował się dowiedzieć?

Pokręciłam głową.

- Nie wiadomo. Gdy Barbara dzwoni do wuja, ten odkłada słuchawkę. Nie sądzę, by opiece społecznej zechciało się bawić w śledztwo.

John wolno pokiwał głową.

- I Barbara chce, żeby Dawn otrzymała wreszcie skuteczną pomoc?

- Rano ma porozmawiać z Ruth. Obiecałam, że może liczyć na nasze wsparcie i że zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

- Oczywiście. Dawn już dawno powinno się leczyć. A to, że Ruth nic nam nie powiedziała, pachnie kryminałem!

Nazajutrz do dużej torby spakowałam prezenty, dołożyłam plastikowy pojemnik z pokrojonymi kawałkami tortu oraz papierowe talerze. Adrian pojechał ze mną. Powiedziałam mu, że jedziemy odwiedzić Dawn.

Gdy weszliśmy do sali, siedziała na łóżku i rozmawiała z dziewczynką w tym samym wieku, ubraną w szlafrok. Na poręczy łóżka wisiały urodzinowe kartki. Na mój widok uśmiechnęła się radośnie. Wyglądała dużo lepiej.

- Cześć, Cathy - wykrzyknęła. - Poznaj Susie, moją nową koleżankę.

- Witaj, Susie - powiedziałam.

- Dzień dobry pani.



- Cathy jest moją mamą zastępczą - wyjaśniła Dawn, a więc już musiała opowiedzieć Susie o swojej sytuacji. - A to Adrian – dodała dumnie i wyciągnęła ręce, żeby go wziąć.

- Uważaj, żebyś nie uraziła nadgarstków. - Posadziłam synka obok niej na łóżku.

Adrian natychmiast się do niej przytulił, a ona pocałowała go w czoło. Z przyjemnością na to patrzyłam. Cieszyło mnie, że Dawn znów pozwala sobie na bliski kontakt z nim. Może uważała, że w szpitalu nic mu nie grozi z jej strony. Susie przycupnęła na brzegu łóżka, ja usiadłam na krześle.

- Przyniosłam twoje prezenty. - Sięgnęłam do torby i zaczęłam je wyładować.

- O, super! - rozpromieniła się. W tym momencie Susie się podniosła.

- Posiedź z nami – zaprosiłam ją. - Dawn obejrzy prezenty, a potem zjemy tort.

- O tak, zostań - zawołała Dawn. - Zrobimy przyjęcie.

Susie z uśmiechem usiadła z powrotem, a Dawn z pomocą Adriana dobrała się do prezentów. Wszyscy na nas patrzyli, i dzieci, i odwiedzający je dorośli. Akurat przechodziła pielęgniarka.

- Wszystkiego najlepszego z okazji wczorajszych urodzin - powiedziała ciepło.

- Dziękuję - odparła wyraźnie zadowolona solenizantka.

Aż mnie ścisnęło w gardle, kiedy zabandażowanymi dłońmi ostrożnie rozwijała kolorowe opakowania. Przypomniało mi się nasze Boże Narodzenie - tyle było w niej dziecięcej radości. Dosłownie chłonęłam ten widok.

- Śliczne! - wołała za każdym razem. - Bardzo dziękuję. Podziękuj ode mnie Johnowi i twemu bratu, i babci, i dziadkowi.

- Oczywiście, kochanie. Podziękuję.

Gdy skończyła, wyjęłam pojemnik z tortem i papierowe talerze.

- Nie przyniosłam całego tortu, bo się bałam, że nie zjemy wszystkiego i się zeschnie. I nie mam też świeczek, ale pewnie i tak by nam nie pozwolili ich tu zapalić. Zrobimy to kiedy indziej.

- Ale możemy zaśpiewać - zauważyła Susie.

- Oczywiście, wręcz obowiązkowo.

- No, wiecie... - jęknęła Dawn, wyraźnie onieśmielona.

Adrian aż zaklaskał w rączki, że wreszcie będzie mógł zaśpiewać piosenkę, którą ćwiczył wczoraj cały dzień.

Rozstawiłam talerze i rozłożyłam kawałki tortu.

- Ja poproszę mały - powiedziała Susie. - Właśnie zaczęłam drugą chemoterapię i jest mi trochę niedobrze.

- Oczywiście, kochanie. - Boże, jakże mi było żal tego dziecka. Miała mniej więcej tyle lat co Dawn i już walczyła z rakiem - i to nie pierwszy raz, jak wynikało z jej słów. Ileż te biedne dzieci muszą się nacierpieć, pomyślałam. Bardzo mi zaimponowała swoim spokojem i hartem ducha.

Po chwili zaintonowaliśmy Happy Birthday, a Adrian z wielkim zapalem podśpiewywał z nami po swojemu. Najpierw dołączyła do nas dziewczynka z łóżka naprzeciwko i osoby, które do niej przyszły. Po chwili śpiewała cała sala, łącznie z pielęgniarką, która mierzyła ciśnienie dziecku leżącemu obok. Pod koniec miałam oczy pełne łez.

- Hip, hip - zawołał ktoś.

- Hurra! - odpowiedzieliśmy wszyscy.

Rozległy się gromkie oklaski, a ja miałam ściśnięte gardło.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie. - Nachyliłam się i pocałowałam Dawn w policzek.

- Siłtkiego lepszego - dodał Adrian.

Zjedliśmy tort. Teraz żałowałam, że nie przyniosłam całego, bo mogłabym też poczęstować innych. Po prostu nie przewidziałam, że spotkamy się z tak wielką serdecznością. Pielęgniarka spytała, czy może zobaczyć prezenty. Dawn z dumą pokazała jej szkatułkę, srebrny wisiołek i talony na płyty oraz torebkę od mojej mamy i wielkie pudło czekoladek od brata.

- Ale z ciebie szczęściara - powiedziała pielęgniarka.

Dawn uśmiechnęła się i nic nie powiedziała, a mnie się wydawało, że posmutniała. Zebrałam talerze po torcie i strzepnęłam okruszki z łóżka. Susie wkrótce nas opuściła, bo przyszli jej rodzice. Adrian leżał przytulony do Dawn, a ona go obejmowała.

- Miło, że znów jesteście przyjaciółmi - powiedziałam.

Dawn pocałowała go w czoło, ale nadal była smutna.

- Czy mama powiedziała ci o mnie i co się stało z tamtym dzieckiem?

- Tak, kochanie.

- Nie mogę o tym myśleć. Nie chcieliśmy, ale to była nasza wina. Zrobiłam straszną rzecz.

Wzięłam ją za rękę i delikatnie pogłaskałam palce wystające spod bandaża.

- Dużo w życiu przeszłaś, kochanie. Teraz lepiej cię rozumiem, jak porozmawiałam z twoją mamą.

- Podobno nie wrócę już do was. Mam zamieszkać gdzie indziej, gdzie mi spróbują pomóc. Smutno mi, ale chyba tak będzie lepiej. Nie mogę tak dalej żyć.

- Najważniejsze, żebyś miała pomoc i wsparcie. Twoja mama chce porozmawiać z Ruth, ale jeszcze nic nie zostało postanowione. A na razie, skarbie, odpoczywaj i zdrowiej prędko.

- Dobrze, Cathy. Będę się starać.

Nazajutrz też ją odwiedziłam. Nadal była cicha i zgaszona. Pewnie dużo myślała i zastanawiała się nad sobą. Ale bardzo się ucieszyła na widok Adriana.

Następnego dnia rano zadzwonił telefon. To była Barbara. Powiedziała, że przewożą Dawn, i poprosiła, żebym przygotowała jej rzeczy. Zaskoczyła mnie. Wszystko działo się zbyt prędko, choć spodziewałam się, że wkrótce ją gdzieś zabiorą. Ale nie było innej rady. Oboje z Johnem od dawna uważaliśmy, że potrzebuje profesjonalnej pomocy - a tego nie mogliśmy jej dać.

- Dokąd pojedzie? - spytałam.

- Ruth znalazła specjalistyczną klinikę psychiatryczną dla nastolatków. Tam nie będzie nikomu zagrażać i zacznie terapię. To duży dom na wsi, otoczony rozległym terenem. Pacjenci mają własne pokoje. Brzmi całkiem niezłe.

- Rozumiem - odparłam w zamyśleniu. - Dobrze, że tak szybko udało się załatwić. Czy będzie ją tam można odwiedzać?

- Na razie nie. Ruth mówi, że najpierw musi się przyzwyczaić, zaaklimatyzować. Zależy, ile czasu jej to zajmie. Nawet ja na początku nie będę do niej jeździć. To jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Podobno jest niewiele takich klinik, a ta uchodzi za jedną z lepszych.

- Rozumiem - powiedziałam. - Niech jej się tam wiedzie jak najlepiej. - Umilkłam na chwilę. - O której przyjedziecie?

- Ze szpitala zabieramy ją o dwunastej, więc będziemy około wpół do pierwszej.

- W takim razie idę pakować. Już prawie jedenasta.

Odłożyłam słuchawkę i zabrałam Adriana ze sobą na górę. Zniosłam do pokoju Dawn dużą walizkę ściągniętą z szafy. Szybko się napełniła, tyle ubrań jej przybyło. Spakowałam też ozdóbki i inne drobiazgi, te kruche owinęłam najpierw w gazetę. Staralam się nie myśleć o tym, że dziewczynka nas opuszcza. Spędziła u nas prawie rok, a zdawało się, że o wiele dłużej - wytworzyła się między nami silna więź i dużo przeszliśmy razem jako rodzina.

Gdy na koniec popatrzyłam na puste półki i szafki, rozplakałam się. Kochana Dawn, jakże będę za nią tęsknić! Stała się dla mnie niemal jak córka. Rozstanie było nieuniknione, by mogła wreszcie uzyskać tak bardzo jej potrzebną pomoc, ale wcale przez to mniej nie bolało. W dodatku nie mogliśmy jej odwiedzić. Kiedy Adrian zobaczył moje łzy, przydreptał, wdrapał mi się na kolana i pocałował w mokry policzek,

- Już dobrze, kochanie. - Wyciągnęłam chusteczkę z kieszeni. - Mamusia jest smutna.

- Smutna - powtórzył. - Mamusia smutna.

Otarłam oczy. Jak wytłumaczyć dziecku, że Dawn nas opuszcza? I dlaczego? To było niemożliwe.

- Dawn wyjeżdża - powiedziałam w końcu. - Powiemy jej: do widzenia.

- Do widzenia - wymówił zabawnie i zmarszczył buzię, naśladowując moją mimikę. Nie sposób było się nie uśmiechnąć.

- Będzie nam smutno - dodałam. - Ale będziemy dzielni i powiemy jej: do widzenia.

- Do widzenia - powtórzył, zabrał mi chusteczkę i wytarł resztę łez. Ucałowałam go i mocno przytuliłam.

Czas naglił. Staszczyłam na dół najpierw walizkę, a potem torby, za każdym razem otwierałam i zamykałam barierkę na schodach, żeby Adrian nie szedł za mną. Punkt dwunasta dobytek Dawn czekał w przedpokoju. Zabrałam Adriana do salonu. Zadzwoniłam do Johna i powiedziałam, że Dawn wyjeżdża.

- Tak szybko? - zdziwił się. - Nawet nie zdążę się z nią pożegnać.

- Pożegnaj ją od ciebie.

- Ucałuj ją i powiedz, że do niej przyjedziemy, jak tylko nam pozwolą.

- Dobrze.

Punktualnie o dwunastej trzydzieści rozległ się dzwonek do drzwi. Westchnęłam ciężko i poszliśmy z Adrianem otworzyć.

W progu stała Dawn, tuż za nią Barbara i Ruth.

- Wejdźcie - zaprosiłam je do środka. - No, Dawn, wyglądasz znacznie lepiej. - Nie była już taka blada ani smutna i zamyślona jak przedtem. Może ulżyło jej, gdy nareszcie zdecydowała się skorzystać z pomocy.

Uśmiechnęła się do mnie i cała trójka weszła do środka.

- Wszystko gotowe - wskazałam bagaże. - Może napijecie się czegoś?

- Nie, dziękujemy - odparła Ruth. - Czekaj nas długa droga, wolałabym już jechać.

Spojrzałam na Dawn i Barbarę. Stały niepewnie w przedpokoju, jakby nie wiedziały, co robić.

- Zapakuję rzeczy do samochodu - powiedziała Ruth. -  
A wy się przez ten czas pożegnajcie.

Stanęłyśmy z boku, żeby miała lepszy dostęp do bagaży. Adrian chwycił mocno nogę Dawn, jakby chciał zatrzymać dziewczynkę. Pochyliła się, żeby go wziąć na ręce, ale widocznie zabolą ją nadgarstki, bo się skrzywiła. Uklękła więc i przygarnęła go serdecznie.

- Powodzenia - zwróciłam się do Barbary. - Uważajcie na siebie i szerokiej drogi. Da mi pani znać, co z Dawn i kiedy można ją odwiedzić?

- Na pewno. I jeszcze raz dziękuję za wszystko. Wiem, jak państwo polubili Dawn, i wprost nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności. - Objęła mnie i serdecznie przytuliła. Ruth wróciła właśnie do przedpokoju po kolejną torbę.

- Do widzenia, maluszku - powiedziała Dawn, podnosząc się z kolan. - Będzie mi ciebie brakowało. - Odwróciła się do mnie. - Do widzenia, Cathy.

Spojrzałyśmy na siebie i w tym momencie rzuciła mi się w ramiona i rozplakała.

- Będę tęsknić za tobą i za Adrianem, i za Johnem. Proszę, wybaczenie mi. Ja naprawdę nie chciałam.

- Nie mamy co wybaczać. - Tuliłam ją i głaskałam po włosach. - Przestań się już obwiniać, skarbie. Dobra z ciebie dziewczynka i na pewno wszystko będzie dobrze. Masz ucałowania od Johna. Żałował bardzo, że nie może tu być i się z tobą pożegnać. - Spojrzałam nad jej ramieniem na Barbarę, która miała łzy w oczach.

- Gotowe - oznajmiła Ruth.

Uściskałam Dawn raz jeszcze i wypuściłam z objęć. Oczy miała wilgotne od łez.

- Kochanie, zapamiętaj sobie, że nic nie było twoją winą. Z czasem sama to zrozumiesz. Będziemy tęsknić za tobą i myśleć o tobie.

Kiwnęła dzielnie głową, a ja otarłam jej mokre policzki.

- No, już, już. Proszę się uśmiechnąć. Nie chcę cię zapamiętać tonącej we łzach.

Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- To do widzenia, pani Glass - zawołała Ruth, która była już przy samochodzie.

- Do widzenia, kochanie – zwróciłam się do Dawn. Wzięłam Adriana na ręce i odprowadziłam je do drzwi. - Uważajcie na siebie - zawołałam.

Poszły do samochodu. Barbara usiadła z przodu i zapiąwszy pas, pomachała mi przez okno. Dawn siedziała na tylnym siedzeniu za matką i patrzyła na mnie. Ruth włączyła silnik.

- Kocham cię. - Dawn bezgłośnie poruszyła ustami, ocierając łzy.

- Ja ciebie też - odpowiedziałam jej w ten sam sposób.

Kiedy samochód odjeżdżał, posłała mi ostatni uśmiech. Uśmiechnęłam się, a Adrian jej pomachał.

Ostatni raz widziałam wtedy Dawn i tak ją zapamiętałam: twarz w oknie samochodu, powstrzymywane łzy i dzielny uśmiech. Do widzenia, kochanie, niech cię Bóg prowadzi. Wróciłam do środka i zamknęłam drzwi.



## Miałam rację

Sześć tygodni później zadzwoniła Barbara i powiedziała, że Dawn przywykła do nowego miejsca. Jeszcze nie można było jej odwiedzać, tylko dwa razy w tygodniu rozmawiały przez telefon. Personel był sympatyczny i Dawn zawarła nowe przyjaźnie. Rozpoczęła terapię - chodzi do psychiatry trzy razy w tygodniu. Powiedziała też matce, że podczas pobytu w Irlandii u wuja i ciotki została kilkakrotnie zgwałcona przez ich dwóch synów; jeden miał szesnaście lat, drugi czternaście. Barbara z płaczem mi to powtarzała. Zrozpaczona, winiła siebie za wysłanie do nich córeczki. Byłam wstrząśnięta, ale mnie to nie zaskoczyło. Spodziewałam się, że przydarzyło się jej coś naprawdę drastycznego. Tylko duża trauma mogła wywołać tak silne zaburzenia.

Podobno Dawn bardzo się starała poukładać w sobie te wszystkie, dotąd zepchnięte do podświadomości przeżycia, które wyszły na jaw w trakcie terapii. Psychiatra uważał, że na razie nie powinno się jej odwiedzać. Słuchając Barbary,

odniosłam wrażenie, że mimo silnego wstrząsu, który przeszła, i ciągłego obwiniania siebie ma więcej matczynego ciepła i zrozumienia dla Dawn, czego brakowało jej wcześniej. Pragnęła zadośćuczynić córce za doznane krzywdy i zapewnić jej wszystko, co najlepsze, a to zapowiadało, że w przyszłości stosunki między nimi mogą ułożyć się dużo lepiej niż dotąd. Przekazałam ucałowania dla Dawn i poprosiłam, żeby dała znać, kiedy ją będzie można odwiedzić.

Po wyjeździe Dawn poważnie się zastanawialiśmy, czy chcemy jeszcze zajmować się opieką zastępczą. Pokochaliśmy Dawn i doskonale rozumieliśmy, że nie można było jej winić za to, jak się zachowywała, jednak opiekowanie się nią kosztowało nas sporo nerwów. W dodatku, ponieważ nie zostaliśmy poinformowani o bardzo istotnych sprawach, nie byliśmy należycie przygotowani, aby poradzić sobie z naprawdę niełatwym zadaniem. Narażono nas na duże niebezpieczeństwo i nie mogliśmy dopuścić, by coś podobnego miało się powtórzyć. Nadal uważaliśmy, że potrafimy dzieciom wiele dać, a nasza pomoc może mieć znaczący wpływ na ich dalsze losy. Jednak, co zrozumiałe, podchodziliśmy teraz do tego z większą ostrożnością. Po namyśle i długich rozmowach doszliśmy do wniosku, że bezpieczniejsza będzie opieka nad tymi młodszymi, które nie mają jeszcze bagażu trudnych przeżyć jak Dawn, i tak zadeklarowaliśmy w opiece społecznej. Dwa miesiące później pojawił się u nas pięciolatek, ale to już całkiem inna historia.

Czekałam, że Barbara jeszcze zadzwoni, lecz czas mijał, a ja nie miałam od niej żadnej wiadomości. Kilkakrotnie telefono-

wałam do niej i nigdy nie udało mi się jej zastać. Dopiero mniej więcej dziesięć miesięcy po wyjeździe Dawn telefon odebrał jakiś mężczyzna. Dowiedziałam się, że Barbara się wyprowadziła, a on nie znał jej numeru. Nie miałam już więcej kontaktu ani z Barbarą, ani z Ruth, więc zupełnie nie wiedziałam, co się dzieje z Dawn. Choć było nam z tego powodu smutno, rozumieliśmy doskonale, że nasza rola w jej życiu się skończyła. Barbara na nowo podjęła obowiązki rodzicielskie i pewnie starała się być lepszą matką niż kiedyś. Do nich obu należała decyzja, czy zechcą podtrzymywać naszą znajomość.

Adrian wyrósł na zdrowe, kochane i ciekawe świata dziecko, którego wszędzie było pełno. Kiedy miał cztery lata, ku mojej wielkiej radości okazało się, że znów jestem w ciąży. Urodziłam córeczkę, daliśmy jej na imię Paula. Rodzina była już pełna, a że do tego zawsze dochodził jakiś podopieczny, nie narzekałam na brak zajęć - i dobrze się z tym czułam. Wielokrotnie myślałam o Dawn, zastanawiałam się, co robi i gdzie mieszka. Bardzo chciałam, aby była szczęśliwa i żeby życie okazało się dla niej łaskawsze niż dotąd; zasługiwała na to, żeby dostać szansę. Zawsze szóstego stycznia, w jej urodziny, próbowałam sobie wyobrazić, jak teraz wygląda - czy bardzo urosła i jak się czesze. Ciekawa byłam, czy poznałabym ją na ulicy.

Pewnego ponurego listopadowego poranka, pięć lat po wyjeździe Dawn do kliniki, zadzwonił telefon. Trudno mi opisać swoją radość, szare jesienne niebo w jednej chwili pojaśniało. Do końca życia nie zapomnę tej chwili. Adrian był w szkole, ja w salonie bawiłam się z Paulą, która miała wtedy dwa latka, i z trzyletnią Mary - Jane, mieszkającą u nas, bo jej mama leżała

w szpitalu. Dziewczynki budowały coś z klocków. Zostałam je i podeszłam do stolika odebrać telefon. Powiedziałam: „halo” ale nikt się nie odezwał.

- Halo? - powtórzyłam raz jeszcze. - Halo, słucham?

Znów cisza. Po chwili usłyszałam:

- Cathy? To ty?

Choć głos był starszy i dojralszy, rozpoznałam go od razu.

- Dawn? - zawołałam, nie wierząc własnym uszom. - To ty dzwonicz?

- Tak. Ciekawa byłam, czy mnie jeszcze pamiętasz.

- Oczywiście! Ojej! Nie mogę uwierzyć. Co u ciebie? Co robisz? Masz już dziewiętnaście lat!

- Tak - odparła, śmiejąc się cicho. - I miewam się całkiem nieźle. Przepraszam, że się nie odzywałam. Kilka razy prawie zadzwoniłam. Ale jak pomyślałam, ile kłopotów mieliście przeze mnie, ogarniały mnie wątpliwości, czy powinnam.

- Jakie kłopoty? No... może trochę - zaśmiałam się. - Ale przecież cię rozumieliśmy i wszystko wybaczyliśmy. Och, Dawn, tak się cieszę, że dzwonicz.

Zaśmiała się znowu, lekko i swobodnie.

- A co u Johna? I u Adriana? - spytała. - Mam jeszcze fotografię was wszystkich. Adrian pewnie bardzo urósł.

- Owszem, teraz jest w szkole. A John miewa się dobrze... jest w pracy. - Umilkłam na chwilę. O wiele rzeczy chciałam ją spytać, ale trochę się krępowałam. Sporo czasu upłynęło, Dawn nie była już trudną nastolatką oddaną pod moją opiekę, lecz młodą, wkraczającą w dorosłe życie kobietą. - A co u ciebie? Pracujesz?

- Nie, jestem na pierwszym roku w college'u. Będę nauczycielką. Nauczanie początkowe.

- Cudownie! Pewnie dobrze ci szło w szkole?

- Owszem, miałam niezłe stopnie - przyznała.

- Brawo. Wiedziałam, że ci się uda. - Znowu się zawahałam. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie byłam pewna, czy powinnam o to pytać. - A co z mamą? Jak ona się miewa?

- Dobrze. Wyszła za męża, na szczęście nie za tego palanta Mike'a. Bardzo lubię Andy'ego. Ma dwójkę dorosłych dzieci. Jego syn Robert, mój przyszywany brat, jest żonaty i też ma dwoje dzieci. Fajnie jest na Boże Narodzenie, kiedy spotykamy się wszyscy razem. Mam dzięki temu dużą rodzinę. I widuję się czasem z tatą.

- To fantastycznie. Pozdrów ode mnie mamę, dobrze?

- Pozdrowię. A ty ucałuj Johna i Adriana. Cieszę się, że wszystko w porządku. Dużo o was myślałam.

- Radzimy sobie - zapewniłam. - I urodziło się nam drugie dziecko, Paula. Ma już dwa latka.

- To wspaniale. Nadajesz się na matkę.

- Dzięki, kochanie. Miło, że tak mówisz. - Umilkłam znowu.

- A jak ci było w tej klinice? Często o tobie myślałam. Twoja mama zadzwoniła do mnie raz na początku i powiedziała, że się przyzwyczajasz.

- Spędziłam tam ponad dwa lata. Poznałam fajnych ludzi. Z jedną dziewczyną nadal jestem w kontakcie. Jak wychodziłam stamtąd, miałam prawie siedemnaście lat.

- A teraz gdzie mieszkasz?

- Z mamą i Andym - odparła, lekko zdziwiona, że się nie domyśliłam.

- To świetnie. Doskonale sobie radzisz, Dawn. Zawsze wierzyłam w ciebie.

- Naprawdę? - nagle spoważniała.

- Oczywiście. Widać było, że masz problemy, ale uważałam, że przy dobrej pomocy poradzisz sobie i zaczniesz żyć normalnie. Coś takiego w tobie jest... jakaś wewnętrzna siła. Potrzebny był ci tylko ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać, kto by tobą pokierował.

- Miałaś rację, Cathy. I pewnie powinnam była porozmawiać z tobą, ale wtedy nie potrafiłam rozmawiać z nikim. Wiele rzeczy wyparłam z pamięci. To okropne nie pamiętać własnego dzieciństwa.

- A teraz pamiętasz? - spytałam ostrożnie.

- Tak. To nie było dobre dzieciństwo. Trudne. Z wieloma sprawami nie umiałam sobie poradzić. Wspomnienia z Irlandii były zbyt bolesne, żeby o nich pamiętać. Ale teraz umiem z tym żyć. I wiem, że to nie była moja wina. Ty mi to pierwsza powiedziałaś, przy pożegnaniu.

- To prawda! - wykrzyknęłam ze zdumieniem. - Ale że zapamiętałaś?

- Cathy, pamiętam wszystko, co mi powiedziałaś i ile dla mnie zrobiłaś. Musisz wiedzieć, że jestem ci naprawdę wdzięczna.

Poczułam łzy pod powiekami.

- Kochana jesteś, Dawn. Bardzo ci dziękuję. Dla mnie to wiele znaczy. Dobrze nam było razem, prawda? Te nasze wspólnie spędzone miłe chwile zawsze będą dla mnie ważne. Cieszę się, że ty też pamiętasz.

- Tak, Cathy. Nigdy tego nie zapomnę. - Umilkła na moment. - No nic, będę kończyć. Mam zaraz wykład na temat

etapów rozwoju procesów poznawczych. Fajnie brzmi! - Znów się zaśmiała. Dawn zawsze śmiała się łatwo i często. - Chciałam cię tylko usłyszeć i podziękować. Ciebie też nigdy nie zapomnę, Cathy.

- Dziękuję, że zadzwoniłaś. I ja będę o tobie pamiętać. Jeśli kiedyś zechcesz nas odwiedzić, nasz dom czeka. Adres jest ten sam.

- Dzięki. Do widzenia, Cathy.

- Do widzenia, Dawn. Uważaj na siebie.

Długo przeżywałam tę rozmowę. Miło, że zadzwoniła. Co za piękna historia z dobrym zakończeniem! Dawn udało się odmienić swoje życie. Zostanie nauczycielką! Aż się uśmiechnęłam. Kto by pomyślał. Zwłaszcza jak człowiek sobie przypomniał jej dawny stosunek do szkoły i nauki. Ile jednak można osiągnąć z odpowiednią pomocą i gdy ma się determinację i odwagę. Jeśli miałam w tej pomocy nawet niewielki udział - choćby przez to, że twardo stałam po jej stronie - właśnie otrzymałam nagrodę za swój trud.

Nie mogłam się doczekać powrotu Johna, więc zadzwoniłam do biura i powiedziałam o telefonie Dawn. Była to dla niego taka sama niespodzianka jak dla mnie.

- Proszę, proszę. Muszę przyznać, że miałem wątpliwości, czy uda jej się w życiu do czegoś dojść.

- Naprawdę? Ja nie.

- No, tak, ale ty zawsze dostrzegasz w ludziach dobro. Tym razem okazało się, że miałaś rację.

## Epilog

Miałam nadzieję, że Dawn jeszcze zadzwoni, a może nawet przyjdzie, ale nie. Może po prostu wolala się odciąć od tego traumatycznego, na szczęście już zamkniętego, okresu w życiu. Cieszyłam się jej sukcesem, a choć nie miałam później żadnych innych wieści, często o niej myślałam. Mijały kolejne lata, a ja wyobrażałam sobie, jak kończy college i zaczyna pierwszą pracę. Nie wiedziałam, gdzie mieszka. Wtedy przez telefon powiedziała, że z matką i ojczymem, ale musiało to być już gdzie indziej, bo Barbara przecież się wyprowadziła. Pewnie jakiś czas mieszkała z nimi - albo gdzieś dalej, albo wrócili tu. Trudno powiedzieć.

Dziś Dawn jest trzydziestosześcioletnią kobietą. Pewnie wyszła za mąż i ma dzieci. Jeśli tak, to z całą pewnością jest wspianą matką i potrafi dać rodzinie miłość, ciepło i stabilizację, których sama nie zaznała w dzieciństwie. Choć więcej nie zadzwoniła ani nie przysła, nie straciłam nadziei, że się jeszcze zobaczymy. Może kiedyś najdą ją wspomnienia i sięgnie



po słuchawkę albo po prostu wpadnie. Od tamtej pory minęły dwadzieścia dwa lata, a ja wciąż mam ją żywo w pamięci, więc dlaczego ona nie miałaby tak samo pamiętać mnie. Powstała między nami wyjątkowo silna więź i jeśli o mnie chodzi, będę ją odczuwać zawsze. Jestem dumna z Dawn i z jej sukcesu: nie tylko uwolniła się od koszmaru traumatycznego dzieciństwa, ale i wspaniale ułożyła sobie życie.

Dawn, może czytasz te słowa. Trzymaj się i niech cię Pan Bóg prowadzi.